

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 12/110**

**1956**

---



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

**ANKIETA "KULTURY" :**

**LITERATURA EMIGRACYJNA A KRAJ**

**J. MARCZEWSKI : GOSPODARKA POLSKA  
W GODZINIE WYBORU**

**Z. K. BRZEZIŃSKI :**

**SOWIETY : WRZESIEŃ 1956**



## SPIS RZECZY

|                          |                                           |    |
|--------------------------|-------------------------------------------|----|
| Czesław Miłosz :         | <i>Antygona</i> .....                     | 3  |
| François Bondy :         | <i>Rozmowy z węgierskimi pisarzami</i> .. | 7  |
| François Fejtő :         | <i>Od prowokacji do rewolucji</i> .....   | 13 |
| Zdzisław Broncel :       | <i>Polska „rewolucja październikowa”</i>  | 19 |
| Zbigniew K. Brzeziński : | <i>Sowiety : Wrzesień 1956</i> .....      | 29 |



|                     |                                            |    |
|---------------------|--------------------------------------------|----|
| Ankieta „Kultury” : | <i>Literatura emigracyjna a Kraj</i> ..... | 49 |
|---------------------|--------------------------------------------|----|

### K R A J

|                  |                                                        |    |
|------------------|--------------------------------------------------------|----|
| Jan Marczewski : | <i>Gospodarka polska w godzinie wy-<br/>boru</i> ..... | 72 |
|------------------|--------------------------------------------------------|----|

### ARCHIWUM POLITYCZNE

|                        |                                   |     |
|------------------------|-----------------------------------|-----|
| Juliusz Mieroszewski : | <i>Lekcja węgierska</i> .....     | 89  |
| Berlińczyk :           | <i>List z Berlina</i> .....       | 95  |
| Londyńczyk :           | <i>Kronika angielska</i> .....    | 98  |
| M. :                   | <i>Sila przyzwyczajenia</i> ..... | 103 |

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

|                       |                                 |     |
|-----------------------|---------------------------------|-----|
| Bogusław Miedziński : | <i>Fantastyczne „tło”</i> ..... | 106 |
| Józef Wiatr :         | <i>List do Redakcji</i> .....   | 111 |

### KRONIKA KULTURALNA

|                         |                                           |     |
|-------------------------|-------------------------------------------|-----|
| Paweł Hostowiec :       | <i>Spotkanie historyków w Tybindze</i> .. | 114 |
| Marian Bohusz-Szyszko : | <i>Zalew manieryzmu</i> .....             | 120 |

### W I E R S Z E

|                        |                                         |     |
|------------------------|-----------------------------------------|-----|
| Maria Orzeszkowska :   | <i>Studnia</i> .....                    | 126 |
| Maria Orzeszkowska :   | <i>Św. Tomasz Niewierny</i> .....       | 129 |
| Bolesław Taborski :    | <i>The dark tower</i> .....             | 130 |
| Janusz S. Ilnatowicz : | <i>Między Abitibi a Hudson Bay</i> .... | 131 |
| Z. Ławrynowicz :       | <i>Ucz się u wiśni</i> .....            | 132 |

### Ś C I E Ż K I

|                 |                             |     |
|-----------------|-----------------------------|-----|
| Józef Czapski : | <i>„Jest granica”</i> ..... | 133 |
|-----------------|-----------------------------|-----|

### K S I A Ź K I

|                    |                                          |     |
|--------------------|------------------------------------------|-----|
| Zbigniew Jordan :  | <i>„Moralność mieszczańska”</i> .....    | 137 |
| Marian Pankowski : | <i>Krajowe nowości poetyckie</i> .....   | 145 |
| Waleria Fuksa :    | <i>Bakcył górski</i> .....               | 149 |
| —                  | <i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .... | 153 |



|                                                                     |                                |     |
|---------------------------------------------------------------------|--------------------------------|-----|
| St. Józwiak, J. Poniatowski, Sław-<br>oj-Składkowski, R. Walewicz : | <i>Listy do Redakcji</i> ..... | 156 |
|---------------------------------------------------------------------|--------------------------------|-----|

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ** Grudzień-Décembre 1956

*Numer poświęcony*

*Z. K., A. O., T. P., D. S.,*

*J. S., A. Ż.*

INŻYNIEROM GRUPY ELEKTRYFIKACYJNEJ  
W ARGENTYNIE

**INSTYTUT**



**LITERACKI**



## OŚWIADCZENIE

Radioradacja „Kraj” powróciła dnia 18 listopada do nieszczęsnej sprawy 48 osób, zaproszonych rok temu przez nasze pismo na rozmowy do Maisons-Laffitte. Ustami Zbigniewa Mitznera stwierdza, że kolegium radio-stacji, zapoznawszy się z dowodem niedoręczenia naszych listów tym osobom przez pocztę polską (zawiadomienie poczty francuskiej którego fotografię umieściła „Kultura”) wniosło skargę do Prokuratora Generalnego powołując się na p. 2 art. 74 Konstytucji (nienaruszalność mieszkań i korespondencji). Równocześnie radio „Kraj” postanowiło odpowiedzieć pozytywnie na naszą propozycję, jakkolwiek nie do niego skierowaną, i wyznaczyło delegację w składzie: J. Broszkiewicz, T. Domaniecki, Zb. Florczak, i Zb. Mitzner, sugerując jako miejsce spotkania Ambasadę w Paryżu.

Stosunek nasz do przemian zachodzących w Polsce jest, wydaje się nam, poważniejszy niż stosunek radia „Kraj”. Wysyłając zaproszenia do 48 osób zdawaliśmy sobie sprawę, że w kraju powstają nowe możliwości i chcieliśmy rozmawiać z ludźmi którzy reprezentują żywe sily opinii publicznej. Wszelkie takie rozmowy uważamy za jak najbardziej potrzebne, jednakże nigdy nie utożsamialiśmy Polski z funkcjonariuszami propagandy, gotowymi głosić to, co w danym tygodniu oceniają jako bezpieczne. Jesteśmy pismem niezależnym i zawsze będziemy szukać równorzędnych partnerów. Radio „Kraj” wyrządziło wiele szkód, przyczyniając się przez swoje kłamstwa do ugruntowania wśród emigracji zasadniczej niewiary w szanse państwa i państwowości. Jeżeli nie podzielamy tej niewiary, to tylko dlatego, że do pewnych rodzajów propagandy nie przywiązaliśmy większego znaczenia. Zamiast bawić się w delegacje do Paryża, radio „Kraj” mogłoby naprawić wyrządzone przez siebie szkody w jeden tylko sposób: rozwiązując się i oświadczając, że wobec zmienionej sytuacji cała jego dotychczasowa działalność traci rację bytu. Co do Zbigniewa Mitznera, to moglibyśmy mu tylko doradzić, żeby po odejściu nie tylko z Radia ale i z rozlicznych redakcji zajął się pisanie pamiętników. Rzuciłyby one zapewne światło na cyniczną postawę niektórych dziennikarzy używanych do wszelkich posług.

REDAKCJA

### NA NAGROBEK DLA JANA OLECHOWSKIEGO

Józef Wittlin, New York ..... 3.500 fr.  
T. Chmielewski, Amsterdam ..... 400 "

### DALSZE WPLATY NA DOM "KULTURY"

Jan Brzękowski, Paryż ..... 4.000 fr.

Jak zwykle następny zeszyt „Kultury” będzie podwójny (styczeń/luty 1957). Ukaze się on w pierwszych dniach stycznia 1957.

Imprimé en France

## Antygoną

Pamięci węgierskich robotników, studentów i żołnierzy ten fragment, napisany w 1949 roku, poświęcam.

Antygoną: Przyjmować wszystko, tak, jak się przyjmuje  
Po wiosnie lato, zimą po jesieni,  
Na sprawy ludzkie patrzeć obojętnie  
Jak na kolejność bezmyślnej przyrody?  
Dopóki żyję, będę wołać: nie.  
Słyszysz Ismeno? Będę wołać: nie.  
I nie chcę żadnych waszych uspokojen,  
Kwiatów w wiosenną noc, ani słowika,  
Słońca ni chmur, ani przyjaznych rzek,  
Niczego. Niechaj trwa nieusmierzone  
To, co zostało i to, co zostanie.  
Jedynie godne pamięci: nasz ból.  
Te zarzewiały ruiny, Ismeno,  
Wiedzą o wszystkim. Czarnym skrzydłem kruka  
Śmierć oddzieliła nas od tamtych lat  
Gdyśmy myślały, że nasza kraina  
Jest jak zwyczajne krainy. Że ród  
Nasz taki sam jak i inne rody.  
Przekleństwo losu wiedzie do ofiary.  
Ofiara wiedzie do przekleństwa losu.  
Gdy to się spełnia, to już nie jest pora  
Niewielkie życie swoje własne chronić  
I nie jest pora nad sobą lżyć ronić.  
Na nic nie pora. Niech wielkie zniszczenie  
Przebiegnie całą bezlitosną ziemię,  
Niech tym, co z naszej rozpacz się śmieją  
Ich własne miasta obróć się w gruz.



*Prawo Kreona! I zakaz Kreona!  
Czymże jest Kreon, kiedy ginie świat?*

**Ismena:** *Tak, ale nasi rodzice nie żyją  
I nasi bracia nie żyją. I żaden  
Bunt ich nie wróci. Po cóż sięgać wstecz?  
Starzec o kiju błdzi w głuchym mieście  
Próżno szukając tam synów poległych,  
Stare kobiety, ciche żalobnice,  
Stąpają w pył z pochyloną twarzą.  
Ale już zieleni ponurych okolic,  
Piołun, pokrzywa, wdziera się na zgliszczą,  
Motyl, jak płatek papieru w pożarze,  
Fruwa u skraju kamienistych urwisk,  
Obdarte dzieci idą znów do szkoły,  
Ręce splatają znówu kochankowie,  
I jest w tym rytm, wierzą mi, potężny,  
Płacz pomieszany z zachwytem — jak gdyby  
Nowy na ziemię powrót Persefony.*

**Antygona:** *Głupcy są zdania, że kiedy poświęcą  
Pamięć przeszłości, będą żyć szczęśliwi.  
I głupcy myślą: zgon jednego miasta  
Nie jest dla innych miast jeszcze wyrokiem.*

**Ismena:** *Ty nie umniejszaj trudu, Antygono,  
Z jakim i usta i serca zmuszamy  
Aby milczały. Bo takie zwycięstwo  
Też jest zwycięstwem i daje nadzieję.*

**Antygona:** *Mnie niepotrzebna jest wasza nadzieja.  
Bo ja widziałam resztki Polinika  
Tam, u podnóża strzaskanej katedry.  
Ta czaszka, mała jakby czaszka dziecka,  
Z kosmykiem jasnych włosów. Kości garstka  
W próchno ciemnego płótna owiniętych  
I trupi zapach. Oto jest nasz brat,  
Którego serce tak jak nasze biło,  
Który weselił się i śpiewał pieśni  
I strach przed śmiercią znał, bo w nim wołały  
Te same głosy, które w nas wołają.  
I przewyciężył głosy wzywające  
Na jasne życia dalszego obszary  
I dobrowolnie poszedł, aby zginąć,  
Wierny danemu słowu i przysiędze.  
Dwudziestoletni, piękny i pogodny,  
Pełz samiarów musiał w sobie stłumić,  
Pełz zaczątych dzieł, nieśmiały myśli,  
Sam, mocą woli, dawał na zniszczenie.*

*I on to właśnie, rozkazem Kreona  
Został uznany za zdrajcę. Dla niego  
Ciemny kąt jukiś na piaskach przedmieścia  
I w pustym hełmie zawodzący wiatr.  
Ale dla innych, dla złodziei sławy,  
Będą wznoszone pomniki i wieńce  
Będą dziewczęta na placach składały.  
Blaskiem pochodni oświetlone imię.  
Tu nic, tu ciemność. Ręką przerażoną  
Pisarze, podłym strachem przymuszani,  
Złodziejom sławy nie poskąpią słów.  
I tak odchodzi, z legendy wyzuty,  
W niepamięć wieków — zdrajca czy bohater?*

**Ismena:** *Można słowami ból w płomień rozszarzyć.  
Kto milczy, cierpi nie mniej, może więcej.*

**Antygona:** *Nie tylko słowa, Ismeno, nie tylko.  
Swojego państwa Kreon nie zbuduje  
Na naszych grobach. Swojego porządku  
Potęgą miecza tutaj nie ustali.  
Wielka jest władza umarłych. Nikt od niej  
Nie jest bezpieczny. Choćby się otoczył  
Gromadą szpiegów i milionem straży,  
Oni dosięgną. Czekają godziny.  
Są ironiczni, stąpają ze śmiechem  
Koło szaleńca, który w nich nie wierzy.  
A kiedy będzie sporządzał rachunek  
Nagle pojawi się błąd w tym rachunku.  
Małenki błąd, ale pomnożony,  
Wystarczy! Oto błąd w obłęd urasta,  
Zbrodnia płomieniem pali wieś i miasta.  
Krew! Krew! Czerwoną pragnie atramentem  
Przekreślić błąd. Za późno. Skończone.  
Nieszczęsny Kreon tak rządzić zamierza  
Jakbyśmy byli barbarzyńskim krajem,  
Jakby tu każdy kamień nie pamiętał  
O łzach rozpaczcy i o łzach nadziei.*

Czesław MIŁOSZ



# PREUVES

revue mensuelle  
publie, sous la direction de F. Bondy  
dans son numéro de DECEMBRE

Pierre COURTHION  
Enquête sur le marché international de la peinture

André NIEL  
Teilhard du Chardin et la crise  
de la pensée contemporaine

Jeanne HERSCH  
La Pologne après Poznań  
Chroniques de Hongrie et de Pologne

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8°).

Le numéro de 104 pages ill. : 180 francs. — C.C.P. 178-00 Paris.

# INSPEKCJA W ZAIWANIU

pod powyższym tytułem ukaże się  
w pierwszych miesiącach 1957 roku tom opowiadań

TADEUSZA ZAJĄCZKOWSKIEGO

*Na treść tomu składają się opowiadania  
z Polski przedwrzesniowej, z czasów wojny  
oraz z życia współczesnej emigracji.*

Książka zostanie wykonana w Oficynie Poetów i Malarzy oraz  
ilustrowana drzeworytami Aleksandra Wernera.

Cena książki w przedpłacie wynosi w Wielkiej Brytanii 9s 6d, w Stanach Zjednoczonych 1.40 dol., lub równowartość tej kwoty w innych krajach.

Wpłaty i zamówienia należy kierować na adres: Oficyna Poetów i Malarzy, 146, Bridge Arch., Sutton Walk, London, S.E.1., wystawiając czeki, Postal Orders i Money Orders na nazwisko autora.

## Rozmowy z węgierskimi pisarzami

Podczas mego krótkiego pobytu w Budapeszcie — od 31 października do 2 listopada — widywałem się niemal wyłącznie z pisarzami. Kilku z nich poznałem na Węgrzech jeszcze przed wojną. Innych spotykałem podczas wojny w Szwajcarii. W ciągu ostatnich miesięcy czytałem ich artykuły i oświadczenia w obronie wolności. Czytelnikom „Kultury” chciałbym przekazać stenogramy z kilku takich rozmów.

— *Parler du rôle des écrivains dans ces événements? Il pourrait paraître qu'on oublie la modestie.*

To mówi Tibor Dery. Słyszę jego głos pisząc te słowa, gdyż znajomy ze szwajcarskiego radia, który mi towarzyszył, nagrał część naszej rozmowy na magnetofonie.

Tibor Dery mówi wolno i szuka słów. Jego francuszczyzna jest czysta, ale włada nią mniej płynnie od poety Gyuly Illesa, który długo mieszkał we Francji.

— Jako pisarz — ciągnie Dery — walczyłem najpierw o wolność pisania, która jest niezbędnym narzędziem naszego rzemiosła. Ale bardzo szybko wolność pisania stała się częścią ogólnej walki o wolność naszego narodu. Już od lat węgierscy pisarze, narażając się na duże niebezpieczeństwa, dochodzili do ostatecznej granicy tego, co było dopuszczalne. Tę granicę osiągnęliśmy.

Tibor Dery jest komunistą ze starej gwardii. Podczas wojny pracował w podziemiu na Węgrzech. Ale mówi o Jerzym Lukacsu i Juliuszu Hayu, którzy przebyli wojnę w Moskwie, jak o przyjaciółach, z którymi łączy go ta sama postawa.

Wiedziałem, że Dery narażał się już od roku 1949. Znałem jego opowiadanie o psie Kiki, którego pan był w więzieniu. Absurdalna strona terroru, którego nawet ludzie nie rozumieli odzwierciadlała się tam w wiernym i smutnym spojrzeniu psa.



Moja rozmowa z Derym ma miejsce w siedzibie Związku Pisarzy, tego samego związku, który trzy dni później, zwróci się do świata, poprzez radio Budapeszt, z apelem o pomoc. Dery — „bojownik wolności” według nazwy przyjętej przez rewolucjonistów — pozostał wierny pojęciom i nawet terminologii marksistowskiej. Zapytałem go co myśli o powstaniu nowych partii. Odpowiedział mi, że trzeba na to patrzeć nie powierzchownie, ale z punktu widzenia „ściśle socjologicznego” i że chodzi tu o obronę chłopów nie tylko przed kolektywizacją typu stalinowskiego ale również przed powrotem wielkich właścicieli ziemskich.

Gdy wchodzi w grę wybór pomiędzy gospodarką socjalistyczną a liberalną, Dery — podobnie jak wielu innych pisarzy odruchowo solidarnych z ludzką nędzą — posiada bardzo twarde ideologiczne przekonania, które jednak nie są oparte o ścisłą znajomość ekonomii.

Bunt przeciw cudzoziemskiej przemocy, przeciw dyktaturze i policyjnemu terrorowi przerodził się — mówił mi Dery — w najczystsza rewolucję w historii Węgier i dodał: „miejmy nadzieję że będzie to nasza pierwsza zwycięska rewolucja”.

Prosząc mnie potem o przekazanie pozdrowień jednemu z najbliższych przyjaciół zagranicą, Dery podał mi nazwisko przewodcy jednej z europejskich partii komunistycznych, która nigdy w niczym nie odchyliła od linii stalinowskiej i postalinowskiej Kremla i której dziennik w kilka dni później witał ze wzruszeniem rosyjskich żołnierzy niosących Węgrom „pokój i wolność”...

Z tych rozmów z pisarzami w Budapeszcie wyniosłem dwa główne wrażenia: naiwność z jaką wierzyli, że w Europie zachodniej komunistyczni intelektualiści przechodzą obecnie przez podobne przeobrażenia moralne i że rozumieją ich walkę o prawdę; oraz zadziwiający optymizm co do postawy sowieckiej wobec węgierskiej rewolucji.

Nie mogę sobie wyobrazić większego kontrastu od tego jaki istniał w dniu mego wyjazdu pomiędzy Hotelem Duna, siedzibą zagranicznych dziennikarzy, a zarządem związku pisarzy na ulicy Gorkiego. Wśród dziennikarzy w hotelu Duna panowało przygnębienie, wszyscy przygotowywali się do opuszczenia Węgier. Przedstawiciel komitetu rewolucyjnego oświadczył nam w przeddzień, że zbliża się nowa wielka bitwa. Przewidywania jego były pesymistyczne, apokaliptyczne nawet, a przyszłość dowiodła jak były realistyczne.

Z hotelu Duna udałem się po raz ostatni do związku pisarzy — sztabu generalnego węgierskiej inteligencji. Ulica Gorkiego, nazwana jest „rosyjską dzielnicą” Budapesztu, gdyż mieści się tam sowiecka ambasada. W przeddzień stały jeszcze przed ambasadą, na straży, dwa sowieckie czołgi, jedyne prawdopodobnie, których nie zaatakowano podczas walk ulicznych. Ale w ciągu nocy czołgi te znikły. Przyłączyły się do stalowych

kleszczy, które miały zdruzgotać Budapeszt — zespół starych kamieni brzemennych historią i młodą krwią.

Atmosfera w siedzibie związku nie była pozbawiona niepokoju, ale górował tam wciąż jeszcze entuzjazm. W rozmowach poruszało się problemy odbudowy i nawet dalszej przyszłości. Oczekiwano niecierpliwie listopadowego numeru literackiego miesięcznika, który tak dużą rolę odegrał jako narzędzie buntu pisarzy. Odniosłem wrażenie że związek był czymś w rodzaju „brains-trustu” prezesa rady ministrów Imre Nagy, który, słusznie, miał większe zaufanie do pisarzy niż do swoich ministrów.

Peter Veres, prezes związku, węgierski chłop w długich butach, o sumiastym siwym wąsie, ucharakteryzowany na Gorkiego, rozmawiał z innym chłopem z okolic Győr, który wciskał mu do rąk gruby rękopis, żądając aby go wydano bez zwłoki.

„To nie jest odpowiednia chwila — tłumaczył mu Veres. — Później. Zobaczymy później”. Ale jeszcze po upływie paru godzin, kiedy Veres odpowiadał przez tłumacza na moje pytania (mówi bowiem tylko po węgiersku), chłopski pisarz siedział w swym kącie, mruczając i obracając w rękach rękopis.

Veres przypominał mi z miejsca że jest w tym samym stopniu politykiem jak i pisarzem. Rzeczywiście, ten dawny robotnik rolny był po wojnie kilkakrotnie ministrem i jednym z projektodawców reformy rolnej z roku 1945. Przygotowywał się teraz do założenia nowej partii — małorolnych chłopów. Z naciskiem stwierdzał, że jeśli chodzi o literaturę, zawsze żądał dla pisarza prawa do apolitycznego stanowiska, prawa do milczenia jeśli nie zgadza się z rozwojem wypadków, prawa do twórczości niez zaangażowanej. W tłumaczeniu, jego wypowiedzi wydawały mi się nieco chaotyczne. Rozumiejąc moje wahania, uśmiechnął się: „Niech Pan lepiej nie cytuję dosłownie tego co Panu mówię. To wszystko jest nieuporządkowane, a każdy pisarz powinien troszczyć się o styl”.

Odczytałem później przemówienie, które Veres wygłosił we wrześniu, na walnym zebraniu związku pisarzy. Mówił on wówczas: „Probiertem rewolucji socjalistycznej winien być czynny udział w życiu publicznym milionów ludzi, którzy nie są członkami partii. Historia dowiodła nam — w tym ściśle ograniczonym sensie w jakim można powiedzieć że historia w ogóle czegoś dowodzi — że nie tylko jednostki, ale całe społeczeństwa i klasy społeczne potrafiły przetrwać przez wieki dzięki umiejętności dostosowania się do systemu, z którym się nie zgadzały.

„Ale kiedy rząd, który wyzyskiwał ludzi pozbawionych praw, znajdował się nagle w krytycznym położeniu — oni nie ruszali nawet palcem, by mu pomóc. Ruina państwa, z którym się nigdy nie utożsamiali, w którym widzieli wroga władzę, była im całkowicie obojętna. Lud bywał zdolny do wielkich czynów tylko wówczas, gdy uczciwy i mądry król, mąż stanu czy generał, brał w swoje ręce jego sprawę — tak jak na przykład Hunyady, Rakoczy, czy Kossuth.



„Istnieją poza tym pisarze, którzy się dostosowują. Rządzący myślą, że oni im służą i ich bawią, i oto nagle pisarze ci wymierzają rządzącym policzki, których echo pozostaje w historii. Stara to prawda, że więzień więcej myśli niż strażnik; więzień skupia się całkowicie na jednym zagadnieniu: swojej wolności, podczas gdy strażnik musi się troszczyć o tysiące różnych spraw. Dlatego wskazane jest ograniczyć liczbę więźniów, a zwłaszcza więźniów myślących. Obywatele państwa powinni w miarę możliwości myśleć jak ludzie wolni — w ten sposób można uzdrowić myśl całego narodu.

„Każdy wielki poeta węgierski, i na ogół wszyscy wielcy poeci literatury światowej, mieli głębokie poczucie wspólnoty ze społeczeństwem. Dzisiaj położenie jest skomplikowane, gdyż istnieje postulat literatury mającej popierać rząd. Jest to stosunek, który właściwie nigdy nie istniał, prócz może krótkich okresów czasu, kiedy rewolucyjni pisarze i rewolucyjni politycy walczyli wspólnie o nowy świat.

„Literatura ideologiczna jest usprawiedliwiona. Cóż pozostaje z ludzi którzy nie opierają się ani o naród, ani o klasę, ani o społeczeństwo. Teoretyczny humanizm niewiele jest wart. Humanistą można być tylko w oparciu o własne społeczeństwo, w które zapuściło się korzenie.

„To wszystko nie jest oczywiście programem, to tylko moje osobiste uczucie.

„Ale nasz walny zjazd powinien utworzyć wzór przyszłej funkcjonalnej demokracji, tak aby pisarze mogli się stać prekursorami postępu społecznego”.

Nic z tego co mi powiedział Veres nie szło dalej niż to przemówienie, wypowiedziane w chwili gdy prezesem rady ministrów był Hegedus, a pierwszym sekretarzem partii Geroc. Ale jedynie osobiste spotkanie może ujawnić tajemnicze związki pomiędzy człowiekiem i jego słowem, pomiędzy opinią człowieka i jego zachowaniem. I tak zachowałem wspomnienie chłopca o śmiejących się oczach, znajdującego czas na wszystko, i który w ten dzień drugiego listopada myślał o przeszłości małych reform, o reformie oświaty, o odbudowie zniszczonego kraju.

Najwyraźniejsze wspomnienie zachowałem z rozmowy z dramaturgiem Juliuszem Hayem, tym bardziej zresztą że znałem go od dawna i że najbliższej stykałem się z jego twórczością. To co mi powiedział Hay wybiegało poza jego twórczość ostatnich miesięcy — a przecież pisał on rzeczy żywe, przemyślane, często o satyrycznym zacięciu, wyciągając jako wniosek ostateczny „potrzebę paktu zaczepno-obronnego z prawdą”.

Zona Haya, reżyserka jednego z głównych teatrów budapesteskich, cieszyła się z nim razem z tego że będzie mogła niedługo wystawić nową sztukę męża, dotychczas zakazaną przez cenzurę: „niedługo” — mówiła — „to znaczy po wyjściu sowieckich wojsk”.

Zapytałem się Haya co go popchnęło, po trzydziestu latach niezachwianej wierności komunizmowi, w pierwsze szeregi wal-

ki o wolność ducha i twórczości, co zrobiło z niego najostrożniejszego krytyka uprzywilejowanych komunistycznych biurokratów. Oto jego odpowiedź, taka jaką mogę odtworzyć z moich notatek z tego samego dnia — ale słowa Haya były żywsze, bogatsze w przebliski humoru:

— „Wydaje mi się że na mój rozwój wpłynęło kilka elementów. Pierwszym — zdaję sobie z tego sprawę — było zagadnienie smaku. Podobnie jak wszyscy nasi pisarze i artyści, cierpiałem z powodu stalinowskiej szmiry we wszystkich dziedzinach kultury i estetyki. Innym elementem było poczucie trwałej niesprawiedliwości w naszym społeczeństwie. Wreszcie — uderzyło mnie bankructwo systemu gospodarczego, który według naszej ideologii winien był dowieść swej wyższości nad jakimkolwiek innym, a który tymczasem doprowadził kraj do ruiny. Czwartym elementem, zapewne decydującym, było zachowanie naszej młodzieży. To prawda, że pisarze stanęli w awangardzie naszej odnowy. Odpowiada to starej węgierskiej tradycji, z której jesteśmy dumni. Ale co do mnie przynajmniej chętnie przyznaję, że to nietyle ja budziłem ducha wolności w naszej młodzieży, ile że to sama młodzież mnie do tego popchnęła. Przez lata wygłaszałem odczyty, przemawiałem na zebraniach, w świetlicach robotniczych, w studenckich aulach, i czułem coraz wyraźniej, że moje argumenty nie trafiały — że młodzież odczuwała to co mówię jako propagandę. Jakże to możliwe? — zadawałem sobie pytanie. — My, stare pokolenie, poświęcamy nasz wolny czas aby pomóc w budowie lepszych Węgier, aby nasza młodzież była w nich szczęśliwsza, a młodzi nie rozumieją nas i nie szanują nas za to. Dlaczego nie chcą oni tego, co naszym zdaniem chcieć powinni? Jednocześnie, musiałem stwierdzić że ta młodzież nie jest wcale reakcyjna, ani pochodzeniem, ani zachowaniem — że wierzy w sprawiedliwość społeczną i posiada poczucie odpowiedzialności. Doprowadziło mnie to do postawienia sobie pytania: a może to my się mylimy?”

„Zacząłem wówczas mówić swobodniej o błędach naszej biurokracji i o odchyleniach od socjalizmu w naszym systemie. Im swobodniejsze dawałem ujście krytyce, tym silniej czułem się unoszony falą sympatii tej młodzieży. Niech Pan weźmie: od pierwszych dni powstania wciąż tu przychodzą grupy młodzieży by dowiedzieć się czy nam nic nie brakuje i nic nie grozi. Tak, my, pisarze, odczuliśmy ten głód wolności naszej młodzieży. Ostatecznie, może to poeta Zelk najdokładniej odczuł ten proces, pisząc: „byłem zbyt słaby, by pozostać nieuczciwym...”

„Co z moich pism i przemówień wywarło największe wrażenie?”

„Może mój artykuł o potrzebie paktu z prawdą. Ale często proszono mnie również o odczytywanie szkicu o sylwetce uprzywilejowanego i beczelnego biurokraty pod tytułem: „Dlaczego go nie cierpię”.



„W ciągu ostatnich tygodni, przewodniczyłem zebraniom w wielkich ośrodkach, jak Győr, Kisbrest, i postanowiłem odpowiadać na wszystkie zadawane mi pytania. W Győr ktoś mnie zapytał: „Co się dzieje z węgierskim uranem?” Odpowiedziałem: — Nie wiem. Ale mimo że nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, myślę, że jako obywatel węgierski mam prawo wiedzieć kto dysponuje naszym uranem, i że wy wszyscy macie prawo to wiedzieć. Nie mogę wam odpowiedzieć, ale macie rację zadając mi to pytanie. I rzeczywiście — ciągnął Hay — pytali o to dalej, i z rosnącą energią.

„Jakie jest moje stanowisko wobec tezy że musimy zachować i chronić podstawy socjalizmu na Węgrzech? — Nie chcemy oczywiście ani horthyzmu, ani stalinizmu i uważamy, że są to dwie formy reakcji, które musimy zwalczać sami a wszystkie demokracje winny w tym dopomóc. Ale jeśli przez lata myślałem, że nasz ustroj jest ustrojem socjalistycznym, do którego zakradły się odchylenia i omyłki, o tyle już dzisiaj w to nie wierzę. Nie wiem jak przyszli socjologowie nazwą nasz dawny system, ale osobiście jestem przekonany, że w tym systemie odchylenie i omyłka były wszystkim — socjalizm niczym.

„Jaki jest mój stosunek do partii komunistycznej której byłem członkiem przez tyle lat? — Chciałbym pozostać dobrym komunistą i czuję się nadal w zgodzie z programem partii. Dlatego nienawidzę kierownictwa, które tak zaszkodziło partii. Doszliśmy do punktu w którym kierownictwo zabiło partię. Partia nie istnieje już u nas. A nie można kochać tego co nie istnieje. Jestem gotów gorąco poprzeć nową partię marksistowską, reformowaną i czystą. Ale nie myślę bym stał się raz jeszcze jej członkiem. Czas dyscypliny partyjnej jest już poza mną”.

Nazajutrz opuszczałem Węgry, przekraczając na nowo granicę austriacką. W reportażach do „Neue Züricher Zeitung” i do „Demain” zdałem sprawę z przebiegu powstania. Ograniczyłem się tutaj do przekazania słów pisarzy węgierskich, wypowiedzianych w atmosferze nadziei. Ofiarna młodzież i pisarze, którzy nie chcieli już kłamać — w tych słowach Juliusza Haya widzę istotę obietnic jakie niosła węgierska rewolucja i ogrom jej tragedii.

*François BONDY*

(Tłumaczył K.J. Jeleński)

## Od prowokacji do rewolucji

Rankiem 23 października, cały Budapeszt budził się w atmosferze radosnego oczekiwania. Rozwiązanie wydawało się gotowe. Klub Petöfi sformułował je i ogłosił w całej prasie. Pozostawało jedynie wprowadzić je w życie, opierając się na precedensie polskim, który w całych Węgrzech został powitany entuzjastycznie.

Geroe, po powrocie z Belgradu, z doskonałymi radami Tita w walizce, winien był jak najszybciej zwołać plenum Komitetu Centralnego, pozwalając mu na likwidację stalinistów, łącznie z nim samym w razie potrzeby. Pozwoliłoby to na powrót do władzy Imre Nagy — węgierskiego Gomułki, który cieszył się poparciem całego społeczeństwa. Oczekiwano, że Nagy ogłosi prawo Węgier do wyboru swej własnej drogi do socjalizmu, że przedstawi społeczeństwu program reform gospodarczych i że zażąda od Rakosiego odpowiedzialnego za terror z lat 1949-1952, zdania rachunków z katastrofalnych rządów.

Potem — przypuszczano — wszystko się ułoży i nowe doświadczenie rządów Nagy'ego rozpocznie się w klimacie jedności narodowej. Tak zarysowywał się w prasie węgierskiej z 23 października optymistyczny obraz pokojowej demokratyzacji. W 24 godzin później, nadzieja zbawiennej reformy zagłuszona została seriami sowieckich karabinów maszynowych. Co prawda radio ogłaszało powrót Nagy'ego i jego politycznych przyjaciół do biura politycznego i do rządu, ale ten „sukces” narodowych komunistów zbiegał się z brutalną interwencją Czerwonej Armii, która zamieniała zwycięstwo „titowców” w narodową klęskę.

Zamieszanie było tym większe, że budapeszteńskie radio — kontrolowane przez stalinistów — przypisywało Nagy'emu apel do Sowietów o interwencję wojskową. Dopiero w kilka dni później można było dowiedzieć niezbitie, że Nagy nie był w to wcale zamieszany. Postawiono go przed faktem dokonanym. Kto taki? Wiadomo dzisiaj, że był to Geroe, przedstawiciel tych sił (wę-





gierskich i sowieckich), które nie cofały się przed niczym aby skompromitować w zarodku zamiary Nagy'ego, liberalizacji i desatelizacji Węgier. Krwawą prowokacją zamierzano doprowadzić do poronienia narodowego komunizmu węgierskiego.

Nieporadny uczeń czarnoksiężski, Geroe, chciał sprowokować łatwe do stłumienia rozruchy, które by pozwoliły, z sowiecką pomocą, na umocnienie stalinowskiego aparatu Węgier. Podobne plany grupy natolińskiej spaliły na panewce dzięki opanowaniu polskiego społeczeństwa i stanowisku Ochaba. „Rozruchy” przekroczyły jednak ramy wyznaczone im przez prowokatorów, którzy nie mieli pojęcia o duchu węgierskiego narodu, ani o stopniu rozpaczki do jakiego doprowadziły Węgrów ich rządy. W ciągu 24 godzin „rozruchy” stały się rewolucją, druzgocącą aparat, który Geroe chciał ratować przy pomocy nędznej prowokacji.

Powróćmy do ranka 23 października. Cały Budapeszt jest pod wrażeniem wypadków polskich, w których wszyscy widzą także zapowiedź rozwoju spraw na Węgrzech. Klub Petöfi, złożony z inteligencji popierającej Imre Nagy'ego, decyduje się zorganizować masową manifestację o godzinie trzeciej popołudniu przed pomnikiem Józefa Bema: wyraz solidarności węgierskiej stolicy z narodem polskim. Rząd, obawiając się incydentów, zakazuje tej manifestacji. Klub Petöfi nalega. Członkowie jego, zbyt może ufni w szanse skanalizowania całej opozycji po stronie narodowego komunizmu, gwarantują, że manifestacja odbędzie się w spokoju. Minister spraw wewnętrznych ustępuje. Punktualnie o 15-ej zaczyna się defilada. Większość manifestantów stanowią studenci, z trójkolorowymi wstążkami na czapkach. Śpiewają pieśni patriotyczne, łącznie z pierwszą strofą węgierskiego hymnu narodowego „Boże błogosław Węgrów”, zakazaną od roku 1949. Wychodząc z fabryk i z biur, tysiące robotników i urzędników przyłącza się do manifestantów. Pod koniec wiece, nieznani mówcy poddają pod aklamację tłumy rezolucję, wybiegającą już daleko poza ramy przewidziane przez zwolenników Nagy'ego. Zawiera ona żądanie wolnych wyborów z udziałem kilku partii, wypowiedzenie układów handlowych węgiersko-sowieckich, reorganizację życia gospodarczego itd. Ale Peter Veres, prezes związku pisarzy, przemawiający w imieniu zwolenników Nagy'ego, i przedstawiający „minimalny” program demokratyzacji, pod którym mogliby się podpisać zarówno komuniści jak i niekomuniści, osiąga również duży sukces. W tej atmosferze wydaje się, że program w rodzaju programu Gomułki ma jeszcze równe szanse z programem bardziej zbliżonym do demokracji zachodnich niż do formy komunizmu.

Ale, pod pretekstem że cały aparat komunistyczny może zostać zmieciony przez niezaprzeczalną większość niekomunistów, jeśli nie antykomunistów, Geroe przechodzi do czynu. Tegoż samego dnia wrócił on do Budapesztu z Belgradu. O godzinie 8-ej wieczorem miał przemawiać przez radio. Jak zaznaczyłem powyżej, ogólnie oczekiwano, że zapowie on ważne zmiany: przyspieszenie demokratyzacji, powrót Imre Nagy'ego do władzy,

konsolidację więzów przyjaźni z Jugosławią, bardziej niezależną politykę wobec Związku Sowieckiego. Tymczasem — nic z tego wszystkiego w wieczornym przemówieniu. Geroe ogranicza się do przestrzeżenia klasy robotniczej przed „prowokatorami”. Głównym tematem przemówienia jest przyjaźń z Rosją Sowiecką i innymi demokracjami ludowymi. Robotników wzywa do „czujności” wobec „wroga klasowego”, który manifestuje na ulicach. Ale lud węgierski dobrze zna, z czasów Rakosiego, ten język apelów do „czujności”. Nie tego oczekiwano na Węgrzech po dojszciu Gomułki do władzy w Polsce. Przemówienie Geroe tłumaczone jest przez społeczeństwo jako nowe usztywnienie stalinistów i Rosjan.

Wrażenie to potwierdzone jest wiadomością, że komitet centralny zwołany jest dopiero na 31 października. Wszyscy oczekiwali natychmiastowego plenum, i reform, żądanych przez opinię publiczną. Była to ostatnia szansa partii komunistycznej pozyskania opinii publicznej narodu, który był tak długo przez nią gnębiony i pomiatany. Działając szybko i radykalnie, partia komunistyczna mogła się jeszcze uratować. Wydaje się dziś, że wołała popełnić samobójstwo.

Oczywiście po przemówieniu Geroe, tym razem już samorzutnie, manifestacje wybuchnęły na nowo w całym mieście. Wychodząc z budynku radia, Geroe omal nie został zlinczowany przez tłum. W ostatniej chwili uratowała go policja i dzięki niej dotarł do siedziby partii, gdzie, pod naciskiem innych członków politbiura, zdecydował się na natychmiastowe zwołanie plenum K.C. Ale jednocześnie — trudno jest dziś powiedzieć z pewnością czy pod wpływem panicznego strachu, czy wykonując z góry ułożony plan — zwrócił się do sowieckiego dowództwa z prośbą o „pomoc” węgierskiemu wojsku w przywróceniu porządku. Jest to oczywiście eufemizm. Mimo siedmiu lat politycznej indoktrynacji Geroe słusznie nie ufa żołnierzom węgierskim i nakazuje im pozostanie w koszarach. Jedynie siły A.V.O. — węgierskiego U.B., powołane są u boku Rosjan do tłumienia powstania, które same sprowokowały, strzelając począwszy od północy do bezbronnnych jeszcze manifestantów.

Od tej chwili sytuacja staje się płynna. Powstanie ogarnia całą stolicę. Arsenały stają otworem przed manifestantami, do których przyłącza się wielu żołnierzy i oficerów. Z przedmieść Budapesztu napływają robotnicy. Atmosfera staje się rewolucyjna. Węgrzy mają dosyć niewoli.

Tymczasem Komitet Centralny obraduje w strachu i zamieszaniu. Większość wypowiada się przeciw Geroe i decyduje się zwrócić do Imre Nagy'ego, kooptując go do Politbiura i ofiarując mu prezesurę rady ministrów. Ale wiadomość o przejęciu rządów przez Nagy'ego radio ogłasza dopiero nazajutrz rano, kiedy powstanie przybrało jeszcze bardziej na sile i gdy liczba ofiar wzrasta z godziny na godzinę. I oto Imre Nagy, który miał nadzieję stanąć przed narodem jako zbawca, zaczyna swe rządy pod znakiem prawa wojennego. Dowiaduje się zresztą teraz, że



Nagy, powiadomiony o apelu o „pomoc” wojsk sowieckich, chce odmówić przyjęcia władzy. Ulega naleganiom swych przeciwników, a zwłaszcza błaganiom przyjaciół, pod warunkiem, że położy się natychmiast kres interwencji sowieckiej i że sam będzie mógł publicznie zdezwuować apel Geroe do wojsk sowieckich. Politbiuro udaje, że przyjmuje jego warunki. Ale od tej chwili przez kilka następnych dni Nagy — odizolowany od swoich najbliższych współpracowników — jest więźniem Rakosistów i ich sowieckich protektorów i nie może mieć żadnego wpływu na rozwój wypadków. Rząd utworzony z ludzi których ma pod ręką, przestaje właściwie istnieć zanim zdążył funkcjonować. Partia, którą reorganizuje, rozpada się zanim może działać na nowo. Większość jego dotychczasowych zwolenników, pod wpływem tragicznego nieporozumienia, przechodzi do socjaldemokratów, którzy wychodzą znów na scenę polityczną pod przewodnictwem dzielnej Anny Kethly. Formuła „narodowego komunizmu” pęka w rękę Nagyego. Na ruinach stalinowskiego terroru wykwitają na nowo wszystkie tak długo dławione prądy, najlepsze i najgorsze: socjalizm, klerykalizm, demokracja rolna, wszystkie odcienie nacjonalizmu aż do faszyzmu włącznie. To, co jeszcze utrzymuje Nagy'ego na powierzchni, to wyłącznie jego wielki prestiż osobisty i jego reputacja uczciwego człowieka i patrioty.

W październikowym numerze „Kultury” nakreśliłem krótki szkic rozwoju wypadków przed rewolucją. Zamiast śledzić dzień po dniu przebieg wypadków rewolucyjnych, co zresztą zrobiła dokładnie zachodnia prasa, chciałbym raz jeszcze podkreślić to, co, moim zdaniem, stanowi różnicę pomiędzy rozwojem sytuacji na Węgrzech i w Polsce.

W Polsce, większość członków aparatu komunistycznego zdecydowała się na zagranie karty Gomułki, w usprawiedliwionej nadziei, że Gomułka odnowi partię i w pewnym sensie ją zrehabilituje, gwarantując jednocześnie osobiste bezpieczeństwo wielu skompromitowanych komunistów. Na Węgrzech tymczasem nienawiść pomiędzy stalinistami z grupy Rakosiego i zwolennikami Imre Nagy'ego była tak silna, że istotnie zwycięstwo Nagy'ego, nawet pokojowe, nawet na wzór Gomułki, oznaczałoby czystkę całego aparatu partyjnego, znacznie bardziej radykalną niż to miało miejsce w Polsce. Wielu zwolenników Nagy'ego żądało zresztą postawienia rakosistów pod sąd. To jest zapewne główna przyczyna tego że Geroe i jego ludzie tak długo bronili się przed przekazaniem rządów Nagy'emu i że woleli zainscenizować krwawą prowokację, aniżeli zejść z widowni politycznej.

Jaką dać nazwę krwawym, powikłanym, tragicznym wypadkom, które zaczęły się na Węgrzech 23 października? Wybuch antysowiecki? Zamieszki kontrrewolucyjne — jak starała się wykazać prasa stalinistów od „Prawdy” aż po „Humanité”? Na pewno nie. Zresztą, sam rząd sowiecki odrzucił tę interpretację, opowiadając się, w swej deklaracji z 30 października, za wersją

Nagy'ego. „Studenci i młodzi robotnicy którzy chwycili za broń nie są ani faszystami ani kontr-rewolucjonistami”, pisał 28 października centralny organ węgierskiej partii komunistycznej, „Szabad Nep”, który od 23-go przeszedł w ręce zwolenników Nagy'ego. „Cały naród dążył całą duszą do tego, czego nikt już nie zdołał zadusić: ewakuacji wojsk sowieckich z naszego terytorium, zrealizowania słusznych żądań robotników, reformy systemu...”

Najlepsza nazwa, jaka mi się nasuwa dla określenia powstania całego ludu węgierskiego, to *bunt narodu*. Rewolucja narodowa jest zawsze niezmiernie złożona, pełna niespodzianek. I zawsze jest ona wyrazem podświadomości całego narodu, ze wszystkimi elementami infatyizmu, reakcji, postępowości, powrotu w przeszłość i rzutowania w przyszłość.

Rewolucja narodowa jest zawsze rozrachunkiem, rozrachunkiem z opresją, z imperializmem źle przystosowanym do okoliczności. Marksistowskie półinteligencje, ideologowie ślepi na wszelką rzeczywistość, wyobrażali sobie, że Historia wprzęgnięta jest do ich rydwanu. Otóż historia udzieliła nam tym razem poważnej i upokarzającej lekcji. Nasza teoria, nasza interpretacja, nasza świadomość świata, w którym żyjemy, pozostała w tyle poza rzeczywistością. Nie trzeba igrać z historią. Nie trzeba zwłaszcza igrać z duszą ludów, ze świadomością narodową.

Marksizm o tym nie zapomina, robi nawet z tej zasady jeden z kamieni węgielnych swej konstrukcji, ale jego krnąbrni uczniowie sowieccy zupełnie ją zaprzepaścili.

Wystarczy odczytać list, napisany 7 lutego 1882 przez Fryderyka Engelsa do Karla Kautsky'ego o rewolucji 1848 roku, którą przeżyliśmy ponownie w ciągu ostatnich tygodni w Polsce i na Węgrzech:

„Wielki naród” — pisze Engels — „na mocy praw historycznych nie może zajmować się żadnym zagadnieniem wewnętrznym zanim nie odzyska niepodległości. Przed rokiem 1859 nie mogło być mowy we Włoszech o socjalizmie, ani o republice, mimo że włoscy republikanie należą do najbardziej zapalonych”.

I Engels dodaje proroczco:

„Jakośkolwiek współpraca międzynarodowa możliwa jest tylko między równymi. ... Póki Polska jest podzielona, pod obcym jarzmem, nie może się tam rozwinąć żaden ruch socjalistyczny godny tego imienia. ... Każdy robotnik czy chłop polski, raz obudzony ze swej apatii, w pierwszym odruchu świadomości spraw publicznych musi się natknąć na problem obcej przemocy... Usunięcie tej przemocy jest warunkiem sine qua non każdego zdrowego i swobodnego rozwoju”.

To co było prawdą w roku 1882, pozostaje nią w roku 1956. Tak było w Polsce pod przemocą carską, tak jest w Polsce i na Węgrzech dzisiaj.

Czy się to komu podoba czy nie, Polacy i Węgrzy są tym co się potocznie nazywa „wielkimi narodami”. Wchodzą tu



w grę narodowe realia istniejące od tysiąca lat. Niestety, w roku 1949 przeszczepiono na Węgry (i do Polski) formę biurokratycznego kolektywizmu, technikę rządzenia, atomizacji i reorganizacji społeczeństwa *specyficznie rosyjską*, zrodzoną z walk pomiędzy frakcjami po październikowej rewolucji. Nie brano przy tym zupełnie pod uwagę cech narodowych węgierskich czy polskich, i w ten sposób zadano gwałt duszom wielkich narodów, wbrew wskazaniom Marksa i Engelsa.

W mojej „Historii Demokracji Ludowych”, wydanej w Paryżu w roku 1952, próbowałem zwrócić uwagę Zachodu na tę potworną omyłkę, gorszą jeszcze od zbrodni:

„Związek Sowiecki dąży w sposób grubiański do zakorzenienia w całej Europie Wschodniej mitu wyższości człowieka sowieckiego, techniki i kultury sowieckiej. Osiąga to rezultaty wręcz przeciwnie. We wszystkich tych krajach uczucia narodowe pozostały bardzo żywe i istnieje potencjalny bunt przeciw absolutnemu posłuszeństwu, którego żąda Związek Sowiecki. W istocie, pod pozorem zwalczania „burżuazyjnego szowinizmu”, Związek Sowiecki prześladuje instynkty patriotyczne narodów Europy Wschodniej...”

W tej samej książce stwierdzałem jak wielkim błędem była chęć odcięcia od Zachodu tych narodów „głęboko przywiązanych do europejskiej cywilizacji”, narzucenie kolektywizacji wbrew jednomyślnemu oporowi chłopów; wprowadzenie dyktatury proletariatu, w której proletariatus nie mógł się rozpoznać, skoro pozostawał głęboko związany ze swą tradycją związkową i z socjaldemokracją.

Nie mówię już nawet o błędach gospodarczych systemu, które zostały oficjalnie uznane w Polsce, na Węgrzech i na samym Kremlu.

Wyciągam te wnioski bez nienawiści, z głębokim smutkiem. Z tym smutkiem który odczuwają wszyscy socjaliści na całym świecie, dla których patriotyzm i internacjonalizm nie stoją w sprzeczności, i których słownictwo zostało przez Sowiety pokalane i zbryzgane krwią.

Ostatnie wypadki w Polsce i na Węgrzech, a zwłaszcza na Węgrzech, stanowią ważne ostrzeżenie dla wszystkich socjalistów świata: czas porzucić mgliste schematy ideologiczne i odnaleźć żywe ciało historii i ludzkości, która jest naszą ostateczną ojczyzną i ostateczną prawdą.

François FEJTŐ

(Tłumaczył K.A. Jeleński)

## Polska «rewolucja październikowa»

### „DESTALINIZACJA” I „DESATELIZACJA”

Miedzy tymi dwoma określeniami, wytworzonymi przez wydarzenia bieżącego roku, mieści się znaczna część zagadnienia przyszłości Europy Środkowej, a na ich tle rozwój przemian zachodzących w Polsce stał się ważnym wskaźnikiem położenia międzynarodowego. Pomyślny obrót wydarzeń może tu prowadzić do wytworzenia się nowego kierunku politycznego, którego ideologia nie powinna zagrażać ani Wschodowi, ani Zachodowi; w razie zaś wyłonienia się trudności i opóźnienia całego procesu pozostanie to chyba najśmielszą próbą wyjścia z obecnego politycznego i ideowego impasu. Jest to także demonstracja życzeń autentycznego proletariatu tej części Europy, wyniszczonej najpierw przez Niemców, a następnie pauperyzowanej przez wyzysk stalinowskiego imperium. Ponadto po raz pierwszy konsekwentna akcja polityczna została przeprowadzona przez dojrzewające pokolenie powojenne, prawie już całkowicie wychowane pod rządami komunistycznymi i nie mające za sobą bezpośredniego doświadczenia żadnego innego ustroju poza gospodarką socjalistyczną i absolutyzmem jednej partii.

Po raz pierwszy bowiem w ramach bloku sowieckiego pojawiło się hasło połączenia szacunku dla podstawowych praw jednostki z socjalistycznymi zasadami życia gospodarczego i politycznego, co w znacznej mierze równa się usiłowaniam związania komunizmu z europejską tradycją rewolucyjną wywodzącą się od Rewolucji Francuskiej. Po raz pierwszy również zażądano nowego ułożenia stosunków sąsiedzkich ze Związkiem Sowieckim, przechodząc do pozycji samodzielnego państwa, świadomie szukającego oparcia w sile Rosji wobec poczucia zagrożenia od strony Niemiec. Nacisk, położony na tym motywie



postępowania, dążył do zasadniczej zmiany sytuacji, gdyż odąd zbliżenie z Rosją miało się opierać nie tyle na wspólnocie ideologicznej albo na jednostronnej zależności, co na łączności interesów. Chociaż Węgry posunęły się dalej, żądając uznania swej neutralności i tym samym zaprzeczając istnieniu wspólnych korzyści, stanowisko polskie otwierało jednak drogę do dalszej polityki zmieniając samą istotę sojuszu polsko-sowieckiego. Równocześnie w zakresie hasel ideologii komunistycznej uznano tylko słuszność ostatecznego celu, pozostawiając sobie swobodę wyboru środków, to znaczy określania politycznej teraźniejszości. PZPR przekształcał się tymi decyzjami w socjalistyczny odpowiednik jakiegoś odrębnego „kościółka narodowego”, odrzucającego wszelką ortodoksyjną i autorytatywną „wykładnię pisma”. Wszystko razem wzięte, stanowi krok dzielący „destalinizację” od „desatelizacji”.

Niezależnie od narzucenia układów wojskowych i gospodarczych, przyjęcia baz sowieckich i obsadzenia wielu ważnych stanowisk specjalistami rosyjskimi, w pojęciu tak zwanego „państwa satelickiego”, a więc podporządkowanego ostatecznym decyzjom rosyjskim, leżało ograniczenie swobody i zakresu zmian wewnętrznych. Reforma rosyjska, prowadząca się przede wszystkim do ataku na „kult jednostki” i uznania „zbiorowego przywództwa” starała się o usunięcie szkodliwych dla państwowości nadużyć okresu stalinowskiego, bez naruszania wszakże podstawowej struktury państwa, dziedziczonej po Stalinie. Dopóki prąd reformistyczny mieścił się w tych granicach, trzeba było używać słowa „demokratyzacja”, jako nie nawiązującego do innego dziedzictwa politycznego poza wzorami rewolucji październikowej. Rzucenie hasła „demokracji socjalistycznej”, jako programu zachowującego socjalistyczną własność środków produkcji i przyjmującego ewolucję w stronę bliżej jeszcze nieokreślonej formy rządów parlamentarnych, mogło być możliwe tylko przy zmianie charakteru stosunków polsko-rosyjskich. W związku z tym urzeczywistnianie reform, przechodzenie od słów do czynów, zależy od stopnia rozluźnienia poprzedniego związku polsko-rosyjskiego i zgody Rosji na tolerowanie warszawskiego eksperymentu, na poddanie go próbie czasu, zanim polityka Moskwy uzyska jasną ocenę, czy w obecnym układzie międzynarodowym *casus Gomułka* sprzyja czy też szkodzi głównym interesom Związku Sowieckiego.

Wyjaśnienie tej sprawy może zająć tygodnie a nawet miesiące, może też stać się kwestią najbliższych dni. Dla polskiego punktu widzenia istotny jest wpływ sytuacji na wewnętrzny rozwój wypadków, wobec którego trzeba sobie powiedzieć, że po rozgrywce węgierskiej każde posunięcie musi się liczyć z granicą, jaką Rosja wyraźnie zaznaczyła swym stosunkiem do węgierskiej próby „demokracji socjalistycznej”. Wystąpienie z paktu warszawskiego, zajęcie stanowiska neutralnego, co automatycznie pociąga za sobą żądanie likwidacji baz, zostało przez Rosję uznane za naruszenie jej interesów na terenie międzyna-

rodowym i za groźbę dla jej bezpieczeństwa. Jeżeli natomiast tych granic się nie przekracza, Rosja staje przed wyborem udzielenia lub odmówienia swego poparcia takiej grupie partyjnej, która obiecuje stabilizację stosunków nie tylko własnemu społeczeństwu, ale i Związkowi Sowieckiemu.

Jeżeli krajami Europy Środkowej trzeba rządzić przy pomocy okupacji wojskowej, oznaczałoby to dla Rosji całkowite przekreślenie koncepcji bariery państw komunistycznych, zabezpieczających jej granice ze światem Europy Zachodniej. Okupowane tereny, rządzone przymusem i postrachem, miałyby co najwyżej wartość baz lotniczych i wojskowych, utrzymywanych za wysoką cenę. Wiązałyby one znaczną ilość oddziałów wojskowych, stanowiły stałe źródło zaognienia i dotkliwie obciążenie prestiżu sowieckiego wobec komunistów całego świata i państw neutralnych. Dokładnie w tej właśnie sytuacji znalazła się polityka rosyjska po krwawym tłumieniu protestu węgierskiego, zamieniającego się w ogólnonarodowe powstanie przeciw partii, reprezentującej Rosję a nie miejscowy świat pracy. Nie leży to w jej interesie.

Trudność przyjęcia przez Rosję polityki, sprzyjającej jej roli głównego ośrodka komunizmu a jednocześnie nie zagrażającej jej roli wielkiego mocarstwa, słowem — polityki umiarkowanej „desatelizacji”, polega na tym, że po czystkach stalinowskich w Europie Środkowej prawie nie ma ludzi, do których mogłaby mieć zaufanie i którzy potrafiliby także skłonić naród do współpracy z Rosją, jako do warunku śmielszej reformy stosunków wewnętrznych. Wydarzenia polskie i węgierskie pokazały, iż krępowane dotąd narody żądają jak najdalej idących zmian, podczas gdy Rosji brak ludzi typu Wielopolskiego, a nie chce ona dopuścić do powrotu ludzi typu Mikołajczyka.

Wypadkami często rządzi odruch strachu, pod pozorem uspokajającej się sytuacji mogą się ukrywać plany podjęcia ostatecznego ryzyka, gdyby jednak doszło do głosu logicznego, ostrożnego myślenia, wartość Gomułka — z punktu widzenia potrzeb sowieckich — powinna niepomniernie wzrosnąć po wypadkach węgierskich. Ostatecznie Rosja miała sposobność przekonać się do jakich następstw doprowadza uporczywe popieranie ludzi typu „grupy natolińskiej”, którym nikt nie wierzy i których nikt nie chce. Oczywiście że dawni stalińscy zawsze będą starali się wystąpić w roli jedynej niezawodnej, prorosyjskiej czynnika partyjnego. Gdyby udało się im sprowokować gwałtowne zajścia i próbę obalenia ich rządów siłą, mieliby w ręku dowód, że druga strona dążyła do antyrosyjskiego zamachu i że jedynym wyjściem z katastrofy jest udzielenie im przez Związek Sowiecki czynnego poparcia.

Na Węgrzech miejscowy „Natolin” już rozpoczął wykonywanie podobnego planu, ale zaskoczyła go reakcja mas robotniczych i młodzieży; wypadki potoczyły się szybciej niż przypuszczano i zanim przyszło do oparcia się na groźbie sowieckiej siły wojskowej, stało się oczywiste iż grupa dawnych stalinowskich



rzadców porusza się w politycznej próżni, całkowicie wyosobniona ze społeczeństwa i nawet z partii. W końcu fala rewolucyjna wyprzedziła wszystkich polityków komunistycznych i reakcyjnych i demokratyzujących, pozbawiona zaś kierownictwa politycznego przyniosła program nie do przyjęcia dla imperialistycznych ambicji rosyjskich.

W Polsce znajdowano się zaledwie o krok od podobnego dramatu. Jeżeli podwarszawski „Natolin” spodziewał się że może zatrzymać władzę bez wybuchu masowego protestu, byłby nie do uwierzenia naiwny; jeżeli zamierzano stłumić ten protest siłą, byłoby to decydowanie się na wojnę domową o nieobliczalnych następstwach. Wolno dzisiaj przypuszczać, że najpierw liczone na efekt szybkiego działania i energicznych represji połączonych z koncesjami gospodarczymi dla szerokich mas, których koszt miałyby ponieść Rosja. Kiedy zaś było już jasne, że ten manewr zawiedzie, spróbowano uciec się do trzeciego sposobu, do wymuszenia kompromisu pod naciskiem rosyjskim. Dla grupy reakcyjnej byłby to kompromis czasowy, ale dosadne skompromitowanie dla grupy reformistycznej — Gomułka musiał stać się symbolem, a nie jednym więcej funkcjonariuszem ustroju.

Stopniowe rozszerzanie się krytyki i odwrotu od przeszłości musiało przynieść chwilę, kiedy nie sposób było nadal stosować wzór sowiecki, polegający na prowadzeniu nowej polityki przez dawnych ludzi. Ale równocześnie zmiana ludzi, konieczna i oczywiście, musiała nieuchronnie oznaczać przejście od „destalinizacji” do „desatelizacji”, ponieważ od nowego człowieka oczekiwano nowego hasła. Uparty marksista mógłby tu dostrzec klasyczny przykład przejścia zmian ilościowych w zmianę jakościową. Interwencja sowiecka w Warszawie, jeżeli nawet uznała potrzebę przesunięć personalnych, prawdopodobnie starała się oddzielić je od zjawiska „desatelizacji”. Skutek był wręcz odwrotny i gdyby nie przeszłość Gomułki, dałoby się niemal powiedzieć, że nowemu Biuru Politycznemu partii same wypadki narzuciły hasło suwerenności.

## REWOLUCJA I SUWERENNOŚĆ

Cokolwiek będzie dalej, nie ma powrotu do sytuacji sprzed VIII plenum Komitetu Centralnego PZPR. Ten punkt zwrotny, być może nie tylko w losach polskich ale i w historii całego ruchu komunistycznego, jest tak samo naturalnym następstwem poprzedniego łańcucha wydarzeń, jak i zapowiedzią dalszego ich ciągu. Interwencja na Węgrzech doprowadziła Związek Sowiecki do granicy wojny, ale ewentualny wybór pokojowego rozwiązania i przyjęcie przez politykę rosyjską „eksperymentu Gomułki” również będzie musiało mieć swoje konsekwencje. Gdyby Gomułka polegał jedynie na sukcesie osobistym i przejmował spadek poprzedniej działalności partii, zapewne posiadałby większą swobodę ruchów. W tej chwili, rozumiejąc że dla utrzymania

pozycji jest mu potrzebne ułożeniu modus vivendi z Kremlem, musi zarazem zdawać sobie sprawę, iż ruch jaki wyniósł go do władzy nie będzie słabł lecz potężniał. Najwyższe grupy mogą przyjąć ograniczenia żądań, jeśli idzie o stosunki polsko-rosyjskie, natomiast hamowanie reform wewnętrznych od razu wywołałoby podejrzenie że suwerenność podlega jakimś ukrytym więzom. W imię zatem suwerenności młodsze pokolenie będzie energicznie domagać się wykonywania i powiększania ogłoszonego programu tym silniej, im bardziej trzeba będzie uważać na słowa i gesty, jeśli idzie o zewnętrzne stosunki z potężnym sąsiadem.

Ta sama fala dyskusji, która w istocie rzeczy ocaliła Polskę od losu Węgier przygotowując solidarny front narodowy na rozstrzygającą chwilę, będzie zapowiadać następne wydarzenia. Jeżeli nie przeciwstawi się im Rosja, będą one przekształcać życie polskie zgodnie z wymaganiami nie tyle tego, co w tej chwili już dosyć ogólnikowo nazywa się partią, ile w zgodzie z żądaniami politycznie aktywnej części społeczeństwa. Prasa partyjna podkreśla, że w Polsce PZPR znalazł się na czele idącej fali nastrojów i wydarzeń w przeciwstawieniu do Węgier i że dzięki temu partia była w stanie pokierować „polską rewolucją”. Pokierować — w znaczeniu chyba wyłącznie techniczno-organizacyjnym, gdyż treść „rewolucji” przyszła spoza partii, w każdym bądź razie spoza jej oficjalnej ideologii. PZPR staje się w tej chwili wygodnym, bo nie prowokującym szyldem, gotową ramą organizacyjną, lecz treść ruchu „naprawy Rzeczypospolitej” krystalizuje się równie dobrze w partii, jak i poza partią. Takie jest rzeczywiste znaczenie zwrotu o „przodującej partii”. Gdyby wraz ze zmianą treści, usiłowano zmienić i formy, skutki mogłyby być równie nieobliczalne jak w Budapeszcie, gdzie tego właśnie próbowano dokonać. Stąd respekt dla form i rosnąca śmiałość w kształtowaniu treści.

Być może że sytuację ułatwiło także niesprecyzowanie programu, jego samorodność, uczuciowa wartość takich słów, jak suwerenność i niepodległość. Gdy nic nie będzie podsycać nastrojów podniecenia, niepokoju czy entuzjazmu, przyjdzie ochłonięcie z pierwszego zapału i dyskusje zajmą się szczegółowymi zagadnieniami ustrojowymi. W krytycznych natomiast dniach październikowych słowo „suwerenność”, tak wreszcie wypowiedziane przez Gomułkę, że uwierzono jego szczerości, przebiło zaporę „dętwej mowy”; reszty dokonało poczucie wspólnego niebezpieczeństwa, zabarwiające ściśle legalne poczynania atmosferą rewolucji.

Poza bowiem legalną formą działań niewątpliwie leżała gotowość do walki, do zniweczenia ataku przeciwnej grupy, i szeroka praca przygotowawcza, posiadająca coś wspólnego z atmosferą poprzedzającą zwołanie posiedzenia sejmu dla uchwalenia głównych ustaw konstytucji 3 maja.

Od dawna już odczuwano istnienie linii podziału w partii i w całym krajowym środowisku lewicowym. Ataki na śmiałość



prasy, wystąpienia antysemickie, napaści na środowisko intelektualne narzucały po prostu potrzebę wspólnego działania. Z głosów prasy polskiej po 20. X. rb. wynika, że grupa odsuwana w cień posiadała plan, który przewidywał użycie, jak napisała „Nowa Kultura” — „środków najhaniebniejszych, najbardziej zbrodniczych”. Część członków Biura Politycznego — w jednej z polskich audycji radiowych powiedziano to wyraźnie — zamierzała oprzeć się na wojsku i wykorzystać interwencję sowieckich autorytetów partyjnych. Oczekiwano nawet aresztowań mających uderzyć w pisarzy, dziennikarzy, w obsługę radia, organizacje młodzieżowe, nie mówiąc już o kierownictwie warszawskiej organizacji partyjnej. W nocy z 19-go na 20-ty, i z 20-go na 21-szy ostrzegano się wzajemnie i nie spano we własnych mieszkaniach; przywódców ruchu strzegła utworzona samorządnie milicja robotnicza. Zadaniem partii w stolicy była ochrona legalnego przebiegu obrad Komitetu Centralnego i zapewnienie natychmiastowego ogłoszenia wyniku wyborów do Biura Politycznego. Dodatki nadzwyczajne gazet sprzedawali studenci i wezwani do pomocy uczniowie.

Idące starcie było zarówno wynikiem głośnej mowy Chruszczowa na XX Zjeździe, jak i całych rządów komunistycznych w Polsce. Dochodziło do rozbratu między wołającymi o potrzebę „dźwignięcia się z naszego upadku” a innymi, przekonanymi o możliwości dalszego łatania sytuacji. Morałiści stanęli przeciwko starym praktykom politycznym; pokolenie powojenne, szukające jakiejś prawdy, przeciw ludziom od lat przyzwyczajonym do lawirowania wśród kłamstwa.

Kolejne akty tragedii Węgier pokazują czym groziły rządy „Natolina” zaczynane wbrew ogólnej woli. Wydaje się, że społeczeństwo odrzuciłoby wszelką „oktrojowaną reformę”, a represje sprowokowałyby gwałtowną reakcję. Kiedy grupa reformy podejmowała swoją niełatwą grę, kluczowym zagadnieniem było dla niej związanie się ze społeczeństwem, w ten sposób stającym się jakby arbitrem w wewnętrznym konflikcie partii. Zbliżenie dokonywało się głównie za pośrednictwem młodzieży, środowiska intelektualnego i lewicowej inteligencji, współpracującej z ruchem „samorządów robotniczych”. Rady robotnicze powstawały w większych zakładach pracy, w niektórych oficjalnie, w innych, jak można sądzić, na razie jako grupy projektujące wystąpienie z nową inicjatywą organizacyjną. Ważną rolę w tworzeniu się tego frontu robotniczego spełniał pełny tekst lutowej mowy Chruszczowa, który w nieuszczerplonym brzmieniu dotarł tylko do niektórych podstawowych organizacji partyjnych; znały go między innymi załogi fabryczne fabryki samochodów osobowych na Żeraniu i zakłady im. Kasprzaka. Wśród inteligencji, albo należącej do partii albo też mającej bliski kontakt z jej członkami, najważniejszą część stanowili dawni socjaliści i ludzie młodzi. Wszystkich ich zaczynała łączyć myśl o konieczności przeprowadzenia podstawowych zmian i usunięcia jedno-

stek, obciążonych odpowiedzialnością za „dziesięciolecie Polski Ludowej”.

W przeciwstawieniu więc do zupełnej spontaniczności rewolucji węgierskiej, w Polsce zwolennicy reformy byli w stanie liczyć na przygotowanie nastrojów długotrwałą dyskusją prasową, na wyłanianą się z niej program i na powstanie milicji robotniczej, od razu gotowej do zabezpieczenia świeżych zdobyczy. Gdy na Węgrzech wojsko przechodziło na stronę demonstrantów dopiero na widok czołgów sowieckich, w Polsce reedukacja polityczna dotarła do szeregów wojskowych. „Po Prostu” było popularne w kołach młodszych oficerów, a krytyka wychowania politycznego w wojsku wpływała również i na żołnierzy.

Niespodzianym gościom sowieckim mogło więc Biuro Polityczne pokazać postawę społeczeństwa, mobilizację członków partii w Warszawie, napływ depesz i delegacji. Propozycję wyjazdu członków Biura do Moskwy odrzucono, gdy do Warszawy nadchodziły wiadomości o ruchach wojsk sowieckich. Obrady Komitetu Centralnego odroczone, i nie byłoby dziwne gdyby ktoś powiedział: „Nie będziemy obradować pod bagnętami”. Wydaje się że o rozwoju wydarzeń zdecydowało okazanie poparcia nowemu kierownictwu partii jeszcze przed jego wybraniem, podczas gdy w Budapeszcie dopiero bieg wydarzeń wytworzył spóźnione porozumienie między demonstrującymi mieszkańcami stolicy a Imre Nagy. Nagy był postacią przypadkową, Gomułka miał za sobą najlepszą legitymację: więzienie i dwukrotne nie poddanie się naciskom Kremla. Raz — przy rozwiązywaniu KPP, drugi raz — w okresie politycznego i ideowego ataku na Tito. Co więcej, Gomułka był starym człowiekiem partii, dawnym jej sekretarzem generalnym, i to zapewniało mu zaufanie szczerych komunistów, a nie tylko grup „demokratyzujących”.

Zjawisko ogólnonarodowej solidarności było w Polsce powojennej czymś tak nowym, że w pierwszej chwili pozwoliło zapomnieć o tym jak daleko znajduje się również i narodowy komunizm od prawdziwych ideałów demokratycznych. Wobec tragedii Węgier odroczył się okres wypróbowania tego nastroju współpracy, opanowanie zaś sytuacji w Warszawie nie oznaczało jeszcze ogarnięcia całej prowincji ową „legalną rewolucją” wewnątrzpartyjną. W wyborach do Biura Politycznego Rokossowski otrzymał około 25 głosów, co mniej więcej wskazuje na silną liczebną grupę ortodoksyjnej w Komitecie Centralnym wraz z głosami ludzi, którzy niczego nie chcieli ryzykować; we Wrocławiu, Szczecinie czy Kielcach rzeczy nie od razu poszły gładko. Lecz właśnie tam w całej pełni wystąpił prawdziwy charakter zjawiska politycznego przeżywanego przez kraj. Kiedy Chelchowskiego wybrano przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej, demonstracja protestacyjna zmusiła go do ustąpienia. O zmianach zatem decydowały masy, dające Gomułce swój kredyt; w partii — ludzie rozsądni postanowili pójść za masami.



## POLSKA REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA

Było więc w tych dniach wiele pierwiastka rewolucyjnego. Wysłannicy fabryki w Żeraniu alarmujący ośrodki prowincjonalne, organizujący nowe rady robotnicze, informujący organy partyjne w miastach pomorskich o prawdzie stosunków na górze partii, roznoszący wiadomość o przygotowanej liście aresztowań — przypominają podobną akcję robotników i marynarzy z Kronszadtetu. „Robotnicze ludowładztwo”, hasło powtórzone przez prasę warszawską, jest wczesnym hasłem rewolucji październikowej, którego następnie Kronszadt bronił przeciw absolutnej władzy centralnego rządu rewolucyjnego.

Pod wpływem tych podobieństw, pod wpływem zbiegu okoliczności, sprawiałego że wypadki warszawskie odbywały się prawie w przeddzień 39-ej rocznicy rewolucji rosyjskiej, w Warszawie powstało określenie „polskiej rewolucji październikowej”. Tytuły artykułów, mówiące o „dniach, które wstrząsnęły Polską” są wyraźną aluzją do głośnej książki Reeda: „10 dni, które wstrząsnęły światem” opisującej przebieg rewolucji w Petersburgu. Idzie tu o zjawiającą się wtedy świadomość, że w rozpoczętych zmianach może być zarodek odrodzenia ruchu komunistycznego i wprowadzenia go na tory zbliżone do demokratycznego socjalizmu. Akcja rosyjska na Węgrzech otworzyła oczy wielu ludziom, zwłaszcza w zachodnio-europejskich kołach intelektualnych; próba polska, sięgająca daleko poza granice titoizmu w swej treści ideowej, stwarzała jakąś możliwość pozostania przy partii dla ludzi dławionych się dotychczasowym zakłamaniem. Dla szerokich mas, dla większości narodu była to „polska rewolucja” z racji przeciwstawienia się groźbom rosyjskim, podczas gdy wielu członków PZPR widziało w tym przemianę rewolucji z zewnątrz narzuconej we własną, polską rewolucję.

Byłoby błędem przyjmować to pochopnie jako upowszechnienie rewolucji w Polsce, jednakże odtąd partia rewolucyjna, kierowana w imię polskich, a nie obcych, interesów, może szukać języka porozumienia z czynnikami politycznymi stojącymi poza jej obębem. Przy partii stalinowskiego typu, partii podporządkowanej Moskwie, nie do pomyślenia było ułożenie stosunków z Kościołem ani też choćby częściowe odzyskanie wielopartyjności. Dziś staje się to możliwe, jeżeli interes narodowy i dążenie do postępu społecznego znacznie stanowią platformę porozumienia między różnymi grupami. Jeżeli nawet ogólny układ międzynarodowy będzie utrudniał, czy też opóźniał śmielsze eksperymenty łączenia parlamentaryzmu z uspołecznieniem środków produkcji, Front Narodowy będzie można wypełnić nową treścią, podobnie jak nowa treść wchodzi w stare hasła partyjne. Moralne oczyszczenie lewicy otworzyło jej drogę patriotyzmu.

Dla oceny sytuacji w kraju konieczne jest zdanie sobie sprawy, kto właściwie przeprowadzał tę „polską rewolucję październikową” i jaki jest jej start ideowy. Szeregi partyjne w War-

szawie, fabryki „Żerań”, „Kasprzak”, Wojskowa Akademia Techniczna, uniwersytet warszawski i krakowski — oto pobieżna lista najczynniejszych ośrodków, zabiegających aby „wybiła godzina”. Trzeba to nazwać wystąpieniem „aktywu politycznego społecznego”. Idzie o czynnik społeczny, poczuwający się do odpowiedzialności za losy kraju i gotowy do przeprowadzenia, do czynnej i ryzykownej interwencji w życie polityczne, w odróżnieniu od protestujących milcząco, od sprzyjających ale biernych i nieorganizowanych.

Rewolucje rzadko bywają dziełem chłopów; w wielkich miastach przeprowadzają je robotnicy i studenci, ta część świata pracy której nie powstrzymuje pewien dobrobyt materialny i urzędnicza zależność od państwa. We współczesnej Polsce procent synów robotniczych w młodzieży akademickiej jest dość wysoki, by nie było przedziału między wyższą uczelnią i fabryką, to samo odnosi się już i do korpusu oficerskiego. Bez przesady więc „polską rewolucję październikową” można traktować jako protest młodego pokolenia, nie wyczerpanego jeszcze walkami politycznymi jak pokolenie starsze, nie odartego z ideałów. Wydaje się również, że młodzi szukają konkretnego, szybkiego, realistycznego rozwiązania w istniejących warunkach, biorąc jako punkt wyjścia nie przeszłość lecz teraźniejszość. Jest to ruch rewolucyjny nie przeciw całości ustroju, ale przeciw jego zwyrodnieniu, zbliżony swym duchem do każdej „reformacji” nawracającej do czystości pierwotnej doktryny.

Z historycznego wszakże punktu widzenia dosłowny nawrót jest niemożliwy. Jeżeli podstawą wysuwanych haseł staje się uświęcony tekst, przeciwstawiany praktyce ostatnich czasów, pozostaje zawsze zagadnienie jego nowej interpretacji. Dopóki nie będzie ona wypróbowana i określona czynem dokładniej aniżeli mogą ją określić słowa, istotna jej treść pozornie może pozostawać bliska dawnej ideologii rewolucyjnej. Po pewnym jednak czasie występuje decydujący wpływ współczesności, wtedy zaś najważniejszą sprawą zewnętrzną nie są formy ustrojowe, ale codzienne działanie ustroju. Każde prawo, to przede wszystkim sposób w jaki społeczeństwo zechce je rozumieć i stosować.

Ani podczas zająć poznańskich, ani w Warszawie, nie występowało przeciw upaństwowieniu przemysłu, upowszechnieniu własności rolnej czy przejęciu przez państwo, w postaci szeroko rozbudowanego systemu ubezpieczeń społecznych, odpowiedzialności za dobrobyt obywatela. Te cele i podstawy uznano, idzie jedynie o rozsądną i sprawną ich realizację oraz o poszanowanie praw jednostki. Symbolem ostatnich dni była swoboda i zaufanie z jakim Gomułka poruszał się wśród tłumu, nie oddzielając się od niego barierą dygnitarstwa i ochrony policyjnej. Ale poza wymową symbolu pozostaje praktyczna sprawa jak zapewnić masom swobodne wyrażanie ich opinii bez uciekania się do ciągłych demonstracji. Krótko mówiąc, idzie o osiągalne dzisiaj częściowe wprowadzenie metod demokratycznych.



Jeżeli partia, według oświadczenia Gomułki, ma przewodzić lecz nie rządzić, źródło władzy powinno znaleźć się w sejmie. Jeżeli rząd jest przed sejmem odpowiedzialny, wynika stąd że musi również być usuwalny wolą sejmu. Gdyby zastosować ostatnio przyjęte zasady nowej ordynacji wyborczej, decydującą rozgrywką polityczną staje się moment wyznaczania kandydatów. Podwojenie ich liczby gotowe w pewnej chwili zamienić się w nieoficjalne pojawienie się dwóch odrębnych list wyborczych, w razie gdyby przez partię i społeczeństwo przeszła wyraźna linia podziału. Nawet przy utrzymującej się przez pewien czas dawnej formie, można ustrój przesycić nowym znaczeniem.

Wszystko to posuwa się o wiele dalej niż praktyka titoizmu. Titoizm, jako odmiana teorii komunistycznej, był mimo wszystko jedynie modyfikowaniem istniejącej praktyki i korektą założeń sowieckich. Natomiast zasada, wysuwana nie tyle przez Gomułkę, ile przez całość owego nieskrystalizowanego ruchu protestu jaki ogarnął kraj, wprowadza zasadniczą różnicę. Jeżeli tylko odrzucenie wyzysku człowieka przez człowieka jest nienaruszalną opoką socjalizmu — do czego trzeba by dodać wyrzeczenie się wyzysku człowieka przez państwo — tego rodzaju ograniczenie dogmatu równa się jak najszerszemu empiryzmowi: dobre są wszystkie metody prowadzące do celu, o przyjęciu zaś metod decyduje nie martwy ich „regulamin”, lecz każdorazowe wyniki doświadczenia. Tym samym także sprawdzianem wyższości socjalizmu nad kapitalizmem staje się jego sprawność gospodarcza i społeczna, a nie pozaempiryczna wiara w moralną słuszność założeń. Na tym polega istota sprawy. Dalszym współzawodnictwem będzie konkurencja między swoistym „oświeconym absolutyzmem” socjalistycznym, a socjalistyczną demokracją. Oczywiście, towarzyszy temu obrona suwerenności, bez której program jest nie do przeprowadzenia.

Gdyby ów polski ruch, będący o wiele bardziej wyrazem patriotyzmu i oburzenia moralnego niż zorganizowanym frontem politycznym, mógł się swobodnie rozwijać, możliwe że wyłoniłaby się z niego ideologia dążąca do syntezy ducha 1848 roku i lat 1917-1918. Byłoby to podjęcie problemu, od którego zależy dalszy los socjalizmu, a może nawet i nadzieja na wyjście z obecnego tragicznego chaosu na lewicy, sprzyjającego tylko imperalistycznym zamierzeniom.

Zdzisław BRONCEL

## Sowiety : Wrzesień 1956

NOTATKI I WRAŻENIA Z PODRÓŻY (\*)

29 sierpnia.

W pociągu. Jeszcze Finlandia. Nowe, sowieckie, wielkie zielone wagony, przedziały na dwie osoby, radio, stolik, staromodne ozdoby, firaneczki, perski dywan pokryty zielonym chodnikiem. Herbata i biszkopty. Fińscy robotnicy kolejowi patrzą na ruszający pociąg, raczej nieprzyjaźnie, jak mi się wydaje.

Temperatura w wagonie tylko 16-17°C. czyli 61°F. Granica: podwójny rząd kołczastego drutu, wieżycy strażników. 7 wieczór. Jestem w Związku Sowieckim. Młody żołnierz MWD wziął mój paszport, drugi zapisał gotówkę. Bagaż mój nie wzbudził specjalnego zainteresowania. Natomiast strażnik szukał czegoś pod ławką...

Postój w Łużajce. Wielkie ukwiecone napisy po fińsku i rosyjsku: „Wsiemu miru mir”, „Żyjemy w wieku, w którym wszystkie drogi prowadzą do komunizmu”. Krępy oficer w obiszernym płaszczu stoi na peronie, po czapce poznaję, że MWD.

Wyborg — monumentalna stacja pełna chłopstwa. Radio bębni przemówienie o ukraińskim poecie, którego rocznicę właśnie się obchodzi.

30 sierpnia.

Cały dzień spacer z X. Pierwsze zdjęcia biednego tłumu na ulicach. Przyjechałem do Leningradu o północy. Przedstawiciel

Autor tych notatek, profesor nauk politycznych uniwersytetu Harvard w Stanach Zjednoczonych i członek Centrum Badania Rosji tegoż uniwersytetu, odbył w tym charakterze podróż naukową do Związku Sowieckiego, z której powrócił przed paru tygodniami.

(\*) Wszystkie opisane wydarzenia i rozmowy są autentyczne, jedynie niektóre miejsca, itp. zostały zmienione, aby nie narażać poszczególnych osób na jakiegokolwiek następstwa.



Inturista nie zjawił się na czas, wędrowałem więc sam przez tłum na stacji. Hotel wielki i staroświecki. Pokój obszerny, łazienka staromodna.

Spotkałem dwóch studentów. Jeden należy do Komsomołu, drugi wyrzucony. Porównywaliśmy dwa systemy i jeden z nich zauważył, że jego zdaniem kapitalizm jest bardziej postępowy niż komunizm. Ojciec jego jest dyrektorem instytutu. Obaj nie wierzyli, aby Beria był szpiegiem brytyjskim, śmiali się, gdy powiedziałem „Bucharin wreditiel”. Rząd nie pozwala podróżować zagranicę, bo by ludzie widzieli, o ile lepsze tam życie. Zapytywali mnie, czy jestem Republikaninem czy Demokratą, czy gazety nasze drukują kłamstwa o Związku Sowieckim, itp.

Wieczór na sztuce Priestleya. Specyficzny odór w teatrze. Potem Park Kultury, dużo dziewcząt szerokobiodrych, żołnierzy i oficerów. Entuzjazm, gdy muzyka gra jazz. Galeria portretów i haseł politycznych, nikt na nie nie patrzy.

31 sierpnia.

Rano twierdza Piotropawłowska, dawne więzienie, cele, napisy.

Rozmowa ze studentami o różnicy zdań między Malenkowem a Chruszczowem. Twierdzą, że to mało kogo obchodzi, bo i tak nie może się mieć na to wpływu. Dałem im Orwell'a i ki Sagan. Jeden mówił, że musimy uważać, czy ktoś nas nie śledzi. Wspomnieli o znajomym, którego ojciec obecnie powrócił, zwolniony z więzienia po dwudziestu latach. Czytali LOOK i chcieli więcej takich wydawnictw. Skarżyli się na biurokrację: mówią, że słyszeli iż w francuskiej fabryce pracuje 300 robotników, 12 inżynierów i 2 osoby personelu; w Rosji zaś 300 robotników, 12 osób w zarządzie a 3 inżynierów. Twierdzą, że istnieje znaczne sezonowe bezrobocie.

Popołudniu rendez-vous w instytucie. Profesor, który miał mnie spotkać, nieobecny — mimo uprzedzenia przez telefon. Drugi nie umiał wskazać nikogo — kto mógłby go zastąpić. Metro imponujące. Wstąpiłem do Muzeum Antyreligijnego w dawnym Kazańskim soborze. Patrząc na jakiś eksponat wskazałem nań sąsiadowi z uśmiechem. Młody, źle ubrany. Popatrzył i powiedział „irunda” — co znaczy „nonsens”.

Zaczęliśmy rozmowę, ale gdy spytałem, ile kosztuje jego płaszcz deszczowy, odpowiedział „cicho, nie tutaj”. Wyszliśmy razem i wtedy wymienił 400 rubli (\$100), a wskazując jednocześnie na grupę mężczyzn w skórzanych kurtkach dodał „to tajna policja”. Ktoś lepiej ubrany podszedł do nas i zaczął mówić po angielsku, drugi podszedł i przystanął koło nas. Pierwszy zachęcił mnie, aby go spytać, czy mówi po angielsku. Zrobiłem to (po angielsku), na co odpowiedział po rosyjsku, że nie mówi po angielsku. Jak jednak zrozumiał? Ale odszedł.

Dwaj chłopcy zagadnęli mnie, o nasz poziom życia w Ameryce, mówili, że nikomu nie podoba się kolektywne rolnictwo. Jeden z nich jednak dodał, że nie należy do Komsomołu, bo nie chce być wysłany na pracę w dziewiczych terenach. Wskazał na milicjantów „teraz widzi się ich mniej, noszą częściej cywilne ubrania, bo ludzie więcej mówią teraz”. Przystanęliśmy chwilę przed hotelem, ale jeden z nich czuł się widocznie nieswojo, bo ciągle szeptał drugiemu „poszli, poszli”.

Wieczorem spotkanie ze znanymi już studentami i jednym nowym. W dużych okularach, z czapą nasuniętą na oczy. Woleliby raczej nie być w restauracji, proponują pokój jednego z nich. Niedaleko, za rogiem. Szliśmy z dziesięć minut, potem taksówka pod front kamienicy. Weszliśmy do suteryn, potem podwórzem na drugą ulicę, wreszcie na drugie piętro do mieszkania. Chłopak mieszka w jednym pokoju z siostrą, rodzice z drugą siostrą w drugim. Rozmowa przy winie o układzie społecznym, antysemityzmie, równości tu, a w Stanach; z początku twierdzili, że w Sowietach nie ma klas, lecz następnie zmienili zdanie, dyskutowali między sobą, czy za zbrodnie w przeszłości ponosi odpowiedzialność Stalin czy system, nie bardzo wiedzieli, jakiego właściwie ustroju życzyliby sobie, nie byli pewni, czy istnienie dwu partii jest pożądane. Malenkow — karierowicz, nie tak popularny jak Trocki czy Bucharin w swoim czasie. Wszystko co chcieliby mieć dzisiaj, to tylko lepszy poziom życia. Antysemityzm — to kozioł ofiarny na ciężkie czasy. Żukow politycznie bez znaczenia, rola partii o wiele ważniejsza, a policji zmniejszyła się. Wszyscy wydawali się bardzo podnieceni a zarazem radzi z tej rozmowy. Powiedzieli, że to po raz pierwszy między sobą tak rozmawiali. Na odchodnym okazało się, że ojciec (dyrektor fabryki i wyższy członek partii) słyszał ją z drugiego pokoju i orzekł, że to wszystko „kleweta proti partii”.

Późniejszym wieczorem jeszcze jeden rozmówca w kawiarni „Siewier”, mechanik, czyta tylko pisma sowieckie „również dobre, jak zagraniczne”. Oświadczył, że różnorodność opinii i wolna prasa nie są potrzebne w proletariackiej demokracji.

1 września.

Zwiedziłem Ermitaż. Wspaniała kolekcja francuska. Również obrazy i sztychy, wywiezione z Polski. Obiad z B. poza hotelem: 57 rubli za dwie osoby. Na ulicy zaczepienie przez młodzieńca: „Przepraszam, z jakiego wy kraju? Czy macie coś na sprzedaż? Nie? to do widzenia”. Wszystko to po angielsku. Kapitalizm zakrada się!...

Wieczorem komedia muzyczna „Rozlało się morze szeroko”. Sala wielka, klasyczna, siedzę obok wyższego oficera. Przede mną zgrabna dziewczyna kłócąca się ze swym towarzyszem, porucznikiem lotnictwa. Wychodził dwa razy, wrócił pijany, w końcu zabrał się i zostawił ją samą. W czasie pauzy wszyscy spacerują parami, w regularnym kole naokoło ochłodzonej sali.



Przed przedstawieniem przemowa o demokratycznym charakterze sowieckiego teatru i jak trzeba gorliwie przygotowywać 40-tą rocznicę rewolucji. Treść komedii: patriotyczna ze zdemaskowaniem kobiety-szpiega niemieckiego.

Piechotę przez ulice: koszule męskie w oknach 130-200 rubli, kombinacje damskie 280 rubli.

2 września.

Jazda do Pietrodworca (dawny Peterhof), sam w wielkim ZIM'ie, dostarczonym przez Inturista. Letnia siedziba carów, statuy, fontanny, parki. Dużo zwiedzających, żołnierze, oficerowie, gapią się na mnie z ciekawością. Robiąc zdjęcie postawiłem nogę na ławce. Jakiś mężczyzna podszedł do mnie i rzekł ostro: „I kto teraz tu będzie siedział po was?” Rozmawiam ze spotkanym mechanikiem, Żyd, bardzo dumny, że walczył z nazistami. Opowiada o obronie Leningradu. Zarabia 1.300 rubli na miesiąc. Twierdzi, że panuje duży antysemityzm i że Stalin dodał Moskalom bodźca którego potrzebują. Pani Myerson dała Stalinowi listę osób, które chciały opuścić Sowiety i Stalin obiecał „zaopiekować się” nimi. Zrobił to, aresztując wszystkich. Chwiał amerykańskie wozy: postęp swój zawdzięczają Stany inicjatywie i rywalizacji. Chciałby zwiedzić zagranicę, gdzie jest inne życie. „Gdyby tylko była swoboda” wzdycha. Eisenhower popularny jak i Żukow, jego „przyjaciel”. Kirow był bardzo popularny, zawsze chodził piechotą do pracy — nie jak obecni liderzy. Zapytany o Chruszczowa zaśmiał się tylko. Zapytał mnie z kolei o Murzynów, wybory, czy Ike jest bardzo bogaty, o Suez. Powiedział, że Prospekt Stalina został ostatnio przemianowany na Moskiewski.

Po drodze: podwórza domów pełne drzewa na opał. Oficerowie wyróżniają się ubiorem.

3 września.

Wczoraj wieczorem jeszcze dwóch gości w restauracji. Jeden dowodził, że jest pochodzenia polskiego, lecz nie mógł wysłowić się poprawnie. Drugi Rosjanin. Ojciec pierwszego był ponoć na stanowisku w Polsce po wojnie. Rozmawialiśmy o warunkach w Polsce, mówił, że „bardzo złe”. Zapytywali mnie, czy Stany dotychczas odsyłają z powrotem, jeśli ktoś ucieknie na Zachód.

Zwiedzanie uniwersytetu. Jeden ze studentów pokazał mi swe notatki o marksizmie-leninizmie. Żalił się, że musi za tydzień wyjechać na miesiąc pomagać przy żniwach, „tu partia rządzi wszystkim”. Jeśliby odmówił, straci stypendium, ewentualnie może nawet zostać usunięty z uniwersytetu. Ubóstwia jazz. Na uniwersytecie przeważnie techniczne wydawnictwa z Ameryki, lecz także kilka numerów *New York Times'a*.

Znajomy student zaprosił mnie do swego pokoju. Ojciec, podobno dyrektor fabryki, zarabia przeszło 10.000 rubli miesięcz-

nie. Nastawił dla mnie swe płyty z jazz'em, mizerne nagrania na plastyku (robota domowa), pół muzyki, pół trzasku. Ofiarował się nawet sprowadzić jakąś dziewczynę! Zapytywał, czy poznać po ubraniu, że jest Rosjaninem. Przechowuje z nabożeństwem stary numer „Ebony” (ilustrowane pismo Murzynów amerykańskich) — coś z Ameryki...

Studenci bardzo nędznie ubrani. Wykłady zaczynają się dzwonkiem. Na kursach politycznych nie ma żadnych skryptów. Tylko wykład.

Szofer spierał się ze mną o odciski palców w Ameryce i obawę przed gośćmi z Sowietów. Incydent sklepowy z sowiecką atletką w Londynie uważa za prowokację.

Tura po mieście autem z przewodnikiem (kobieta w średnim wieku); знаła wszystkie daty, fakty, wagi i wymiary pomników, etc. Widziałem Instytut Smolny, stadion Kirowa, domy wypoczynku, nowe domy na Moskiewskim Prospekcie — trudno je odróżnić od starych. Przewodniczka była dumna ze wszystkiego, zapowiedziała na końcu, że obecnym hasłem jest prześcignąć plan 5-letni.

4 września (6 wieczorem).

Jestem w Moskwie. Hotel National; balkon i widok wprost na Plac Czerwony, mauzoleum i Kreml. Przyjechałem „Czerwoną Strzałą”, wygodny przedział sypialny na dwie osoby. Towarzyszka-kobieta, sekretarka Związku Zawodowego. Podróżowała zagranicą. Dumna z osiągnięć. Rano dołączyła się jej przyjaciółka, bardzo zaciekawiona Ameryką, choć ta druga ją mitygowała. Omawialiśmy dlaczego Amerykanie dopiero teraz tu przyjeżdżają. Była zdania, że hotele nie były przygotowane na przyjęcie turystów, ale że Stalin nie miał z tym nic wspólnego. Zamilkła, gdy ją spytałem, czy nie zgadza się z ostatnimi rewelacjami Chruszczowa.

5 września.

Wczoraj w ambasadach. Wieczór obiad ze znanym dziennikarzem. Dzisiaj muzeum na Kremlu. Skarby carskie, szaty, kielichy, ikony. Rano spacer z X. Wyglądało, po raz pierwszy, jakbyśmy byli śledzeni. Potem konferencje...

Po południu Wystawa Rolnicza i Budowa Maszyn. Robi wrażenie. Wieczorem balet tatarski „Szurale”. Dobry i wspinała wystawa.

6 września.

Obiad z Dr. White'em. Bierze udział w Kongresie Kardiologów. Przyjmowany owacyjnie. Wcześniej konferencje w instytutach.



Rano po śniadaniu w restauracji hotelowej przysiadł się młody Rosjanin, przedstawiając się tylko, jako „ruski Iwan”. Ubrany biednie; zaczął, jak zwykle, jak to znacznie lepiej będzie w przyszłości, jak wojna wszystkiemu winna, że nie rozmawiałby tak swobodnie trzy lata temu. Dodał ze smutkiem, że podróż jedynie do Bułgarii kosztuje 2.000 rubli, więc nigdy nie będzie w stanie odwiedzić Ameryki. Miałem godzinną rozmowę telefoniczną z rosyjskim naukowcem. Bardzo wygadany i otwarty: „system nasz”, mówił, „zbliżony jest do tego, który opisywali Grecy — dublowanie struktury rządowej przez lokalnych satrapów. W Ameryce operujecie przestarzałym materiałem: kolchoznicy już nie kwestionują kolektywizacji. Oczywiście i u nas wielu ma przestarzałe wyobrażenia o Ameryce... Zgadzam się, że potrzebujemy decentralizacji”. Zwrócił mi uwagę na podejrzliwość w Sowietach w stosunku do cudzoziemców. Zobaczę to, gdy wyjadę poza Moskwę i zaczął fotografować jakakolwiek studnię. Zaraz znajdzie się stara baba, która pomyśli, że zamierzam wrzucić do niej bombę bakteriologiczną.

Zwiedziłem mauzoleum. Długie ogonki na zewnątrz, ale nas stawiają na początku kolejki. Wchodzi się powoli, w eskorcie MWD. Wewnątrz mrok. Dwie kondygnacje schodów w dół. Powietrze chłodzone. Dwie trumny, pierwsza Lenin, druga Stalin. Lenin nie wygląda realnie, Stalin tak, ale starszy i mniej ma włosów, niż na portretach. Także twarz, jakby większą.

Wieczorem: w restauracji z czterema studentami. Krytykują brak wolności, podróży, niski poziom życia. Zwolnieni ze służby wojskowej jako studenci. Przekonani, że Amerykanie zaczęli wojnę koreańską. Mołotow popularny — nie kanciasty i nie wulgarny. Jeden wspominał o rasowych zaburzeniach w Kazachstanie. Drugi należy do Komsomolu, inny nadmienił, że to wiele nie znaczy. Mieszka razem z matką w jednym pokoju: płacą 45 rubli na miesiąc. Ormianin — nienawidzi Gruzinów.

7 września.

Zrobiłem zdjęcia małych chłopców przed mauzoleum. Jeden wskazał na mnie i krzyknął „stiliaga”.

Po różnych wizytach byłem w GUM: wielka hala z przejściami po bokach na drugim piętrze. Frizidery (model amerykański z roku 1930): 2.000 rubli.

Kobiety rzadko używają tu lipstick’ów.

Popołudniu w nowym uniwersytecie. Okazały gmach marmurowy z wielkimi audytoriami, etc. Bogato wyposażony. Pokazują mi pokoje mieszkalne, przy czym przewodnik podkreśla, że każdy zajęty jest tylko przez jednego studenta. Wnętrze pokoi nieco podniszczone, tynk opada.

Wieczorem obiad z dwoma inżynierami. Przyjechali spoza Moskwy. Jeden z nich członek partii, drugi nie. Rozmowa schodzi wkrótce na Amerykę i Sowiety. Odpowiadam na ich pytania o rynek pracy, zarobki, istotę społeczeństwa. Staram się do-

wieść, że każda generacja ma prawo do przyzwoitego życia, nie tylko przyszłe pokolenia. Komuniści dowodzi, że pracują dla przyszłości z altruizmem. Zagadnałem go o pogląd Malenkowa, czy sądzi, że on myśli kategoriami kapitalizmu? Drugi żywo przytakuje: „charaszo gaworite”. Na to komuniści: jeśli pan jest przedsiębiorcą w Ameryce, może pan zwolnić mnie z pracy, gdy się panu moja twarz nie podoba. Wyjaśniam znaczenie Związków Zawodowych i strajków. Pyta jak podobają się w Ameryce liderzy sowieccy. Gdy mówię mu, że Chruszczow robi wrażenie niezbyt kulturalnego, zrazu oponuje. W końcu, gdy obaj z drugim towarzyszem wspominamy o upijaniu się, ustępuje, podnosi natomiast, jak doskonały jest Mołotow.

8 września.

Lot do Odessy przez Kijów. Stary samolot, w połowie towarowy. Na lotnisku wnukowskim widzę nowy transportowiec TU-104, odlatuje do Irkucka. Wspaniały okaz o łagodnym starcie. Loty są podobno na razie nieregularne. Rozkładałem trochę starych dodatków ilustrowanych do *New York Times’a*, pasażerowie proszą o pozwolenie przegłądnięcia.

Postój w porcie lotniczym Kijowa. Toalety oznaczone: „Lady’s room” i „Man’s room” po angielsku (w ten sposób). Krzyki i zamieszanie przed odlotem, bo brak jednego pasażera. Pilot nastaje na odlot i w końcu kogoś załadowują. Na lotnisku byłem zapędzony do specjalnej jadalni, podobnie jak we Wnukowie, gdzie mi też dano oddzielną poczekalnię.

Odessa: przylot o 6-ej p.m. Hotel nawprost morza. Lepszy wygląd ludzi, miasto dość zrujnowane. Pokój duży, restauracja przepelniona, ale nie czekam, bo stolik zarezerwowany.

9 września.

Autem dookoła miasta: park kultury, morze, pałac Woroncowa (teraz Pionierzy), uniwersytet (w sali wejściowej trzy cytaty z Chruszczowa, jedna z Lenina), rynek kolchozny, plaża i dworzec kolejowy, zbudowany w 1952 (byłem przekonany że w 1902 roku!), odwiedziłem kościół katolicki (nie było nabożeństwa, parę osób modlących się) i prawosławny (trzech starych popów odprawiało mszę), przeważnie kobiety i to stare, tylko dwie młode, jedna, jak na poziom sowiecki, ubrana dobrze.

Popołudniu: sowchoz, dobra ziemia, dużo kukurydzy, jeszcze jedna plaża i muzeum obrony Odessy (interesujące, dużo broni, zdobytych sztandarów, itp.). Mój szofer i przewodnik oczarowani amerykańskimi „magazynami” pokazują je drugim.

Wieczorem: siedziałem na bulwarze nadmorskim. Towarzysz mój poprosił kogoś o zapalną i zaczęła się rozmowa. Wkrótce ktoś przeszedł na tematy polityczne i zebrał się tłum. Około 100-150 ludzi otoczyło nas, siedząc, stojąc, nachylając się prosto w nasze twarze. Pytali nas czy zgadzamy się z krytyką



socjalistów francuskich sowieckiego systemu. Wskazaliśmy na nierówność którą się tu widzi, kilka osób natychmiast odeszło. Inni zaczęli o kapitalizmie. Mamy tu tylko dwie klasy, twierdzili. Dwa typy w tłumie: przyjaźni i ciekawi z jednej strony, oporni i nieco agresywni z drugiej. Całą procesją szli za nami do hotelu.

Później wieczorem: piękny statek „Lensowiet”, kabina luksusowa. Zbudowany we Wschodnich Niemczech, ubiegłego roku. Spotykamy na pokładzie członka partii, bez trudności przyznaje że w Sowietach istnieją nierówności społeczne. Mówiłem też z młodym marynarzem zaciekawionym życiem w Stanach i raczej rozgoryczonym życiem tutejszym. Pienił się na prasę.

#### 10 września.

Ranek na pokładzie. Megafony ogłaszają pouczenia o paleniu, przestrzeganiu przepisów, itp. Podróżny, Czech, bardzo zainteresowany Stanami, ma dość kwaśną minę. Spotkałem absolwenta historii, bardzo inteligentny. Mówi doskonale po angielsku, czytuje wiele amerykańskich dzienników. Rozprawał ze mną o idealizmie i braku krytycyzmu w Ameryce. Twierdził, że nie mamy wolności. Jest członkiem partii. Omawiał doktrynę marksistowską w stosunku do dziejów i społeczeństwa, sugerując, że jest to doktryna względna a nie wiedza absolutna. Podnosił stałą potrzebę ideałów i dążeń. Słowa nas tylko dzielią a nie istota zagadnień. Rzeczywiście bardzo dodatni typ. Nie chciał wchodzić w porównywanie Stanów i Sowietów. Po tej dyskusji o wolności prosił, by do niego nie pisać...

Rozmowa z inżynierem, Żyd, do 1952 wykładowca na uniwersytecie, usunięty w czasie fali antysemitycznej. Nie może dostać się z powrotem. Nie należy do partii.

Na okręcie trzy klasy. Poza tym ci, co śpią na pokładzie. Cały tłum.

Grupa Czechów — kobiety dość wyzywające. Chodzą w shortach — co wywołuje duże zdziwienie wśród pasażerów sowieckich.

#### 11 września.

(Przyjaciel z poprzedniego dnia już się nie pokazał, mimo obietnicy).

W nocy przybiliśmy do Jalty, ale spałem na statku, bo hotele były przepełnione. Miejscowość bardzo malownicza, przypomina południową Francję.

W najlepszych restauracjach, w których jadam, nadspodziewanie dużo krzyków i sprzeczek między gośćmi a kelnerami. („Tip'ów” się nie daje).

Wszędzie porozlepiane hasła o planie 5-letnim, z rysunkami.

Kąpiel, potem jazda do Liwadii, gdzie było spotkanie „Wielkiej Trójki”. Nikityńskie ogrody botaniczne.

Wieczorem: w restauracji „Ukraina”, do stołu przysiadła się jakaś para. Ona zapytała mnie, czy lubię walczyć, zatańczyliście; potem jeszcze raz na jej żądanie. Towarzysz jej, oficer, zaczął się niecierpliwie, nalegał by wypili i wyszli. (Obydwoje w stanie małżeńskim, z drugą połową zostawioną w Moskwie). Nieźle wyglądała, 28-30 lat, zapewne skłonna do zaprzyjaźnienia się.

#### 12 września.

Zwiedziłem Dom Czechów. Tłum pchający się, aby dostać się do muzeum, robi wrażenie.

Sowchoz, uprawa wina, przeciętna płaca miesięczna 650 rubli. Przewodnik z Inturista wspomina, że w ostatnim roku trochę Tatarów powraca na Krym.

Wieczorem: znów w restauracji „Ukraina”. Dwóch rozmówców. Jeden przedstawił się jako nauczyciel historii powszechnej, drugi jako robotnik portowy. O polityce: Morgany, Rockefeller, bazy, wojna z Finlandią (ironizowałem ich twierdzenie, że zaczęła ją Finlandia, zapytując, czy chciała zaanektować Armenię...). W końcu udobruchali się, wypili na intencję pokoju; gdy jeden znów nawrócił do sprawy partii komunistycznej w Ameryce, drugi zauważył raczej lekceważąco: „Ach, w Ameryce każdy komunista ma dwa samochody”. Nie umieli odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Malenkow nie miał racji w sprawie artykułów konsumpcyjnych.

Cztery plusy systemu, najczęściej tu wymieniane: oświata, renty, medycyna, wczasy.

#### 13 września.

Megafony okrętowe znów ogłaszają ogłoszeniami, ostrzeżeniami i muzyką. Jesteśmy na „Rosji”, starym statku niemieckim. Odpoczywam. Deszcz pada, statek posuwa się gładko. Postój w Noworosyjsku w nocy, pięć godzin, gęsty deszcz; światła migają w oddali. Fertyczna kelnerka: dałem jej parę nylonów, obiecała myśleć o mnie, gdy będzie jej wkładać.

#### 14 września.

Soczi. Zupełnie uroczo. Hotel nad samym morzem. Spacer wzdłuż plaży. Znaki pouczają, jak długo się kąpać, jak długo leżeć na słońcu. Zakaz pływania nago, grania w karty na plaży, grania w siatkówkę. Niektórzy przebiegają się na plaży.

Objazd dokoła. Monumentalna stacja kolejowa, port, wszędzie hasła propagandowe o pięciolatce. Zwiedziłem również muzeum i miejsce, gdzie miał swą willę Stalin.

Obiad, jak na statku, przy osobnym stole. Ciekawe, jak kelnerki odpędzają ludzi, choćby się ich zapraszało: „swo-bodno”.



Kobiety w Soczi malują wargi; na ogół tłum lepiej ubrany, choć krawat nie obowiązuje.

Wieczór: przy stole z X. Zaproszeni do drugiego stołu przez dwie pary. Jedna z pań, stosunkowo dobrze ubrana, trochę pod gazem. Żarty, taniec. Jedna (ta pod gazem) powiada, że musimy być szpiegami amerykańskimi. Odparłem: „Co to, to nie, ale mój towarzysz jest młodszym bratem Berii”. Wybuchnęli śmiechem.

Dużo osób tutaj wspomina, że Sowiety tak bardzo pomagają innym narodom.

Odpowiedź moja na zapytania o kwestię murzyńską: „To tak, jak wasz antysemityzm”. Zwykle skutkuje.

15 września.

Deszcz. Spotkałem młodą parę poprzednio poznaną na statku. Ona dobrze ubrana, nawet jak na nasze wymagania. Każde z nich zarabia 1.500 rubli miesięcznie, ona jako technik, on jako kreślarz. Mieszkają w Moskwie w jednym pokoju za 15 rubli miesięcznie. Pytają o moje wrażenia: mówię, że podobają mi się bardzo ludzie, zainteresowania kulturalne. Że nie podoba mi się system polityczny, prasa, nierówność społeczna w poziomie życia, myślę, że i obecne pokolenie ma prawo do lepszego życia. Zgadza się w tym względzie — dodaje — z Malenkowem. Milczą w zadumie.

Popołudniu: przejażdżka autem, dyskusja z przewodniczką o fotografowanie kolchoźnego rynku, o Stalina, o Robesona (a jak by wasz rząd reagował — powiadam — gdyby Ojstrach puszczal się na antysowieckie przemówienia podczas pobytu w Ameryce?). Lojalna ale głupia. Nie warto przekonywać.

W hotelu dałem sobie wyczyścić buty i rozmawiałem z portierem. Zirytował się bardzo zauważywszy, że trzech gości nas podsłuchuje. Wrzasnął: „Dlaczego słuchacie? Że gadam z Amerykaninem? Trzy lata temu by mnie ciapnęli, ale teraz mi wolno. Wynoście się!” Krytykował Churchilla. Gdy mu zwróciłem uwagę, że Churchill był przyjacielem Stalina, odburknął: „Stalin był cham”.

Zwiedziłem miejscowy park kultury i piękny ogród botaniczny.

Wszyscy mówią wciąż o pokoju, chcemy pokoju, czy myślicie, że będzie wojna, dlaczego kapitaliści chcą wojny, itp.? Również o bezrobociu w Stanach Zjednoczonych.

16 września (niedziela).

W pociągu, w drodze do Tyflisu. Wyjechałem wczoraj wieczorem o 9-ej, ponieważ pociąg spóźnił się o dwie godziny. Było nastrojowo: mżył deszcz, ciemno, wycie gwizdków z oddali; staliśmy na peronie, a obok pod małym daszkiem kilku ludzi szykowało szaszłyki na mający nadejść pociąg.

Pociąg kołysze i skacze. Obiad nie bardzo apetyczny. Okolica bardzo ładna — niby Włochy z winnicami i górami dokoła dolin.

Tyflis-Tbilisi, bardzo malowniczy, przypomina miasta w południowych Włoszech. Mieszkańcy z werwą, ale przyjaźni i dumni. Kobiety, zwłaszcza starsze, okryte ciemnymi szalami. Ulice wąskie, balkony, kwiaty. Mój szofer jedzie jak Włoch, prędko i bezwzględnie. W hotelu dostaję elegancki apartament z antycznym umeblowaniem. Słonecznie. Przewodnik często podkreśla, że to jest Gruzja, wspomina jej historię i kulturę. Odwiedziłem uniwersytet i stadion, gdzie grali w piłkę nożną a połowa widzów nie pofatygowała się by wstać gdy grano hymn narodowy; potem na górę Św. Dawida z piękną panoramą miasta, na rynek kolchoźny, itp. Również do Katedry Sjonu. Pusta.

17 września.

Autem do sowchozu winnego. 300 robotników, 500 osób razem. Przeciętny zarobek miesięczny 600 rubli, ostatnio sowchoz sam ustala ceny produktów.

Popołudniu: spacerem po starej części miasta. Czterech studentów towarzyszyło mi skwapliwie do starej fortecy na wzgórzu z pięknym widokiem na miasto, potem pokazali mi dom Berii, gdzie obecnie mieści się kwatera Komsomołu, w końcu przyszli do mego hotelu, by oglądać obrazki z Ameryki. Nim je zdołałem przynieść, dyrekcja usunęła studentów z wyjątkiem jednego, który się temu oparł. Wyszliśmy na zewnątrz, ale jak tylko zacząłem pokazywać wydawnictwa, zebrał się tłum, dałem więc spokój. Umówiliśmy się na jutro.

Mało kobiet w restauracjach w Gruzji. Tylko mężczyźni.

Wieczorem: poszedłem na koncert orkiestry na powietrzu, w audytorium przeważnie Gruzini, niektórzy w krawatach. Zgaszono światła, a gdy kurtyna się podniosła, ukazała się orkiestra w czerwonych kurtkach i starannie odprasowanych szarych spodniach. Imitacja amerykańskiego jazzu. Po chwili wyszło czterech młodych ludzi w czarnych dwurzędówkach, w białych koszulach z jaskrawymi krawatami, z jedną ręką w kieszeni kurtki i z przypiętymi uśmiechami. Odśpiewali kwartet „barber-quartet style”. Potem duet i solo, kobieta w długiej czarnej sukni i partner z czarnym wąsikiem. Między numerami występy dwóch aktorów mimicznych. Publiczność bardzo ciepła.

18 września.

Pojechałem do Gori — miejsca urodzenia Stalina. Okolica malownicza, dolina wije się wśród gór, na niektórych szczytach śniegi. Stare osady. Kobiety pracują na polach, mężczyźni w baranich czapach. Stare kościółki dominują nad wioskami. Przyślanek w Msheta, dawnej stolicy Gruzji. Potem Gori: chata



Stalina ubezpieczona kolumnami i dachem z marmuru, równocześnie muzeum. Lunch, wymiana toastów z przewodnikiem w pustej ale porządnie urządzonej restauracji. Przewodnik, jak wszyscy Gruzini, dumny z przeszłości i kultury narodowej.

Szofer włącza motor na każdym spadku i nawet przy czerwonych światłach. Zjawisko to powtarzało się i gdzie indziej. Wczorajsi studenci już się nie pokazali.

Przed hotelem młodzież kręci się i zaczyna cudzoziemców. Zdarzało mi się to kilka razy.

Wieczorem: widziałem zupełnie niezły film gruziński „Cień na drodze”. Przed nim nowości ze wschodniej Europy i z Zachodu. Duże zainteresowanie („och, ach”) ilekroć były zdjęcia z Londynu, Paryża czy New Yorku. Temat filmu: czarny charakter, funkcjonariusz partyjny, zarządza zaoranie pastwisk gruzińskich górą, przejmując i niszczy ich skargę do Centralnego Komitetu i w dodatku jeszcze uwodzi nauczycielkę. Po różnych perypetiach prawda wychodzi na jaw, oszust zdemaskowany, pasterze odzyskują swoje hale. Dobre kolory i zdjęcia gór. Dramatyczne przejście baranów przez wezbrane fale po moście zrobinym z wózków.

19 września.

Wjazd kolejką zębatą na górę Dawida. Znajomość z sympatycznym porucznikiem marynarki. Kałmuk, osiedlony w Tallinie. Zrobiłem zdjęcie miasta, chciałem zrobić drugie ze szczytu. Gwizdek — zjawił się milicjant, wołając „nielzia”. Wobec tego poszliśmy dalej, a w ślad za nami milicjant i gość „w cywilu”. Zrównali się z nami, po chwili milczenia porucznik swobodnie zmienił temat rozmowy na muzykę (rozmawialiśmy o Wasylu Stalanie). Gdy chciałem zawrócić, okazało się, że cywil zauważył, jak robiłem zdjęcia z zębatej kolejki i milicjant zażądał, abym udał się na posterunek. Gdy cywil zapytał mnie: „Kto jesteście?”, odparłem: „A kto wy?”. „Ja obywatel Związku Sowieckiego”. „A ja gość Związku Sowieckiego”. Po tej wymianie zdań porucznik namówił mnie, by iść. Poszliśmy. Usiłowaliśmy zatelefonować do hotelu, ale nie było połączenia. Czekaliśmy około 20 minut, w końcu naczelnik zadzwonił i zdecydował, że wolno było te zdjęcia robić. Byli zaambarasowani, szczególnie, że milicjant przedtem głośno klarował „to jest sprawa dla MWD”. Porucznik kazał milicjantowi podać mi rękę i przeprosić. Informator był jeszcze więcej zafrasowany. Tłumaczył, że jabym pewnie zrobił to samo w Stanach Zjednoczonych. Poszliśmy razem (w trójkę) do kościoła Dawida obejrzeć grób matki Stalina. Pytali mnie, którzy leaderzy sowieccy są popularni w Stanach. Podkreślali, że Bułganin jest bardzo kulturalny. Zapytałem się o Chruszczowa, na co cywil roześmiał się tylko. Potwierdzenie ogólnego wrażenia, że Chruszczow jest niezbyt szanowany.

20 września.

W pociągu. Wlecz się powoli. Nikt nie wie, kiedy dojedzie do Soczi. Chłopi sprzedają jabłka na stacjach. Radio różnie; wczoraj wieczór o życiu Murzynów w Ameryce. Towarzysz podróżny: Gruzin, w średnim wieku, bardzo podejrzliwy. Nie chce nawet powiedzieć, co robi. Patrzy na moje wydawnictwa bez komentarzy.

Mijamy plaże nadmorskie w słońcu, niektóre osobne dla mężczyzn i dla kobiet. Wiele osób wygrzewa się nago. Pociąg jedzie tuż obok i dostatecznie powoli...

Przybycie do Soczi około południa. Dostaję pokój po niedługim czekaniu (rosyjscy goście w hotelach Inturista podpisują zobowiązanie do natychmiastowego wyprowadzenia się, jeśli zjawi się cudzoziemiec). Wyszedłem popływać. Miliony ludzi na plaży, niektórzy (i kobiety) przebierają się na miejscu. Jedna siedziała tylko w gorsecie.

Wieczorem teatr, występ szwedzkiej trupy variété. Zagadnąłem przystojną dziewczynę i spacerowaliśmy razem podczas przerwy. Figura nie tak dobra jak twarz.

Wszędzie sowieckie wydania Parkera, Gillette, itp. Wołga — nowe wozy podobne do Studebakera. Drogie.

21 września.

Pogoda zawodzi. Pochmurno i deszcz. Wstałem późno. Po śniadaniu spacer nad morzem. Młody inżynier: zwyczajne pytania o poziom życia w Ameryce, czy będzie wojna, itp. Wspominał raczej smętnie o wysokich płacach „góry”, poza tym nie angażował się.

Wieczorem: balet „Esmeralda”. Zupełnie dobry, a teatr imponujący jak na takie małe miasto. Po powrocie do hotelu nie mogłem znaleźć wolnego stolika w restauracji. Zatrzymałem się przy jednym, gdzie siedział mężczyzna z trzema kobietami. Powiedzieli, że wszystko zajęte. Potem jednak dogonił mnie i zaprosił do towarzystwa. Byli bardzo mili, lecz usilnie podkreślali, że żyją bardzo dobrze. „Mamy piękną kwatere, piękną”, zaznaczał po parę razy. Podeszedł mąż jednej z kobiet, zgrabnej blondynki z dużymi niebieskimi oczami, uczesanej na krótko po zachodniemu. Ten był nieco mniej przyjazny. Tańczyłem raz. Pismo ilustrowane „America” zrobiło wielkie wrażenie.

22 września.

Lot między Soczi a Rostowem, w drodze do Charkowa. Piękny dzień, chmury nad nami. Sowiecka wersja DC-3. Do lotniska w Adler, 35 km. od Soczi, autem po krętych drogach. Oglądam teraz piękną linię wybrzeża pod mną.

Pilot na lotnisku w Rostowie bada moje ubranie, pyta o cenę — „tak” — powiada — „to taniej niż u nas, ale nasze wyroby są w lepszym gatunku”.



Wieczorem : Charków. Widok raczej przygnębiający : miasto pogrążone w ciemnościach, ludzie tak źle ubrani jak w Leningradzie. Zimno. Hotel na ulicy Swierdłowa, obok drewniany most przez rzeczkę Łopan. Podróż autobusem do Moskwy zajęłaby 17 godzin więc wybieram pociąg. Restauracja : niektórzy mężczyźni tańczą ze sobą, kobiety też...

23 września.

Zwiedzanie miasta. Plac Dzierżyńskiego, park wypoczynkowy, katedra. Spotkany student mówi „Ameryka to najwspanialszy kraj”, „Stalin był dobry dla Gruzynów, ale dla nikogo więcej. To był zły człowiek, zły uczeń Lenina”. Miasto bardzo niejednolite — niektóre części bardzo stare i prawie tak prymitywne jak wieś. Dużo napisów w języku rosyjskim. Student pragnął trzymać mój aparat, aby ludzie myśleli, że jest Amerykaninem.

24 września.

Zbliżamy się do Moskwy, po szesnastu godzinach podróży w nieogrzewanym pociągu. Towarzysze : jedna kobieta, dwaj mężczyźni : jeden sympatyczny, graliśmy w szachy.

Radio zawyło : „Obywatele, zbliżamy się do Moskwy, stolicy naszej ojczyzny. W Moskwie panuje duży ruch. Bądźcie ostrożni, wychodząc ze stacji, poruszajcie się tylko po chodnikach”. Następują pouczenia, jak dostać się do autobusów, itp.

Wieczorem : Moskwa, po rzeczywiście męczącej podróży (głównie z powodu zimna w nocy). Pruszy nawet lekki śnieg. Znowu Hotel National.

W Moskwie, mimo jej mieszanego stylu, czuje się stolicę. Różne języki, mundury, delegacje, szczególnie ze Wschodniej Europy. Jakaś atmosfera tempa i siły. Prawie że się to udziela.

Najlepiej ubrani ze wschodniej Europy : Czesi, Wschodni Niemcy, Polacy.

25 września.

Śniadanie z profesorem F., potem kupowanie płyt. Deszczowo i chłodno. Popołudnie w bibliotece Lenina, mają książkę Schumana ale nie Fainsoda. Książka Moore'a oznaczona literami C.X. (rosyjski alfabet).

Wieczór w imponującym Teatrze Wielkim. Opera „Kowalszczyna”, piękne efekty sceniczne.

26 września.

Ambasady. Kupno książek, wizyta w sądzie ludowym (nędzne dwa pokoje na parterze podniszczonego domu, wejście od podwórza). Rozpraw nie było.

X. opowiada, że prości ludzie płakali gdy im czytano poufne przemówienie Chruszczowa; nie mają szacunku dla zbiorowego kierownictwa.

27 września.

Wczoraj wieczorem poszedłem do teatru Wachtangowa zobaczyć sztukę „Odná”. W krzesłach tuż za mną toczyła się rozmowa po polsku (dwaj mężczyźni i kobieta w średnim wieku). Mówili o obecnej repatriacji ze Związku Sowieckiego do Polski tych, którzy nie mogli z niej „poprzednio skorzystać”, również tych, którzy jeszcze „siedzą”. Oburzali się na świeżą nominację kierownika tej komisji (Kalinowski ?) : „To rzeczywiście dobry materiał dla Radia Wolna Europa”.

Temat sztuki : ogólnoludzki. Publiczność bardzo zainteresowana i pełna napięcia. W sztuce nie ma ani bohaterów ani podłych charakterów, mimo, że mąż rzuca żonę i rodzinę i ucieka z drugą (która z kolei porzuciła męża).

Dzisiaj z prof. F. w Sądzie Ludowym. Zastaliśmy sędziego i asesora. Sędzia-kobieta. Brudna sala, ciemno, prokurator i obrońca po dwu przeciwnych stronach, podsądny na ławie pośredniej. Sprawa : wypadek samochodowy : jeden poważnie uszkodził drugiego. Oskarżony pytany o dane osobiste, między innymi czy należy do partii. Obrona prosi o protokółowanie pozytywnej charakterystyki. Wyrok 1.000 rubli kary (nieco mniej niż miesięczny zarobek skazanego) na skarb państwa. Młody student prawa, siedzący obok, dowodzi, że obrońca winien być zawsze przekonany o niewinności swych klientów. W wypadkach politycznych też, chyba, że chodzi o szpiegów, itp. Co w takim razie myśli, pytam, o rewelacjach Chruszczowa i rehabilitacjach? Wszakże sporo skazanych za szpiegostwo zostało zrehabilitowanych. A więc, gdyby mieli odpowiednią obronę, to może nie byłoby skazani i straceni. Bardzo go to zastanowiło i powiedział, że musi na nowo przestudiować te wypadki i sprawdzić, jak właściwie działała obrona. Myślę, że to jeden z przykładów, jak w takim osobniku kiełkują pewne idee, których nie chce lub nie może przemyśleć do logicznej konkluzji.

Po sądzie wykład ekonomii politycznej w uniwersytecie : profesor omawiał rolę kredytu, standard złota, pieniądz papierowy, bilans płatniczy. Studenci nie wstawali gdy wchodził. Jeden podał mu zapytanie na piśmie.

Po śniadaniu spacer i wewnątrz kościoła Wasyla na placu Czerwonym.

28 września.

W samolocie linii fińskiej (Finnair). Jeszcze na lotnisku w Moskwie, ale już oficer MWD oddał paszporty. Motory w ruchu. Rosjanie machają rękami. Odjechałem z hotelu o 6.45 rano ZIM'em, rzucając ostatnie spojrzenia na chłodną i smutną



Moskwę — ludzie szli do pracy w ciepłych filcowych kurtkach. Chmurny dzień zamienia się teraz w słoneczny.

(Właśnie przed nami odleciał samolot LOT'u do Warszawy.)



Trudno wyciągać wnioski ogólne z jednej podróży odbytej w stosunkowo krótkim czasie i ograniczonej co do miejsc pobytu i niektórych tylko kątów widzenia. Z natury rzeczy wnioski swe sprowadzić muszę tylko do obserwacji, związanych z tą podróżą, nie wychodząc poza nią i nie pretendując do analizy całości tego ogromnego i złożonego tematu, jakim jest Związek Sowiecki.

Zaczynam od młodzieży. Wydaje się, że wielu studentów przechodzi jak gdyby przez pewne stadium non-konformizmu, jakby przez kryzys sumienia w związku ze stosunkiem do systemu. U wielu zarysowuje się silna reakcja przeciwko przeważającej ortodoksji. Wyraża się ona w pragnieniu tego, co zakazane, włączając ważne i nieważne: wolna myśl, wolna książka, podróż zagranicę, jazz, więcej zabawy, lepszy strój. Dochodzi do tego ogólne niezadowolenie z poziomu życia i przekonanie, że Związek Sowiecki posiada już teraz możliwość szybkiego podniesienia stopy życiowej, ale że reżym uchyla się od tego w imię odległych, przyszłych celów. Niektórzy studenci nie ukrywali goryczy z powodu braku wolności politycznej, roli policji i bezpłodności swoich uczuć na ten temat. Równocześnie jednak większość zdradzała niezdolność przemyślenia jakiegokolwiek alternatywy w stosunku do istniejącego systemu. W istocie, miałem wrażenie, że większość wyobrażała sobie możliwość przeprowadzenia znacznych reform (które w oczach reżymu uchodziłyby za wywrotowe) zawsze w ramach samego systemu. Niektórzy nie chcieli łączyć winy za ekscesy przeszłości, przeciw którym się buntowali, z systemem jedno-partyjnym lecz zadawali się myślać, że odpowiedzialność za wszystko złe obciąża Stalina. Wydawało mi się, że nawet najbardziej krytycznie usposobieni nie zdołali nigdy przemyśleć gruntownie swego krytycyzmu do ostatecznych wniosków — tak jak ów student, z którym dyskutowałem rolę obrony w procesie. Najwięksi nawet malkontenci przyjmowali za prawdę tezy propagandy, że Finlandia napadła na Rosję w 1939 roku, że Południowa Korea była stroną atakującą w 1950, że partia komunistyczna w Ameryce została zdławiona, nie mówiąc już o stereotypowych uwagach na temat sytuacji Murzynów w Stanach. To wszystko znowu nie zmniejszało ich prawdziwego podziwu dla amerykańskiego życia i ulegania urokowi wszystkiego, co amerykańskie. W rezultacie odniosłem wrażenie, że faza non-konformizmu, choćby ostra w wielu wypadkach, rozwija się stopniowo z chwilą, gdy ci młodzi ludzie obejmą odpowiedzialne stanowiska w życiu i zatroszczą się o swą rolę w społeczeństwie, o swoje kariery osobiste i rodziny. Tym niemniej, istnienie takiej postawy i fakt, że miałem możliwość na ten temat dyskutować, wywarły na mnie jedno z mocniejszych wrażeń w czasie tej podróży.

Siłą kontrastu starsze pokolenie wydało mi się znacznie ostrożniejsze, że rozumiały powody, a niekiedy jakby bojąc się kontaktu ze mną. Nawet w takim wypadku, jak to miało miejsce w Charkowie, gdy pytałem o jakąś ulicę, starsi ludzie, zorientowawszy się, że mówią z cudzoziemcem, przerywali wyjaśnienia krótkim usprawiedliwieniem: „ja nie tutejszy” i oddalali się. Tak samo w pociągu; nawet gdy nikogo więcej nie było w przedziale, unikali absolutnie wszelkich dygresji politycznych. Były naturalnie i wyjątki.

Antysemityzm wydał mi się wciąż jeszcze poważnym czynnikiem w sowieckim życiu. Przede wszystkim jest to opinia samych Żydów i wielu uskarżało się nie tylko na „okres grozy” między 1948 a 1953 ale i na teraźniejszość. Niektórzy narzekali na dyskryminację przy staraniach o zatrudnienie; wszystkim zapewne nie podoba się identyfikacja „Żyd” zaznaczona w dowodach osobistych, które należy okazywać w hotelach, przy staraniach o pracę i przy wielu innych okazjach. Ten stan rzeczy utrudnił, notabene, proces asymilacji tych, którzy woleli być uważani za Rosjan niż za Żydów.

Nie miałem sposobności natrafić na objawy uczuć nacjonalistycznych, choć zachodzi wszelkie prawdopodobieństwo ich trwania. Jedynym wyjątkiem była Gruzja, gdzie uderzyło mnie przekonanie Gruzynów o wyższości nad Rosjanami, podkreślanie, że są starszym, kulturalniejszym i subtelniejszym narodem, oraz cały odrębny charakter ich zachowania. Równocześnie nastroje antystalinowskie wydały mi się w Gruzji słabsze niż gdzie indziej: przeciwnie, można było wyczuć, że ogólnie Stalin jest dalej popularnym bohaterem dla wielu Gruzynów, a pomniki i obrazy jego widoczne są nadal na każdym miejscu.

Poziom życia w Gruzji robi wrażenie wyższego; potwierdzają to i Rosjanie — a chęć reżymu do wyrównania go, przyczynić się znowu może do wzrostu mitu Stalina. Z drugiej strony, w innych częściach Związku, dostrzegałem szczyptę nastrojów antygruzińskich, może właśnie z powodu Stalina i Berii (o tym ostatnim zresztą Gruzini nie chcieli mówić!).

Większość spotkanych, nawet ci najbardziej krytykujący i zdawałoby się antysowieccy, szczycili się międzynarodową pozycją Związku, zwycięstwem w wojnie i rozwojem przemysłowym. O ile chodzi o życie codzienne, to nawet najbardziej rozgorączczeni jego poziomem, przyznają cztery zdobycze systemu: bezpłatne wykształcenie, darmową opiekę lekarską, szerokie udostępnienie wywczasów i zrewidowane niedawno ustawodawstwo o emeryturach (które wywołało rzeczywiście duży pokłask dla reżymu). Większość ludzi, z którymi rozmawiałem, była święcie przekonana, że wszystko to są zupełnie bezpłatne usługi i nie zdawała sobie sprawy z tego, że płaci się za nie pośrednio wysokim podatkiem obrotowym i niskim poziomem życia.

Muszę dodać, że bardzo dodatnie wrażenie zrobiły na mnie wysiłki zaszczepienia w masach zainteresowań kulturalnych: wszędzie są muzea, galerie obrazów, domy sławnych pisarzy,



itp., i wszędzie imponują tłumy prostych ludzi, robotników i włościan, gorliwie się do tych instytucji garnących. Nie widziałem podobnego zjawiska ani w Zachodniej Europie, ani w Ameryce.

Poziom życia jest w dalszym ciągu niezmiernie niski i gorszy niż sobie wyobrażamy. Mieszkania, choć tanie (15-45 rubli miesięcznie za izbę) bardzo biedne i przepełnione, place niskie (przeciętna zarobku robotnika 600-800 rubli miesięcznie, rolnika jeszcze niższa) w zestawieniu z niezmiernie wysokimi cenami artykułów konsumpcyjnych: jaka taka koszula 180 rubli, damska kombinacja 280 rb., najtańsze ubranie 800 rb., dobre do 2.000 rb., itp.; kurs wymiany 4 rb. — 1 dol. US. Wielu ludzi, jednak, nie zdaje sobie sprawy z tego, że to polityka finansowa rządu tak obniża ich poziom życia, a przypisuje to przede wszystkim dwu czynnikom: zniszczeniu wojennemu i ekstensywnej „pomocy”, jaką rzekomo Sowiety dają Polsce, Czechosłowacji, Chinom, itp. Okoliczność tę wzmiankowano mi wiele razy z widoczną wiarą w altruistyczny charakter sowieckiej polityki. Jeśli idzie o żywność, to wydaje się, że nie brak surowców, natomiast bardzo drogie są takie artykuły jak tłuszcze i niektóre gatunki mięsa a czasem w ogóle nie można ich dostać.

Obserwatora z zewnątrz uderza szczególnie, w związku z poziomem życia, jaskrawa nierówność społeczna, panująca się w Sowietach. Na tle niskiego poziomu ogromnej większości, tym bardziej uwydatnia się i bije w oczy istnienie mniejszości, która ma się względnie dobrze. Mniejszość ta obejmuje artystów, wyższych oficerów (wśród nich oficerowie marynarki najbardziej upodobią się do swych zachodnich kolegów i uważają się za wyżej stojących od innych broni), profesorów (stosunkowo lepiej płatnych niż amerykańscy), i wyższe szczeble biurokracji partyjnej i administracyjnej. Wszyscy ubierają się znacznie lepiej, mają własne wozy, dbają o wygląd dzieci, jedzą w tych restauracjach co i cudzoziemcy, a nie we wspólnych stołowniach, podróżują pierwszą klasą, itd. To jest ta klasa ludzi, którą spotyka się w modnych miejscach kąpielowych à la Soczi. Toteż, tam właśnie, na Południu, nierówność ta objawiła mi się w sposób najbardziej jaskrawy. Podróżując statkiem jadłem w restauracji pierwszej klasy z wielu sowieckimi pasażerami, którzy mogli sobie na to pozwolić. Jedzenia było w bród i to dobrego, podawano napoje i większość popijała kaukaskie wino przy posiłkach. Tymczasem zaraz naprzeciw restauracji, za oknami, na pokładzie widziało się tłum robotników i chłopów, trochę żołnierzy, wszystkich tych, których stać było tylko na zapłacenie krzesła, spędzających dwie noce i dwa dni na powietrzu, jedzących z paczek, obwiniętych gazetami, śpiących w ubraniach, bez mycia itp.

Tym niemniej, nawet w obliczu takiego przykładu niektórzy i to nawet skądinąd krytycznie nastawieni do systemu, dowodzili że socjalnej nierówności nie ma w Związku Sowieckim ponieważ środki produkcji nie są własnością żadnej poszczególnej

klasy. Byli oczywiście i tacy, wśród nich również komuniści, którzy okazywali duże zakłopotanie, gdy w odpowiedzi na indagację o wrażenia, wymieniałem między innymi nierówność społeczną. Naturalnie, najbardziej sobie z nią zdawali sprawę i najbardziej nad nią boleli ci, którym się źle powodziło.

W dziedzinie wrażeń politycznych uderzył mnie przede wszystkim rozłam, który wydaje się zachodzić między procesami natury politycznej a samym życiem. Brzmi to nieco paradoksalnie, jeśli się zważy, że totalitaryzm implikuje scalenie strony politycznej ze społeczną, a właśnie demokracje cechuje oddzielenie domeny państwa i społeczeństwa. I rzeczywiście, w pewnym zakresie życia w Sowietach może się wydać wysoce „upolitycznione”. Hasła polityczne widzi się wszędzie, „agitpunkty” są gęsto rozsiane, wszechobecność partii odczuwa się na każdym kroku. A jednak, równocześnie wydaje się, że ludność mało wie o stronie politycznej i jeszcze mniej się o nią troszczy. Podobnie, znajomość samej historii Sowietów jest bardzo fragmentaryczna, nawet wśród studentów. Ta ignorancja i obojętność obywateli w stosunku do procesów natury politycznej stanowią źródło siły reżymu operującego w oparciu o stosunkowo nieliczną elitę. Spośród tej elity wyłaniają się polityczne linie i decyzje, a wewnętrzne jej konflikty nie koniecznie przenikają w tkanki społeczeństwa. Inteligentni studenci, z którymi rozmawiałem, zdradzali zupełną nieznajomość takich spraw jak znaczenie zmian personalnych w składzie Centralnego Komitetu, przyjmowali mechanicznie fakt „zbiorowego kierownictwa” i nie rozróżniali roli i specyficznej polityki różnych leaderów. Stosunek ludności do kierownictwa partii nosi w ogóle cechy obojętności, choć na tym tle na przykład Chruszczow (ironicznie przezywany kukurudznikiem) wydaje się wzbudzać znacznie mniej respektu niż Mołotow.

Znaczne przemiany wydają się zachodzić w samym życiu. Odnosi się to w szczególności do ogólnej atmosfery. Nie można oprzeć się wrażeniu, że ludzie czują się nieco pewniej i odrobinę swobodniej. Widzi się to i na odcinku kontaktu z cudzoziemcami. Jest faktem, że pewna liczba więźniów politycznych została uwolniona i albo rehabilitowana albo wydalona do środkowej Azji. Projekt nowego ustawodawstwa karnego przewiduje zwiększone gwarancje proceduralne, choć przepisy art. 58 (zdrada stanu, agitacja kontrrewolucyjna, itp.) pozostają niezmienione. Propaganda polityczna w sztukach teatralnych, z ery Stalina, zaczyna ustępować miejsca problemom ogólnoludzkim.

Najwięcej tendencji do rozluźnienia kontroli tkwi, jak się zdaje, w młodszym pokoleniu, szczególnie wśród intelektualistów. Wielu z nich żarliwie wierzy, że przeszłość się nie powtórzy, jakkolwiek na pytanie, co temu może przeszkodzić, wskazują tylko ogólnikowo na „ducha narodu”. Nie widać zupełnie, aby biurokracja wywierała jakikolwiek wpływ w kierunku liberalizacji reżymu. Przeciwnie, wydaje się, że głównym przedmiotem jej troski jest otrzymywanie premii i utrzymywanie swej uprzywilejowanej pozycji. W każdej rozgrywce politycznej



biurokracja opowiedziałaby się zapewne po stronie przeciwników zmiany.

W samej strukturze politycznej przemian szczególnych nie ma. Wzrosła rola partii w kompensacie za zmniejszoną działalność MWD. Partia dokłada teraz usilnych starań aby wzmocnić swe kadry członkowskie rekrutacją robotników przemysłowych i chłopów. Nieproduktywność biurokracji jest nadal plagą systemu i objawia się na wszystkich szczeblach życia, choć czynione są kroki aby zmniejszyć proporcje urzędników do robotników produkcyjnych i uprościć system przesadnie rozgałęzionych kontroli. Znikoma jednak decentralizacja biurokracji przyczynia się do dalszego wzmocnienia roli partii jako jedyne regulatora wszystkich aspektów sowieckiego życia.

Nie jest wykluczone, że, z biegiem czasu, przemiany na szczeblu życia zaczną odbijać się na systemie politycznym, lecz na to, w najlepszym razie, trzeba jeszcze długo czekać. Z drugiej strony należy przyznać, że obecny reżym wychodzi na spotkanie pewnych aspiracji ludności, zwłaszcza przez częściowe rozluźnienie terroru. Spotyka się to z mieszanymi uczuciami — nadziei lub pesymizmu u bystrzejszych, a ostrożnej obojętności w masach.

W każdym razie dziś jeszcze w życiu sowieckim nie widać niczego, co mogłoby przeciwstawić się całkowitemu monopolowi władzy kierownictwa partii. Dopóki ten stan rzeczy trwa mało jest prawdopodobne aby mógł być naruszony totalitarny charakter systemu.

Zbigniew K. BRZEZIŃSKI

Cambridge, Mass., 15 października 1956.

## Literatura emigracyjna a Kraj

ANKIETA „KULTURY”

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie uchwalił na Walnym Zjeździe w Londynie, w dniach 20 i 21 października rb., następującą uchwałę:

„Wobec wydarzeń rozgrywających się w Kraju, pisarze polscy na obczyźnie, na walnym zebraniu w dniach 20 i 21 października 1956 roku stwierdzają raz jeszcze, że celem ich, jak również całej emigracji politycznej, jest przywrócenie Polsce pełnej niepodległości, i tej służą sprawie.

Pisarze polscy łączą się myślą i sercem z narodem polskim walczącym o wyzwolenie, składają hołd tym, co padli ofiarą tyranii i przemocy. Postanawiają dołożyć wszelkich wysiłków, aby krew polskich bohaterów wolności nie poszła na marne, ale wołała do wolnego świata o sprawiedliwość dla Polski.

Dopóki Kraj nasz pozostaje w politycznej niewoli i pod rosyjską przemocą, pisarze polscy na obczyźnie, zgodnie ze swą uchwałą z 1947 roku, winni nadal powstrzymywać się od wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne. Zasada ta obowiązuje pisarzy emigracyjnych jako warunek skutecznego udziału w walce o wyzwolenie, dopóki nie będzie w Kraju rzeczywistej wolności słowa i druku.

Jednym z podstawowych warunków tej wolności, jest dopuszczenie do Kraju książek i innych wydawnictw polskich i obcych, drukowanych w wolnym świecie”.



**POMOC DO POLSKI**  
**LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ**

Katalog 100 popularnych paczek  
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)  
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze  
wszystkich części świata.

**HASKOBA LTD.**

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.  
Telefon: FREmantle 7888/9



Za uchwałą Związku Pisarzy głosowali: St. Baliński, Al. Bregman, J. Bujnowski, M. Czuchnowski, M. Danilewiczowa, J. Kisielewski, St. Kossowska, J. Kowalewski, M. Kukiel, St. Legeżyński, Józef Lisiewicz, T. Lisiewicz, M. Łysakowski, H. Naglerowa, Z. Nowakowski, J. Ostrowski, Br. Przyłuski, Jul. Sakowski, Tad. Sułkowski, T. Terlecki, Ign. Wieniawski, St. Zahorska, prof. Żółtowski.

Przeciw uchwale głosowali: Z. Broncel, J. Czechowicz-Mieroszevska, J. Mieroszewski, J. Niemojowski.

Wstrzymał się od głosu: Wiesław Strzałkowski.

Na 113 zarejestrowanych członków Związku Pisarzy za uchwałą głosowało 23-ch. Trzeba przy tym wziąć pod uwagę, że szereg pisarzy — nawet najwybitniejszych — do Związku nie należy.

Problem jest zbyt ważny, a grono osób uchwalających — zbyt przypadkowe, aby powyższa rezolucja mogła wyrażać opinię literatury emigracyjnej. Redakcja „Kultury” postanowiła więc przeprowadzić ankietę wśród pisarzy, którzy bądź nie uczestniczyli w Walnym Zjeździe, lub do Związku nie należą. Odpowiedzi napływają do chwili oddania numeru na maszyny, wobec tego drukujemy obecnie jedynie odpowiedzi, odkładając omówienie do numeru styczniowego. Odłożenie omówienia ankiety wydaje nam się tym bardziej celowe, że Walny Zjazd Związku Literatów krajowych odbędzie się dopiero w bieżącym miesiącu. Może nam to pozwoli uchwycić nurt *całej współczesnej literatury polskiej*.

Jeżeli weźmie się pod uwagę czołową rolę, jaką w Polsce odegrała literatura w ostatnich czasach i jakie ogromne zadania stawia przed nią najbliższa przyszłość — waga, jaką do jej rozwoju przywiązujemy, oraz niepokój, jaki wywołują w nas próby jej zgłaszaltowania czy wykorzystania, zarówno w kraju jak i na emigracji — staną się dla czytelników naszych zrozumiałe.

*Podajemy odpowiedzi w porządku alfabetycznym:*

**Andrzej BOBKOWSKI** (Guatemala). Solidaryzuję się całkowicie z uchwałą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z dnia 20 i 21 października.

Skoro nie mogę publikować w Polsce tego, na co ja miałbym ochotę, nie widzę powodu przyjmowania łaskawych ofert druku tego, na co miała by ochotę cenzura partyjna tam.

Albo się pali, albo się nie pali; trochę palić lub trochę nie palić nie można. Zagadnienie druku w kraju w obecnej sytuacji jest z tej samej kategorii. System „białe-czarne” jest prostacki i reakcyjny, nie mniej wydaje mi się iż są sytuacje, w których — niestety — nie ma innego wyjścia i w tym szczególnym wypadku jest on jedynym, jaki *pisarz emigracyjny* może przyjąć. Ułatwi to klasyfikację nie tylko p. Mieroszewskiemu, ale i wielkiemu odłamowi potencjalnych czytelników w kraju, którzy z komunizmem i rządami Gomułki mają tyleż wspólnego, co zamordowani powstańcy w Budapeszcie.

**Maria CZAPSKA** (Maisons Laffitte). Z uchwałą ogłoszoną przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie nie zgadzam się. Uchwalenie jej przez grupę pisarzy londyńskich, bez uprzedniego porozumienia się z pisarzami polskimi, rozrzuconymi po całym świecie, bez przeprowadzenia jakiegokolwiek z nimi dyskusji to metoda co najmniej niedemokratyczna, a co za tym idzie uchwała ta nie obowiązuje nikogo poza tymi, którzy ją uchwalili. Zgadzam się ze stanowiskiem „Kultury” sprecyzowanym w Nrach 9/107 i 11/109, przez J. Mieroszewskiego i Zd. Bronclę.

Autorowie drukując swoje prace w kraju powinni honoraria swoje w kraju zostawiać; bronię jednak prawa przekazywania tych sum nie tylko na rzecz instytucji kulturalnych, ale wspierania tymi pieniędzmi ludzi prywatnych, przedstawiających wartość kulturalną dla społeczeństwa, a nie należących do kasty uprzywilejowanych, żyjących więc w stałym niedostatku. Do jednego zasadniczego punktu, który wysunął p. Mieroszewski sponuję wnieść poprawkę.

„W pierwszym rzędzie wydanie krajowe winno być zgodne co do joty z oryginałem — pisze Mieroszewski. — Nie można akceptować żadnych skreśleń redakcyjnych, ‘komentarzy’, czy wstępów”.

Co do komentarzy i wstępów, mających na celu wypaczenie sensu książki lub specyficzne jej naświetlenie — zgadzam się; ale *zgodność co do joty z oryginałem* należałoby jeszcze przedyskutować. Przecie Sienkiewicz i Żeromski wydawali inne wersje swoich książek w Krakowie i w Warszawie. „Pamiętnik poznańskiego nauczyciela” został nawet całkowicie przerobiony przez autora na niemieckie stosunki. Poezje Mickiewicza i Krasińskiego wychodziły w Warszawie i Wilnie scenzurowane, miały jednak swoją wartość dla młodzieży pod zaborem rosyjskim nawet w tej okaleczonej postaci. „Dlaczego teraz — pisze mi przyjaciel z Polski — skazywać całą młodzież na kompletne odcięcie od literatury emigracyjnej, kiedy można by choć jej część, lub częściowo wydać ją w kraju?”

Zdaje mi się więc, że każda książka wartościowa napisana w wolnych krajach może stać się dobroczynnym zaczynem w Polsce, *nawet* o ile byłaby wydana częściowo, ze skreśleniem pewnych ustępów lub rozdziałów, dotyczących, obowiązującego do dziś, wiadomego tabu.

Skreślenia powinnyby być poczynione za zgodą autora i możliwie *znaczne* w wydaniu krajowym.

Przy okazji wspomnę o zastanawiającej niechęci, a nawet upartej wrogości, z jaką niektóre środowiska emigracyjne odnoszą się do kulturalnych instytucji w kraju: redakcji, wydawnictw, akademii itp. „kontrolowanych przez władze totalistyczne”. Smutny ten objaw zastanawia dzisiaj, kiedy kontakty z ludźmi z kraju są liczne, różnorodne i całkiem swobodne. Że instytucje te są kontrolowane jak i cały naród, cały kraj — o tym wiemy, ale wiemy dziś również, że ich bezpartyjni, a nawet nieraz partyjni kierownicy, są Polakami takimi jak i my, a w każdym razie stojącymi bliżej sprawy polskiej aniżeli my, po kilkunastu latach odcięcia od kraju, Polakami, których cele i dążenia zbiegają się na niejednym odcinku z naszymi.

**Witold GOMBROWICZ** (Buenos Aires). Nie będę odpowiadał na ankietę — obawiam się, mianowicie, że została rozesłana zbyt wielu „pisarzom”. Moim zdaniem, powaga tych zagadnień jest odwrotnie proporcjonalna do ilości osób, biorących w nich udział.

„Pisarz”... no tak... „Pisarzem” można nazwać od biedy każdego, kto „pisze”. Ale zgódźmy się, że pisarz z prawdziwego zdarzenia zaczyna się tam gdzie się zdobywa rzeczywiste istnienie duchowe, zapewniające słowa



istotny rezonans. Takich pisarzy mamy na emigracji, według moich przybliżeń i raczej optymistycznych obliczeń, pięciu lub sześciu.

Co do mnie, nabiedziłem się niemało aby mój głos znaczył coś więcej niż ta jedna kreska, której przysporzyłby w głosowaniu. Oświadczam z całą megalomanią: nie będę dewaloryzował mojego głosu, uczestnicząc w procedurze, która jakość rozpuszcza w ilości.

Ażeby jednak moje przeżycia w następstwie owej sławetnej uchwały Związku „Pisarzy” nie pozostały nieznane, pozwalam sobie przekazać w trybie konfidencajnym poniższy, ściśle prywatny, *passus mego dzienniczka*. Pod datą „wtorek” zanotowałem:

„Dla ludzi bardziej oświeconych literatura to jest treść; to jest to, co się pisze; to jest to, kim się jest; to sprawa żywa obcowania duchowego. Ale dla skryby literatura to przede wszystkim kwestia wydań, kontraktów, honorariów, debitu, słowem całego tego handlu gdzie książka staje się przedmiotem, jak but”.

„Ja pozostałem zagranicą ponieważ w Kraju nie ma wolności słowa — ale teraz okazuje się, że i tutaj mi ją gwałcą nakazami dla kogo mam pisać i gdzie mi wolno szukać czytelników. Pozostałem zagranicą aby stąd oddziaływać na moich polskich czytelników w duchu mnie właściwym, to jest w duchu wolności — czyż nie taka jest najwyższa racja istnienia pisarza emigranta? Ale zakaz: nie wolno! Czy zwariowali? Czy może sabotaż? W chwili, gdy dzięki szczęśliwym przemianom politycznym w Kraju, wolne słowo może na koniec przeniknąć na tamtejsze spustoszone tereny, gdy wreszcie komunizm zmuszony został do uchylecia polskiego okna na Zachód — ktoś inny staje na przeszkodzie i nakłada nowy kaganiec. Kto? Związek „Pisarzy” w Londynie”.

„Głosowania, uchwały, przepisy... Śmierdzi to biurokracją i formalistyką, zlekceważeniem życia literatury. Oto sprowadzanie pracy duchowej na poziom zaiste gremialny. Traktujecie to ordynarnie, jakby chodziło o produkcję książek — zapominacie, że literatura to cichy, poufny szept i tylko kilku, kilku nielicznych... Chcecie nas uszeregować, maszerować nami, używać do jakichś nacisków i demonstracji — ale zapominacie że my w kupie jesteśmy tylko bzdurą i śmiesznością — każdy z nas znaczy coś tylko gdy jest zupełnie sam i nieskrępowany”.

„Widzą tylko „współpracę” z krajowymi firmami wydawniczymi — nie widzą współpracy z życiem narodu, z rozwojem polskim, z polskim ciężkim i trudnym dojrzewaniem. I to zagłębienie do kieszeni! Że niby, jeśli zwącham wysokie zarobki, gotów byłbym znieknąć w mej ideologii. Ależ nie jesteście dostatecznie sprytni! Takimi kieszeniowymi inspekcjami i papierowymi zakazami nic nie zdziałacie, artysta jest nieuchwytny i lotny, *spiritus fiat ubi vult* i zawsze się wam wymknie gdy będzie chciał. Gdybyście byli nieco mądrzejsi (ale to pobożne życzenie) wiedzielibyście, że jest tylko jeden sposób aby naprawdę przykuć i uwięzić pisarza: zanużając go. I rozumiejąc jego sens, jego konieczności. Gdy trochę tej soli posypiecie na ogon ptaszkowi, nie uleci. Przyzwoitość, inteligencja i nieco polotu — oto klucz do sytuacji. Ale tego właśnie wam zabrakło”.

Przepraszając za te przydługie zwierzenia, korzystam ze sposobności aby załączyć wiązanek ukłonów i pozdrowień.

Zbigniew GRABOWSKI (Londyn). W liście zamieszczonym we wrześniowej „Kulturze” przedstawiłem motywy jakie mną kierowały w latach 1946-1948 kiedy wyraziłem zgodę na przedruk mojej powieści w Polsce

przez firmę prywatną („Awir”), dostarczyłem rękopisu książki o Anglii śp. dyr. Jeleńskiemu z dawnego Wyd. św. Wojciecha i zamieściłem kilka szkiców w prasie polskiej.

Za stanowisko wówczas zajęte zostałem potępiony przez Zw. Pisarzy Pol. na Obczyźnie i z organizacji tej wystąpiłem w r. 1947; pomimo uprzednich zaproszeń, które sobie wysoce cenię, do Związku nie wstąpiłem, woląc odczekać jak sprawy ukształtują się na kongresie PEN’u w Londynie latem br. Po tym kongresie powiadomiłem prywatnie Tymona Terleckiego, którego wielką prawosć oraz lojalność nauczyłem się oceniać w czasie wojennej współpracy w jego piśmie „Polska Walcząca”, że niestety nie widzę sposobu wstąpienia na nowo do Związku i że lepiej stwierdzimy, że w tej mierze drogi nasze ze Związkiem się rozchodzą.

Nie taję, że jeżeli nadarzy się sposobność wydania w Polsce tej czy innej mojej książki, dam na to placet; zaznaczyłem, że nie chcę żadnych honorariów zagranicą, a gdybym nie miał rodziny w kraju, zrezygnowałbym z wszelkich płatności, tak wielką jest satysfakcja moralna pisarza jeżeli może wrócić do swojego czytelnika. Uznaję stanowisko „Kultury” co do sprawy honorariów; podobnie jak i stanowisko zajęte w sprawie pisywania do czasopism krajowych.

Jest rzeczą dziwną, że pewne koła na obczyźnie nie chcą zrozumieć, iż przez podkreślanie „współpracy z reżymem”, wytwarza się tylko sztuczne *uncim* jakie rzekomo istnieje między rządem a narodem. Polska 18-wieczna żeglowała pod hasłem „Polska nierządem stoi”; ale Polska niewoli udowodniła sobie i światu, że „Polska nie reżymem stoi”. Jest w Polsce naród, który z godną najwyższego podziwu siłą woli, ofiarami, męką lat stara się wywalczyć sobie samodzielny byt w ramach narzuconego ustroju, który istnieje i istnieć będzie mimo obecnego ustroju. Jeżeli w czymkolwiek możemy pomóc temu procesowi, którego losy są dalej niepewne, należy to okazać. Kiępski to lekarz, który martwi się z poprawy, chociażby chwilowej, w zdrowiu pacjenta. Niezależni pisarze nie ulegną się zakazów, które podyktowane są albo niezrozumieniem sytuacji w kraju albo małodusznością; będą oni starali się znaleźć drogi współpracy nie z „reżymem” ale z własnym, tak straszliwie doświadczonym narodem.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI (Neapol). Uchwała Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z 20-21 października br. powołuje się na poprzednią niesławnej pamięci uchwałę z 14 czerwca 1947 roku, w której czterdziestu podpisanych imiennie pisarzy polskich przebywających na emigracji zobowiązało się programowo „nie ogłaszać w pismach i wydawnictwach kierowanych przez władze narzucone utworów swoich, dawnych i nowych”.

Odmówiłem podpisania uchwały z 1947 roku i uzasadniłem moją odmowę w artykule ogłoszonym na łamach londyńskiego „Robotnika” (numer za listopad-grudzień 1947). Pisałem w nim m. inn.: „Uważam że uchwała Związku Pisarzy jest a) niemoralna, b) wynika z uproszczonego obrazu sytuacji w kraju, c) opiera się na koncepcji ghetta kulturalnego na emigracji, d) zrywa pomiędzy nami i krajem jedną z ostatnich więzi duchowych i kulturalnych”.

Dziś, w dziewięć lat po tym pierwszym szaleństwie, można by zapewne na określenie jego recydywy użyć zamiast czterech liter tylko jednej, ale za to znacznie bardziej dosadnej. Podjęcie tej uchwały właśnie w okresie „czterech dni które wstrząsnęły Polską”, uważam przy tym dodatkowo za objaw niewiarygodnej ślepoty. Dla każdego kto chce i umie patrzeć powinno



być już chyba jasne jak wielką rolę pisarze polscy w Kraju (ocknąwszy się ze strachu i ogłupienia terroru stalinowskiego) odegrali w przygotowaniu „coup” Gomulki. Programowe odcięcie się nawet od tych nikłych możliwości przerzucenia do nich pomostu z emigracji jakie otworzyła odwilż (zagadnienie drukowania w Kraju dotyczy w praktyce tylko paru pisarzy emigracyjnych) wydaje mi się naprawdę grubo więcej niż lekkomyślne.

Jestem za wykorzystaniem każdej sposobności drukowania w Kraju (w warunkach: a) nienaruszalności tekstu, b) nie przyjmowania w żadnej postaci honorariów. Szczegółowe uzasadnienie tego drugiego warunku wykraczałoby poza ramy odpowiedzi na ankietę, która — jak głosi zaproszenie redakcji „Kultury” — ma być „lakoniczna”.

Sądzę że mam wyjątkowe prawo do powiedzenia tego co powiedziałem jako niezainteresowany osobście w całej sprawie. Jedyna książka jaką napisałem na emigracji („Inny Świat”) nie ma dziś najmniejszych szans ukazania się w Kraju. Byłoby jednak niepożytecznością z mojej strony, gdybym sam oświadczył publicznie że *to ja* nie zgadzam się na jej wydanie w Warszawie i udostępnienie czytelnikowi krajowemu w innej formie niż ta jaką rozporządzam obecnie (to znaczy przemytu nielicznych egzemplarzy). Nie podpisując uchwały, oskarżam tych którzy nie chcą lub nie mogą wydać mojej książki w Kraju. Podpisując ją, zwalnia ich w ogóle z problemu.

Kamieniem filozoficznym uchwały Związku Pisarzy jest, jak widzę, „krew polskich bojowników wolności wołająca do wolnego świata o sprawiedliwość dla Polski”. Jeśli ktoś wierzył jeszcze 20 października w cudowne właściwości „wołania do wolnego świata”, to po rewolucji węgierskiej musi pomyśleć o innych drogach „skutecznego udziału pisarzy emigracyjnych w walce o wyzwolenie”.

Aleksander HERTZ (New York). W przekonaniu moim uchwała Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie została przyjęta bardzo lekkomyślnie i w dalszych konsekwencjach może być tylko szkodliwa. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że pisarz emigracyjny powinien wyzyskać wszelkie możliwości — o ile tylko ma pełną gwarancję, że słowo jego będzie w kraju wydrukowane tak, jak było napisane — dla nawiązania bezpośredniego kontaktu z czytelnikiem w Polsce. Dziś jest to szczególnie doniosłe. Z tych wiadomości, jakie otrzymuję z kraju, wynika, że czytelnik właśnie tego oczekuje od pisarza emigracyjnego. Jak czytelnik ten skomentuje londyńską uchwałę — łatwo sobie wyobrazić.

Najzupełniej przeto solidaryzuję się ze stanowiskiem, jakie w tej sprawie zajęła „Kultura”.

Paweł HOSTOWIEC (Bern). Leży przede mną na stole przedmiot zmartwienia, niby uprzykrzony list od komornika, donoszący, że „jestem winien”, że „mam obowiązek” itd. Najchętniej nic bym na to nie odpowiadał. Prawo do milczenia wydaje mi się w tej chwili równie cenne jak prawo głosu. Listy tego rodzaju dają jednak do zrozumienia, że nie zgłaszając w określonym terminie sprzeciwu uznaję milcząco moją winę i przyjmuję wynikające stąd zobowiązania.

Od kiedy piszę do druku uważam, że powinienem zachowywać pewną niezależność, nie być nikomu nic winny, unikać starannie sytuacji, w których pisałbym pod przymusem, bo papier zaczerpnięty pod przymusem jest makulaturą. To było główną przyczyną, dla której znalazłem się i pozostaję na

emigracji. Tym żywiej odczuwam w tej chwili przykrość pisania pod przymusem, w sprawie w której zachowałbym najchętniej milczenie.

Tym uprzykrzonym listem komornika jest uchwała londyńskiego związku pisarzy na obczyźnie z 20-21 października 1956. Uchwala ta, powołując się na poprzednią uchwałę z 1947, ogłasza bojkot przedsięwzięcia wydawniczych i czasopism krajowych. Taki sens bowiem zdają się mieć słowa: „pisarzy polscy na obczyźnie winni nadal powstrzymywać się od wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne”.

Przyznaję, że zagadnienie drukowania swych utworów w kraju nastroczać musi emigrantowi wiele wątpliwości, na które nie widzę żadnej jasnej odpowiedzi. *In dubiis libertas*, wolno więc pisarzom należącym do londyńskiego związku mieć o tym własne zdanie, i nikt zapewne nie będzie się o to spierał. Rzecz jednak w tym, że związek nie uważa swej uchwały za decyzję wewnętrzną, ważną dla zrzeszonych w nim pisarzy, ale chciałby narzucić ją ogółowi pisarzy na emigracji. Intencja taka zdaje się wynikać z samego sformułowania uchwały. Wnoszę o tym i stąd, że — jakkolwiek niezrzeszony — otrzymałem od związku tekst tej uchwały. Mogę to rozumieć tylko jako wezwanie do podporządkowania się lub do zgłoszenia sprzeciwu. Piszę więc pod przymusem, bez żadnej przyjemności, powstrzymując się od grubiaństw, jak gdybym odpowiadał na list komornika.

Nie mam na razie powodu do zajmowania się samym meritum uchwały. Nikt nie proponuje mi drukowania czegoś w kraju, i nie mam nadających się do tego celu rękopisów. Przypuszczam jednak, że propozycja taka sprawiłaby mi mniej kłopotu niż uchwała związku pisarzy. Mogłbym na nie ostatecznie nie odpisać, powiedzieć, że mnie nie ma w domu. Nie wyobrażam sobie, aby propozycje z kraju redagowane były w tonie *quiltte ou double* lub przyjmowały milczenie za zgodę. Mogłbym więc odpowiedzieć na nie bez przymusu, to co uważałbym za stosowne.

Uchwała związku pisarzy nie zostawia mi tej swobody, przemawiając do mnie językiem dekrétów i rozporządzeń: „pisarze... winni nadal” ... „zasada ta obowiązuje pisarzy” ...

Nie biorę tego dekretu zbyt tragicznie. Sami autorzy jego musieli mieć świadomość, że ubierając swą wypowiedź w groteskową formę odbierają jej autorytet, jaki mogłaby mieć ich umotywowana opinia. Uchwała ich jest więc ćwiczeniem stylistycznym na temat administracyjny, rodzajem szczerbinowskiej „ustawy o należytym przyrządzaniu pierogów” lub marzeniem kandydata na gubernatora.

W tekście tym — nawet nie brany na serio — uderza przykro naiwne przekonanie, że sprawy literackie można załatwić przy pomocy dekrétów, rozporządzeń czy postanowień związków literatów. Złudzenia takie mogą mieć dyktatorzy i ich urzędnicy od spraw kultury, ale nie literaci mający, być może, w pamięci to co mówił niegdyś Chapelain o różnicy między procesami sądowymi i literackimi.

Wreszcie nie mogę się pogodzić z faktem, że tym mentorsko-rozkazującym tonem związek londyński zwraca się do kolegów, z którymi łączy ich piętnaście lat wspólnego pobytu na emigracji. Narodziłoby się pytanie, czy powierzyły swym pisarzom zadanie tak ważne i trudne, że muszą mieć do nich odpowiadające tym zadaniom zaufanie. Nie widzę zresztą nikogo, kto miałby tytuł do wydawania im rozkazów.

Związek pisarzy motywuje swe zarządzenia ich użytecznością w walce o niepodległość. Przestrzeganie zasad dekretowanych przez związek jest „warunkiem skutecznego udziału w walce o wyzwolenie”. Jeżeli więc się ich nie przestrzega, nie walczy się o niepodległość.



Argumenty powołujące się na użyteczność są zawsze wątpliwe. O tym co się okaże użyteczne mógłby bez błędu sądzić tylko ten kto zna przyszłość. Kto nie ma lepszych argumentów, nie może uważać swego zdania za pewne, ani narzucać go innym. W chwili gdy nawet na Kremlu dopuszcza się istnienie różnych dróg prowadzących do socjalizmu, związek pisarzy mógłby wspaniałomyślnie wybaczyć nam przypuszczenie, że i do niepodległości różne drogi mogą prowadzić.

Przeciw drukowaniu się w kraju przemawiać mogą różne argumenty; ten, na który powołuje się uchwała związku pisarzy, wydaje się najmniej przekonujący.

W uchwale pisarzy jest coś z atmosfery mobilizacji podporządkowującej literaturę sprawom domniemanej użyteczności doraźnej. Ale czy rozkaz mobilizacyjny wydany z Londynu do pisarzy emigracyjnych jest czymś, co by w sposób istotny mogło przeciwstawić się mobilizacji literatury pod dyktando proletariatu? Cokolwiek o tym sądzić, w uchwale londyńskiego związku nie widać zapowiedzi wolności literatury w przyszłej Polsce niepodległej.

Za wszystkich czasów literatura znajdowała się pod uciskiem cenzury, wymykając się próbom podporządkowania jej celom uznanym za użyteczne przez tyranów czy też przez większość obywateli. Wolność literatury streszczała się zawsze do tego, czego w tych ciasnych nieraz granicach pisarze potrafili dokonać i ile z swej potrzeby niezależności zdolali przekazać czytelnikom. Na uchylanie się od przymusu nie ma recepty, jak nie ma jej na talent i wyobraźnię. Mnogość prowadzących do tego dróg sprawia, że postulat wolności, zwłaszcza w materii literackiej, posiadał zawsze pewną nieokreśloną szerokość i skrajność. Posłuchajmy co mówi o tym Seneka, który za panowania Nerona przemyślał tę sprawę. W listach swych Seneka przytacza historię Marcellina, który — gdy zachorował i lekarze przepisali mu dietę — uznał, że życie podporządkowane wskazówkom lekarzy jest pozbawione godności, i że odzyskać ją może tylko przez samobójstwo. Niewiele stawia swej niezależności tak wysokie wymagania; jeszcze mniej liczni potrafia im sprostać. Nie potrafił tego być może i sam Seneka. Ale tylko w tym skrajnym sformułowaniu wolność posiada magiczną siłę przekazywaną z pokolenia w pokolenie. Uważajmy, abyśmy przez kompromisy z użytecznością i taktyką nie okroili jej do rozmiaru rzeczy malej, nie wartej zachodu.

Literatura z natury swej nie poddaje się reglamentacji, i kto tego próbował, tracił kontakt z rzeczywistością i schodził na manowce. Przykłady tego obfitują za żelazną zasłoną. Od kiedy wymyślanie norm i przepisów dla pisarzy zajęli się także emigranci, można je znaleźć i w najbliższym sąsiedztwie. Mam tu na myśli nie tylko uchwałę związku pisarzy, ale także projekt zespołu „Kultura” ogłoszony w wrześniowym numerze tej ostatniej.

Czytamy tam, m. in., że „autorzy emigracyjni w żadnym wypadku nie powinni przyjmować honorariów w dewizach... Dlaczego? Przyczyn jest wiele — najważniejsze można sformułować następująco: zapas dewiz w kraju jest bardzo mały. Brak dewiz uniemożliwia zaopatrzenie bibliotek, czytelników uniwersyteckich itd. w książki i prasę Zachodu...”

Argument ten rozbraja naiwnością. Książek zagranicznych brak dziś za żelazną zasłoną — a także w bibliotekach i czytelnikach większej części krajów Zachodu — nie z braku dewiz, lecz z powodu miejsca, jakie książki zajmuje obecnie w hierarchii potrzeb, ustalonej przez urzędy przydzielające dewizy. Importerzy innych towarów znajdują łatwiej argumenty przekonujące urzędników o niezbędności wwożonych artykułów. Nikt nie broni inte-

resów czytelników. W urzędzie skarbowym książka stoi nieśmiała i zawstydzona, nie mieszcząc się w skali ogólnie uznanych użyteczności. Prócz tego jednym z najważniejszych argumentów wysuwanych przeciw handlowi z dyktatorami było to, że ci ostatni, w zamian za swe twory, chcieli kupować tylko sprzęt służący do wyrobu broni. Przypuszczenie więc, że zaoszczędzone na honorariach autorskich dewizy zużyte będą na zakup książek, nie posiada żadnego prawdopodobieństwa. Cel ten można by osiągnąć chyba tylko wówczas, gdyby autorzy, otrzymując honoraria w dewizach, obracali sami te ostatnie na zakup książek dla uniwersytetów i bibliotek krajowych. Ale i takie załatwienie nasręczałoby różne wątpliwości...

Spraw tych nie można załatwić przez żadne formuły ogólne, bo każdy rękopis stawia inne wymagania. Jak wreszcie mają postępować autorzy, których rękopisy nie znajdują ani wydawców ani czytelników na emigracji, ale mogą znaleźć jednych i drugich w kraju? Czy przez solidarność z związkiem pisarzy mają przestać pisać, czy też, idąc za projektem zespołu „Kultura”, mają się rzec honorariów, składając w ten sposób skromną ofiarę na dozbrojenie Nassera czy inne zagraniczne przedsięwzięcie bloku wschodniego? Dajemy temu pokój. Ani próby reglamentacji literatury emigracyjnej, ani publiczne dyskutowanie tej sprawy nie mają sensu. Wydaje mi się, że sprawę ewentualnych stosunków z przedsiębiorstwami wydawniczymi w kraju najlepiej byłoby pozostawić samym autorom, którzy spędzili z nami piętnaście lat na emigracji i potrafia się obyć bez nianiek.

Wacław IWANIUK (Kanada). Chciałem na wstępie zaznaczyć, że zawsze czułem się członkiem Związku Pisarzy, a po wyjeździe do Kanady kontakt mój z Zarządem nie ustał. Przypuszczam, że wielu innych pisarzy, przebywających poza Anglią, czuło tak samo jak i ja. Przy dobrej woli i organizacyjnej uczciwości Zarząd mógł projekt uchwały przesłać do wszystkich członków Związku. Mógł również z łatwością projekt ten opublikować w pismach polskich i prosić o odpowiedź wszystkich pisarzy na emigracji. Ponieważ jednak tego nie zrobił, uważam, że nie miał prawa w pierwszym zdaniu uchwały użyć wyrażenia: „Pisarze polscy na emigracji”.

Gdyby, po pierwszym niedopatrzniu, kierowała zakonspirowanym w Londynie Związkiem dobra wola, to zgodnie z przyjętym zwyczajem Związek powinien był ogłosić tekst powziętej uchwały z wyjaśnieniem, dlaczego zostali pominięci pisarze spoza Anglii. Wyjaśnienie takie było konieczne, gdyż uchwała włącza i występuje w imieniu „pisarzy polskich na emigracji”, a nie Związku Pisarzy polskich czy londyńskich. Tego rodzaju „łapanie dusz” jest raczej chwytem azjatyckim i ilustruje tylko niezdrową atmosferę, jaka panuje w środowisku londyńskiej emigracji, a o pisarzach którzy uchwałę powyższą powzięli mówi, że w momencie tym byli tylko niezdrowymi politykierami, bez uszanowania dla swego zawodu i powołania pisarza.

Treść uchwały, tak niedemokratyczna z ducha i godząca w interesy kultury polskiej, kompromitującą wykazuje, że wielu z nas, jeżeli nie większość, wyniosło z Polski jedynie ideał ustroju politycznego, streszczający się w czterech znanych literach: BBWR, temu ideałowi ślepo służy i dalej go uznaje. Powoływanie się w tych warunkach na wolę narodu i przelaną krew jest czymś i nieliczącym pisarza komunalem, wywołującym na twarzach tej części pisarzy, którzy podczas ostatniej wojny służyli Krajowi z bronią w ręku, smutny grymas.

W odpowiedzi mojej, ograniczonej miejscem, nie mam możliwości by wykazać ślepotę i oplakane skutki, jakie uchwała powyższa może w przyszłości wywołać. Grono, które podpisało ją wykazało, obok zupełnej swej



niezyciowości, brak zrozumienia dla kultury polskiej, która powinna być związana z narodem, piórem pisarza, wbrew politycznym zakazom i przesładowaniom. Trzeba pamiętać, że siła biologiczna narodu, obserwowana na dalszą metę, wychodzi zawsze zwycięsko z zapasów politycznych, a odżegnywanie się w trudnych momentach od narodu jest zwykłym aktem samobójstwa, o tyle tragicznym, że zubożającym piśmiennictwo polskie.

P.S.: Wypowiedź moja dotyczy raczej strony merytorycznej i nie wyjaśnia powodów narodowo-politycznych, dla których nie zgadzam się z treścią uchwały, ale na to trzeba więcej miejsca i czasu.

Aleksander JANTA (New York). Postanawianie aby „krew polskich bojowników wolności nie poszła na marne ale *wolała do wolnego świata*” itd. jest frazesem tak pozbawionym wszelkiej szansy pokrycia ze strony podpisujących go kolegów po piórze, że nie przestanę się dziwić jak można było z tego rodzaju deklamacji robić deklarację programową.

Pierwszym obowiązkiem emigracyjnych pisarzy, których cel życia określony został (z apodyktycznym wykluczeniem wszystkich innych) jako służba „w sprawie przywrócenia niepodległości Polsce”, powinno być oczywiście pielęgnowanie między sobą niepodległości myśli, a co za tym idzie twórczej swobody poszukiwań, rozpoznania, eksperymentu, dyskusji, krytyki i polemiki. Nieobojętna w tej sytuacji jest także sprawa poziomu, na którym niepodległość wspomnianej *substancji życia narodowego* mogłaby się i umiała wypowiedzieć.

Wiadomo już, że ani twórczości ani życia pisarzy nie sposób regulować ukazami. Zagadnienie, z którym próbuje zalać się uchwała niedawnego Walnego Zjazdu jest jednym z tych, które dotyczą wielkich moralnych konfliktów i podziałów naszego czasu. Mechaniczne rozstrzygnięcia i rozgraniczenia nie mogą i nie powinny być stosowane wobec tego rodzaju zjawisk. Tendencje reglamentacji pisarzy, jak to wiemy z doświadczeń w Rosji i w Polsce, kończą się nieuchronną klęską. Mogę zgadzać się z taktyką nie drukowania w kraju, aż póki nie będzie dopuszczona do niego książka wydana na emigracji, ale uznając ten zabieg odcinania się od możliwości wydania książki w Polsce jako jedną z metod działania *na jej korzyść*, chciałbym traktować takie sformułowanie według należytej mu proporcji i miary, jako zaleconą, bo według pewnych opinii *lepszą drogę* do osiągnięcia pełnej swobody, ale nie jako kamień probierczy, według którego ma się postanawiać i sądzić kto z pisarzy jest prawowitny, a kto zdrajca czy też odstępcza.

Wydaje mi się że kto znalazł się na zachodzie w częściowym choćby wyniku własnych doświadczeń, przemyśleń i rozeznań, nie ma zamiaru ani na chwilę rezygnować z przywilejów wolnego wyboru i wolnych wniosków. Ci którzy na takiej podstawie dochodzą do rozumienia najlepszego interesu swojego narodu (nie bez tego aby chcieli rozumieć także interes narodów innych) reprezentują na pewno ważniejszą dla przyszłości pozycję, niż ci którzy skłonni są poddać się presji raz rządu, a raz zarządu, próbującego pisarzowi zastąpić sumienie i brać za jego zbiorową postawę ideową odpowiedzialność, wszystko jedno czy w kraju czy na emigracji.

Janusz JASIENCZYK (Londyn). W powzięciu uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z dnia 21 października 1956 roku nie bra-

łem udziału, jak nie miałem nic wspólnego z uchwałą z roku 1947, zakazującą członkom Związku drukowania w Kraju (w czasie powzięcia tej pierwszej nie byłem jeszcze członkiem Związku, a następnie jawnie ją zwalczałem na zebraniach związkowych). Chociaż nie prowadzę obecnie żadnych pertraktacji z jakimkolwiek wydawnictwem w Polsce w sprawie przedruku moich książek i w najbliższej przyszłości zamierzam w tych kwestiach zajmować stanowisko wyczerkujące — ze względów zasadniczych nie solidaryzuję się z tą częścią uchwały z dnia 21 października rb., która mówi o nie drukowaniu w Kraju utworów autorów emigracyjnych. Talent jest najbardziej osobistym darem Opatrzności, czy, jeśli ktoś woli, natury. Nikt nie może pozbawiać artysty prawa osobistego dysponowania twórcami swego talentu, a artysta, który bądź dobrowolnie, bądź też pod presją otoczenia, wyrzeka się tego prawa na rzecz innej osoby lub grupy, popełnia artystyczne samobójstwo. Pobieranie przez pisarską organizację zawodową uchwał, pozbawiających członków naturalnego prawa — i obowiązku — osobistej decyzji w sprawach ich twórczości uważam za groźne nieporozumienie. Nieporozumienia takie w niczym jednak nie zmieniają prawdy o osobistej i niezbywalnej odpowiedzialności pisarza-artysty za własną twórczość i za rozstrządzanie jej owocami nawet w okolicznościach, gdy na decyzję jego mają wpływ czynniki pozaartystyczne.

K.A. JELEŃSKI (Paryż). Uchwała Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie jest przykładem politycznej schizofrenii. Wystarczy poddać ją po-  
bieżnej analizie:

„Wobec wydarzeń rozgrywających się w Kraju...” Jakich wydarzeń? Odpowiedź na to daje tylko data uchwały: 20 i 21 październik, to dni polskiej bezkrwawej „rewolucji”, dojścia Gomułki do władzy, oporu wobec Z.S.S.R., próby likwidacji stalinizmu.

„Pisarze polscy łączą się myślą i sercem z narodem polskim walczącym o wyzwolenie...” A więc chyba ze studentami Politechniki, robotnikami Żerania, komitetem warszawskim Partii Komunistycznej, większością Polaków popierającą Gomułkę.

„Postanawiają dolożyć wszelkich wysiłków aby krew polskich bojowników wolności nie poszła na marne, ale wolała do wolnego świata o sprawiedliwość dla Polski...” Zapewne krew ofiar stalinizmu, krew robotników Poznania. „Wydarzenia” z 20 i 21 października wydają się wskazywać na to, że krew ta istotnie nie poszła na marne. Mało z tym mają wspólnego polscy pisarze na obczyźnie — jeszcze mniej wolny świat, który pozwolił na morderstwo Węgier.

„Dopóki Kraj nasz pozostaje w politycznej niewoli i pod rosyjską przemocą...” Celem „Wydarzeń” było chyba właśnie zmniejszenie „politycznej niewoli”, poprzez ograniczenie „rosyjskiej przemocy” w granicach geopolitycznych możliwości.

W Polsce nie istnieje dziś ani demokracja, ani żadne konstytucyjne, prawne gwarancje wolności słowa, wolności społecznej, wolności osobistej. Nie wydaje się aby mogły one tam obecnie zaistnieć, ani nawet by naród polski mógł się o nie systematycznie dopominać, nie narażając Polski na los Węgier. Polacy tym niemniej dysponują dziś znacznym marginesem wolności faktycznej, który należy wszelkimi środkami starać się rozszerzyć.

W krajach o ustroju parlamentarnym, opozycja współpracuje z rządem, gdy nakazuje to interes ogólnonarodowy. Podobną rolę, moim zdaniem, powinna dziś spełniać emigracja, nie tyle wobec rządu — którego nie uznaje



i który jej nie uznaje — ile wobec narodu, który rząd ten z takich czy innych względów popiera.

Nie spotkałem ani jednego Polaka z Kraju, nawet najbardziej wrogo nastawionego do istniejącego ustroju, który by nie uważał stanowiska Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w sprawie wydawania w Kraju książek emigracyjnych pisarzy, za całkowicie absurda. W grę wchodzi tu jeden tylko problem, który słusznie uwydatniła „Kultura”: ewentualnej zależności finansowej pisarza, politycznego uchodźcy, od reżymu, który pisarz ten zwalcza. Dopominając się o dopuszczenie do Kraju — a więc chyba zakup w dewizach — książek polskich wydawanych zagranicą, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie przechodzi do porządku dziennego nad tym problemem, wychodząc chyba z założenia, że funty czy dolary, wypłacane pisarzom emigracyjnym przez emigracyjnego wydawcę nie będą miały „totalistycznego” zapachu, nawet gdyby pochodziły z zakupów dokonywanych masowo przez „Czytelnika”.

Stanowisko „Kultury” w tej sprawie wydaje mi się zarazem mniej pretensjonalne i bardziej logiczne.

Zbigniew JORDAN (Niemcy). Nie jestem pisarzem i nie należę do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Zabieram głos będąc o to proszony, a sprawa jest zbyt ważna i istotna, by prośbę tę pominąć milczeniem.

Nie mógłbym solidaryzować się z rezolucją Związku Pisarzy gdyż w moim przekonaniu jest ona wyrazem umysłowości utopijnej, dla której nie w Polsce się nie zmieni dopóki wszystko nie zmieni się do gruntu. Nie dostrzega ona procesów zachodzących w umysłach i w życiu w kraju, istnienia grup i sił, wśród których intelektualści, pisarze i publicyści odgrywają przodującą rolę, prących ku rozszerzeniu i ugruntowaniu suwerenności narodowej, swobód osobistych, wolności słowa i myśli. Błędny stosunek do wspomnianych procesów prowadzi do paradoksalnego wniosku, iż ich ignorowanie jest najskuteczniejszą metodą walki o „przywrócenie Polsce pełnej niepodległości”.

Dr. Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA (Toronto, Ont.). Formułując moje stanowisko w sprawie drukowania w kraju, przyjmuję, że zainteresowanie autorów tą sprawą jest motywowane:

1. Chęcią zapoznania czytelnika w kraju z twórczością emigracyjną;
2. Zdobywie czytelnika (nie zaś rynku) krajowego;
3. Wytworzenie pomostu pomiędzy emigracją a narodem (nie reżymem) w kraju.

Z uwagi na to, stanowisko Związku Pisarzy uważam za zbyt sztywne. Niemniej pogląd Zespołu „Kultury”, który uważa, że drukowanie w kraju jest możliwe, o ile honoraria byłyby wypłacane w kraju, w złotych, uważam za nie do przyjęcia. Indywidualne sytuacje rodzinne mogą sprzyjać przyjęciu tej drogi, wiążąc pisarza w stopniu nie mniejszym niż honoraria dolarowe. Jednocześnie dawałoby to reżymowi do ręki atut pozyskania dla siebie pewnych pisarzy.

Wydaje mi się, że jedyną formą umożliwiającą dziś drukowanie w kraju, byłaby deklaracja Związku Pisarzy czy nawet zespołu pisarzy, zrzekająca się praw autorskich w sensie honorariów krajowych w jakiegokolwiek bądź formie. Deklaracja taka musiałaby zawierać klauzulę, że jakiegokolwiek defor-

mowanie tekstu autorskiego pociągnęłoby za sobą cofnięcie umowy. Umowa taka musiałaby obowiązywać nie tylko do chwili dopuszczenia do kraju wydawnictw emigracyjnych (patrz — uchwała Zw. Pisarzy), lecz do chwili przeprowadzenia w kraju całkowicie niezależnych i demokratycznych wyborów.

Zajęcie takiego stanowiska usunęłoby dwa niebezpieczeństwa związane z drukowaniem w kraju: uzależnienie materialne pisarza od czynników krajowych, jego wpływ na twórczość itp. oraz konieczność pertraktacji z firmami wydawniczymi czy pismami, działającymi w myśl instrukcji reżymu.

Jednocześnie uważam, że w sytuacji obecnej bardziej niż kiedykolwiek powinno się zwrócić uwagę i energię na to by przynajmniej starsi pisarze emigracyjni mieli przynajmniej podstawowe warunki życiowe umożliwiające im niezależną twórczość na emigracji, bez oglądania się na niewątpliwie pojętne propozycje krajowe.

Jan KOWALIK (Mountain View, Calif., USA). W moim przekonaniu uchwała ZPPO wychodzi raczej na złe Polakom zamieszkałym w Kraju, zamiast im pomagać. Budowanie mostów czy choćby skromnych kładek, jest ciągle jeszcze zajęciem bardziej dalekowzrocznym, aniżeli mnożenie „żelaznych kurtyn” i wznoszenie wież z kości słoniowej. Istnieją też żywotne problemy, co do których nie ma różnicy zdań między Krajem a Emigracją. Czy taka separacja jest wskazana w badaniach i dyskusjach nad np. granicą Odra-Nysa, jest rzeczą nad którą warto się zastanowić.

Maria KUNCEWICZOWA (New York). Zrezygnowawszy po wojnie na rzecz J. Parandowskiego w Warszawie z przewodnictwa Pen Klubu polskiego w Londynie, nie przystąpiłam do stow. pisarzy właśnie z powodu dogmatycznie jałowej postawy jaką ci Koledzy od początku przyjęli wobec spraw i ludzi w Kraju. Do ich uchwały w przedmiocie niedrukowania w Polsce nie zastosowałam się w 1947 i nie stosuję się dziś.

Nie zgadzam się jednak również z opinią „Kultury”, że nie należy przyjmować z Kraju honorariów w walutach zagranicznych. Wobec polskich autorów zagranicą stosowane są specjalne stawki, które redukują honorarium z wysokiej sumy w złotych do bardzo małej w dolarach; w dodatku płatnej, w większości wypadków, w trzy miesiące po wydaniu książki, a więc właściwie po jej rozsprzedaży. W tych warunkach nie sądzę, żeby autor potrzebował się wzdragać z przyjęciem tych uczciwie zarobionych pieniędzy od eswego naturalnego czytelnika. Tym bardziej, że — jak w moim wypadku — decyzją zawarcia kontraktów z firmami krajowymi na książki pisałem przed wojną i na emigracji, zatem nie komunistyczne, pociągnęła za sobą natychmiastowe pozbawienie mnie zarobku w Radio Free Europe za pracę także uczciwą, choć literacko mniej poważną od tej, do której będę mogła wrócić, licząc na skromniejszy, ale dla mnie bardziej naturalny, dochód z książki.

Należy przy tym zaufać pisarzom, że 1) ich zgoda na drukowanie w Kraju książek pisanych w atmosferze wolności nie oznacza zgody na przyjmowanie stamtąd „zamówień społecznych” na zadane tematy i 2) że z pieniędzy otrzymanych zagranicą znaczna część wróci do Kraju w postaci paczek.

Jako rzeczy oczywistej, nie potrzebuję podkreślać tej siły moralnej, którą pisarz czerpie z rezonansu — choćby najbardziej krytycznego — w Kraju swojego języka.



M.B. LEPECKI (Brazylia). Uchwała Związku Pisarzy w Londynie z dnia 21 października r.b. stoi na stanowisku jak gdyby w Kraju nic się nie zmieniło, wskutek czego i Związek nie uważa za stosowne zrewidowania swoich poglądów. Z takim ujęciem nie mogę się zgodzić. Z chwilą gdy w kraju powstał rząd, który, być może nazbyt nieśmiało, ale jednakże wkroczył na drogę honoru narodowego, gdy nasi koledzy-pisarze występują odważnie w obronie praw obywateli do wolności i gdy nikt im z tego powodu nie zakłada knebla na usta — nie mogę nie uznać, aby w naszej Ojczyźnie nic się nie zmieniło. Czy mogło zmienić się więcej? Wobec wypowiedzi Ameryki w związku z wydarzeniami w Polsce w dniach 19-23 października r.b. (nie licząc, Polacy, na żadną pomoc), wobec solidarnego stanowiska Zachodu nie uznawania naszych granic zachodnich — jaką inną politykę mógłby prowadzić jakikolwiek rząd w Warszawie? Za stary już jestem aby zmieniać swoje przekonania społeczne, ale jednakże dość młody, aby zrozumieć nowy duch czasu i aby pojąć, że robienie grymasów do niczego nie prowadzi. Demokratyzację zaczął Gomułka przeprowadzać w takich ramach, jakie mu warunki w bieżącym obecnie roku 1956 pozwalają. Czego możemy chcieć od rządu w Warszawie obecnie? Powstania jak na Węgrzech? Wojny z Rosją? Niech nas Bóg od tego strzeże.

Żądanie pisarzy londyńskich dopuszczenia emigracyjnych wydawnictw i pism do kolportażu w Polsce jest słuszne i nie mam najmniejszej wątpliwości, że prędzej czy później Gomułka zakazy uchyli. Należy o to walczyć ale dlaczego robić to z zamkniętymi oczami.

Dyscyplina ankiety nie pozwala mi sprawy omówić obszerniej. Może ktoś moja wypowiedź zrozumieć opacznie. Niech tam. Jedno tylko chciałbym podkreślić: nawet niebardzo idealna Polska jest moją Ojczyzną i nic nie może mi sprawić większej radości, jak najmniejszy bodaj promień nadziei, który dla niej zaświeci.

Czesław MIŁOSZ (Paryż). Do Związku nie należę. O co chodzi w tej uchwale nie rozumiem. Jest ona w rażącej dysproporcji do wydarzeń w Polsce i w świecie. W sprawie drukowania w Kraju solidaryzuję się całkowicie ze stanowiskiem „Kultury”.

Tadeusz NOWAKOWSKI (Niemcy).

„Dalej w polskiej szacie  
Siedzi Rejtan żalony po wolności stracie,  
W rękę trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,  
A przed nim leży Fedon i żywot Katona”.

Znowu mnie namawiacie do protestu, do podpisania uchwały, do zajęcia stanowiska, „do odciecz się”, do „zamanifestowania”, ale tym razem, drodzy koledzy z Londynu, nie da rady: kalendarz nie pozwala, emigracja nie powinna żyć na bakier z kalendarzem, to naprawdę nieprawda że czas stoi w miejscu. „Nie popłynię rzeka w górę — jak mawiał śpiewak Justyny — nie powrócą młode lata”... Dostaję już tej heroicznej abstynencji, płynącej ze zwykłej impotencji!

Nie będąc w dniach 20 i 21 października br. w Londynie, nie mogłem wziąć udziału w obradach związku polskich na obczyźnie, ale wierzę mi: gdybym był na Waszym soborze, głosowałbym przeciw uchwale. Dlaczego? Czy dlatego, że zmęczyło mnie już to stałe: „Nie!”? Czy dla-

tego, że „zdradziłem” i zaczynam nagle sądzić, iż obecni (Mackiewicz z Wańkowiczem) się liczą, a nieobecni („Terlecki and his boys”) nie mają racji? Nie! Po prostu dlatego, że uchwała podjęta na Finchley Road, a zredagowana w stylu, który zwą w Kraju „dretwą mową”, jest niepokojącym świadectwem (nie pierwszym, niestety!) rosnącego izolacjonizmu środowiska polsko-londyńskiego i jego oddalania się od Wisły. Przyjaciele, „nie nadążacie”! Uchwała Wasza nie dostrzega przemian, jakie zaszły ostatnio w życiu politycznym i kulturalnym Kraju. Gdyby redaktorzy uchwały wczuli się uważniej w ostatnie artykuły „Nowej Kultury”, „Przeglądu Kulturalnego”, „Po prostu” (od bardzo dawna nie było nad Wisłą tak świetnie redagowanego i żarliwego pisma!) czy choćby „Życia Warszawy”, może by doszli do odważnego wniosku, że okopywanie się pisarzy londyńskich (nie wszystkich) na gruncie rejtanowskiej uchwały z roku 1947, jest już anachronizmem. Tysiące młodych, odważnych, myślących patriotów toczy dzisiaj w Kraju trudną i ryzykowną walkę o polityczną, gospodarczą i kulturalną de-satelizację Polski, o więcej suwerenności państwowej, o więcej demokracji (w „demokracji ludowej”) o więcej sprawiedliwości społecznej, o więcej świeżego powietrza w łodzi podwodnej. Zaraz mnie grzecznie o więcej, że tam jest komunizm, totalizm, monopartia, cenzura. Wiem o tym, ale pamiętam równocześnie, że przed wojną mój ojciec co kilka miesięcy wędrował do więzienia za artykuły, pisane przeciwko rządowi, a Czuchnowskiego, zakutego w kajdany, konwojowano u nas w Wolnej, Calej i Niepodległej. Protestuję przeciwko istnieniu Jaworzna, chociaż i przed Jaworznem były u nas obozy odosobnienia; domagam się wolnych wyborów, chociaż i przed wojną fałszowano u nas wybory; wiem, że pałka obca czy rodzima — obie są z twardej gumy; z dość więc wstydlivej wiedzy czerpiemy naszą wolę walki o autentyczną wolność i demokrację. Naturalnie, że to co obecnie kiełkuje w Polsce, to dopiero odgruzowywanie życia po straszliwej dewastacji, jaką stalinizm i bierutyzm spowodował we wszystkich dziedzinach życia polskiego, i, niestety, niebłisko jeszcze do urzeczywistnienia tej pełnej demokracji i wolności, jakiej, najsłuszniej w świecie, domagają się nasi stuprocentowi demokraci w polskim Londynie, ale — czy te uroczyste, niczym śluby Jana Kazimierza, uchwały związku literatów emigracyjnych naprawdę pomagają społeczeństwu w Kraju, a zwłaszcza tym jego wartościowym siłom, które znajdują się w pierwszej linii walki? — oto jest pytanie. Obawiam się, że nie, gdyż dźwięczą one, jak słowa pochwały lub nagany, laskawie kierowane z wysokości emigracyjnej łoży na krajowy parter. Sam fakt, że emigracja, zawsze tylko cnotliwa przypatruje się temu, co się dzieje w ojczyźnie („śledzi bacznie”), odbija się nader żałośnie na każdej jej enuncjacji. Trafiamy mimo. Ludzie w Polsce są dzisiaj zajęci ważniejszymi sprawami, niż drukowanie czy nie-drukowanie garstki emigracyjnych literatów w Kraju. Nie róbmy z siebie pępka świata. Uchwała jest wprawdzie przeznaczona na domowy użytek braci-exulów, stanowi swego rodzaju list pasterski do czarnych owiec, nie chcących chodzić w rejtanowskim zaprzęgu, ale obawiam się, że gdyby przypadkiem jakiś „Żyd przemycił ją w Litwę”, gdyby odczytano ją w Warszawie czy w Krakowie, musiałaby nawet wśród ludzi życzliwych emigracji, nawet wśród przysięgłych antykomunistów nasunąć podejrzenie, że jej autorzy przebywają za granicą nie tylko ciałem. A przecież wszystko i zawsze, jak się to mówi i pisze, „czynimy z myślą o Kraju”...

A w ogóle lepiej jest, gdy pisarze nie uchwalają, lecz piszą i wydają. Mniej uchwał, więcej wartościowych książek. Dobrze by było, gdyby nasz zasłużony związek w Londynie na jednym ze swych następnych zjazdów zajął się wreszcie sprawą literatury na emigracji. Nie wystarczy powiedzieć literatowi: „Jedenaste przykazanie Boskie: nie wydawaj w Polsce!”. Mniej mówmy o tym, czego nie wolno, a więcej o tym, co ten lub ów Torque-



mada czy Torquematołek emigracyjny uczynić powinien, żeby ryby pływały w wodzie, a nie leżały na piasku, żeby pisarz naprawdę mógł być pisarzem, a nie tylko dorocznym uchwalaczem protestów, żeby mógł tworzyć i wydawać na emigracji coś więcej niż tylko „Historię Polski w dwudziestu czterech obrazkach”.

A jakże, jesteśmy wszyscy pryncypialni i nieugięci, i w naszych „zwartych szeregach” nie ma takiego byłego urzędnika cenzury, który by nie chciał umrzeć za świętą wolność słowa, ale przecież i nasze niepodległe pielgrzymstwo ma swoich dr. Faulów. Gdy w zeszłym roku wysłałem do jednej z zaśluzonych polsko-londyńskich placówek wydawniczych zbiór opowiadań, otrzymałem odpowiedź: „Instytucja nasza wydaje tylko takie książki, które pomagają żyć człowiekowi”. Hm, a więc po to zostałem na emigracji i parę się piórem pod słońcem wolności? Przecież to samo, jeno z „innych pozycji”, mógł mi odpisać „Czytelnik” w Warszawie w roku 1950!

Swoją drogą, szczęśliwy ten Marek Hłasko! Nie pisuje na emigracji i nie jest wolnym Tadeuszem Nowakowskim. W arcywolnym polskim Londynie nie wydałby swoich opowiadań. Natomiast w ujarzmionej Warszawie uważany jest, i słusznie, za jednego z najzdolniejszych pisarzy młodego pokolenia. Chociaż „nie pomaga żyć człowiekowi”.

**Maria ORZESZKOWSKA** (Buenos Aires). Przykro mi że moje uwagi w sprawie dotyczącej uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie nie spełniają słusznego warunku lakoniczności. List Pana jednak, z dnia 6 bm. (za który bardzo dziękuję) nadszedł dopiero dzisiaj, więc nie mam dość czasu by odpowiedzieć krótko.

To nieco żenujące oceniać — z poważnego dystansu ostatnich przeobrażeń w Polsce — rezolucję powziętą jeszcze w ich nieświadomości. Tym bardziej, gdy się ją kwalifikuje jako krok chybiony.

Abstynencja od „wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne”, czyli mówiąc jasno — od druku tekstów emigracyjnych w Polsce, nie wydaje mi się wcale „warunkiem udziału w walce o wyzwolenie”, ani „skutecznym”, ani w ogóle żadnym. Bojkot ma sens, o ile pozbawia stronę przeciwną elementów, bez których nie może się ona obejść. Tymczasem strona przeciwna — régime — obchodził się dotąd jak najlenniej bez literatury emigracyjnej i z pewnością nie zawaliłby się wskutek dalszego braku nazwisk pisarzy polskich z zagranicy na łamach prasy czy też półkach księgarskich w Warszawie lub Rypinie. Natomiast pisarze emigracyjni chcą czytelnika w Kraju, a czytelnik w Kraju chce literatury emigracyjnej.

Literatura i prasa krajowa podejmują duży wysiłek w kierunku demokracji życia w Polsce; starając się zdobywać pozycję za pozycją w imię zasady: „Lepiej coś niż nic”. Natomiast Związek Pisarzy Emigracyjnych mówi: „Wszystko lub nic” (co można by odwrócić w „lepiej nic niż wszystko”), usuwając się tym samym od udziału w rozgrywce toczącej się wewnątrz Kraju, do której, po raz pierwszy, ma pewne możliwości się włączyć. Co prawda, postanawia jednocześnie „dodać wszelkich wysiłków, aby krew polskich bojowników... wołała do wolnego świata o sprawiedliwość dla Polski”. W tym jest pewna niewygodność. Polega na tym, że wołanie, by dotrzeć do uszu dla jakich jest przeznaczone, musi się oblec w dźwięki dla nich zrozumiałe — w słowo angielskie, francuskie itp. — czyli brzmieć poza marginesem literatury polskiej sensu stricto. O celowości tego rodzaju wysiłku, podejmowanego przez niektórych z naszych pisarzy, nie potrzeba w ogóle dyskutować. Większość jednak pisze wyłącznie w języ-

ku ojczystym, i chodzi właśnie o to — co zrobić z tym nagromadzonym kapitałem myśli i słowa polskiego. Czy rzucić go na rynki krajowe czy też nie.

„Wpuszczą to tylko, co im będzie odpowiadać”. Tak jest. To ich racja. Naszą, powinno być: „Oby wpuścili jak najwięcej, jak najmniej fałszując istotny stan literatury polskiej na obczyźnie” (sprawa skrótów, komentarzy, ew. indeksów *wszystkich* dzieł danego pisarza na pierwszej czy tam ostatniej stronie itd.). Luki będą — muszą być. Ufajmy (bo niby czemu nie?) że czytelnik krajowy zrozumie ich wymowę. Należy również przepuszczać, że — po pierwszych skowronkach — społeczeństwo polskie będzie się domagać o więcej. Ale...

J. Mieroszewski, w wrześniowym numerze „Kultury” pisze: „Najbardziej charakterystycznym rysem tego dialogu (tzn. rozmów z członkami delegacji krajowej na zjazd Pen-Clubów) był fakt, że my wiedzieliśmy o nich wiele, oni o nas nic”. Trudno, rzeczywiście, domagać się o coś lub o kogoś, o kim się nic nie wie. Więc należałoby się dać poznać, choćby i fragmentarycznie.

Oczywiście, nie można przewidzieć, czy infiltracja się uda, czy też przysłowiowy kurek zostanie przykręcony zanim utworzą się służby. Ryzyko istnieje, bezsprzecznie. Jeśli jednak pisarz X czy Y jest przeświadczony o ważności tego co ma do zakomunikowania czytelnikowi w Kraju (tak w sensie treści jak formy) dostatecznie mocno by to ryzyko podjąć — czyż można mu tego zabronić?

Egzekutywa moralna uchwały jest wątpliwa, tak jak wątpliwe są jej racje. Pozwól tu sobie na pewien horoskop odnośnie pisarzy świadomych i odważnych, a więc tych co się naprawdę liczą. W ich wypadku, kandydaci na ryzykantów według wszelkiego prawdopodobieństwa oddadzą swe teksty do druku w Polsce mimo lub wbrew uchwale. Ci z nich natomiast, którzy się powstrzymają, uczynią to, bo tak im nakaże ich sumienie czy logika, a nie dlatego wcale że rezolucja została powzięta. Wyglądałoby więc na to że uchwała trafia w próżnię.

Wreszcie — abstrahując nawet od postulatu niezależności pisarskiej, a właśnie dlatego że ryzyko istnieje: praktyczniej by chyba było w ogóle żadnych zbiorowych uchwał nie uchwalać. Ten kij ma dwa końce. Bo — jeśli pan XY zdecyduje się na „współpracę” i przeinacza mu jego oblicze twórce, to hańba spadnie na niego samego, nie na kolegów ze Związku, wcale nie dlatego że — uchwała. Tak samo by na nich nie spadła gdyby uchwały nie było. Natomiast, jeśli społeczeństwo w Kraju, które niewątpliwie pragnie słowa polskiego z zagranicy — jak pragnie nowego tchu każde skupisko ludzkie zamknięte w od dawna nieprzewietrzanym lokalu — oceni uchwałę jako rodzaj patetycznych fochów, to zarzut dosięgnie całego Związku wraz z peryferiami, być może nie tylko literackimi. Za zarzutem zaś stoi rzecz przykra: zawód tych, których by się nie chciało zawieść.

Cała ta sprawa, nielatwa i zagmatwana, wymagałaby szerokiej i szczegółowej dyskusji, a to w celu by zainteresowani mogli zważyć, obok własnych, również i argumenty przeciwnie. Wszelkie zaś rezolucje o charakterze gremialnym, tak „contra” jak i „pro”, bardziej jeszcze komplikują sytuację i może by lepiej trafiały w sedno, ograniczając się do skromnej nazwy „opinii”.

**Marian PANKOWSKI** (Bruksela). W Kraju, a nie na Emigracji, dzieją się dziś największe sprawy Polaków. Tam, a nie tu, zakoił się narodem nadzieja nowej Wiosny Ludów. I tam, a nie tu, pisarze wybuchają



żarliwym, demokratycznym patriotyzmem i razem z robotnikami torują trudną, przeraźliwie trudną drogę do wolności.

Krew robotników poznańskich, której wymianą na międzynarodowe dewizy polityczne obiecuje zająć się Związek Pisarzy Polskich w Londynie, obrodziła już pierwszymi kłosami wolności. I nie tu, na Emigracji — ale tam, w Kraju. Powzięcie więc w takiej chwili papkinowskiej uchwały przez wyżej wspomniany Związek budzić może jedynie niesmak.

Są bowiem chwile tak wielkie, że nawet małość małych razi.

*Józefa RADZYMIŃSKA* (Buenos Aires). W chwili podejmowania przez Walny Zjazd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie odnośnej Uchwały nie należałam do Związku — stwierdzić jednak muszę iż zasadniczy sens zgodny jest z moimi przekonaniami.

Rzekome rozluźnienie pętli, nałożonej na słowo w Kraju i penetracja „odwilży” w szeregi emigracyjne, mająca na celu ich rozbicie — jest tylko częścią z góry opracowanego planu polityki sowieckiej, nie zaś zapowiedzią istotnego wyzwolenia.

Niemniej jednak wydaje mi się, że pisarz emigracyjny, którego słowo może dojść do Kraju w formie nieskażonej — nie powinien pozbawiać się możliwości oddziaływania tego słowa na czytelnika w Polsce, gdyż to oddziaływanie może okazać się w walce o wyzwolenie bronią równie skuteczną jak uparta, rejtanowska twórczość emigracyjna.

*Henryk SCHOENFELD* (London, Ont., Kanada). W odpowiedzi na Pańską ankietę wydaje mi się, że:

1. Literatura jest częścią kultury narodu i nikt nie powinien ze względów politycznych — a więc tylko doraźnie ważnych — odbierać Polakom prawa korzystania z polskiej kultury. Byłoby to równie samowolne jak sekwestrowanie skarbów wawelskich w Kanadzie.

2. „Uchwała” może zastraszyć miernoty, ale prawdziwy pisarz nie będzie się oglądał na „opinię publiczną”. Ani Tuwima ani Mackiewicz — z jednej strony — a Miłosza z drugiej nie odstraszyła groźba ostracyzmu.

3. Sprawa nie nadaje się do uogólnienia. Tak wiele subtelnych zawiłości mieści się w każdym wystąpieniu pisarza, że tylko on sam może decydować o losach swej pracy.

4. A praktycznie rzecz biorąc, cóż stoi na przeszkodzie pirackiemu wydaniu dzieł autorów emigracyjnych w Polsce, jeśliby taka rzecz była na rękę rządowi.

Z powyższych względów nie widzę sensu i celu w publicznych uchwałach na ten temat i nie solidaryzuję się z uchwałą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

*Wacław SOLSKI* (New York). Uchwała Wolnego Zjazdu, którą mi Pan przesłał, jest tak niejasna, że trudno mi powiedzieć, czy się z nią zgadzam czy nie. Powołuje się ona jednak na uchwałę z 1947 roku, wobec czego należy przypuszczać, że Walny Zjazd wypowiedział się przeciwko temu, aby pisarze emigracyjni wydawali swoje książki w Polsce.

Pragnę stwierdzić, że w roku 1947 wypowiedziałem się przeciwko takiemu stanowisku. Uczyniłem to w liście, przesłanym z Nowego Jorku na

jące pani Stefanii Zahorskiej, którą jednocześnie upoważniłem do głosowania w moim imieniu przeciw takiej rezolucji. Kopię tego listu posiadam.

Nie zmieniłem od tego czasu zdania. Uważam nadal, że pisarze emigracyjni nie powinni wyrzekać się możliwości wydawania swoich książek w Polsce. Warunkiem zawieranych umów musi być jednak to, że książka istotnie zostanie wydana. W przeciwnym razie będzie oczywiste, że wydawnictwo nie kupiło książki, tylko jej autora.

Pozostaje kwestia honorarium. Muszę przyznać że nie wiem jak to zagadnienie powinno być rozwiązane, choć nad nim myślałem. Nie wydaje mi się w każdym razie słuszne, aby pisarze emigracyjni otrzymywali honoraria, wielokrotnie przewyższające honoraria pisarzy w Polsce, bo obliczone według fikcyjnego kursu złotego. Nie widzę żadnego uczciwego powodu, dla którego pisarze na obczyźnie mieli być wynagradzani lepiej niż pisarze w Warszawie czy Krakowie. Nie sądzę, aby ich do tego upoważniało nawet posiadanie obcego paszportu.

*Czesław STRASZEWICZ* (Niemcy). Na ankietę „Kultury” odpowiem *najbardziej* lakonicznie jak tylko potrafię:

W roku 1947 wydano w Polsce po raz drugi jedną z moich przedwojennych książek: „Litość”. Nikt mnie o zgodę nie pytał (może myślano, że gdzieś tam zmarłem), nikt mi honorarium nie proponował, książkę wydano i kwita, o wydawnictwie dowiedziałem się szczęśliwym przypadkiem w pięć lat po fakcie. Ucieszyłem się. Ucieszyłem się tak jakoś w ogóle, no i na tej mojej uciechu zakończyła się cała historia.

Jako że mój literacki dorobek emigracyjny jest skromnusiński, jako że w ideologicznych i finansowych pertraktacjach jestem kiepski, jako że na dochody (przekleństwo mojego życia!) raczej kicham, jako że do zbiorowych uchwał rzadko kiedy czuję nabożeństwo — podsumowawszy to wszystko, doszedłem do przekonania, iż najlepiej będzie, jeśli korzystając z tej ankiety, problematycznym reflektantom na moje plody, wszystko co napisałem, zaoferuję za Panie Boże zapłać. Może się znowu kiedyś ucieszę „tak jakoś w ogóle”.

Te słowa stukając na maszynie — w podświadomym skojarzeniu mam przed sobą widok ulicy Polnej i Placu Żelaznej Bramy w Warszawie. Ciekawe, nie?

*Zofia SZATKOWSKA* (Zofia Kossak) (Anglia). Uchwałę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, sprzeciwiających się drukowaniu w Kraju prac autorów emigracyjnych, uważałam od chwili jej powzięcia za uwłaczającą czytelnikom w Polsce, a szkodliwą dla kierujących się nią pisarzy. Temu przekonaniu dawałem wielokrotnie wyraz pisemnie lub ustnie w ciągu ubiegłych lat.

Ta uchwała spowodowała, że do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie nie należałam i nie należę. Co za tem idzie, nie czuję się powołaną do uczestniczenia w proteście (jakże słusznym!), zgłaszanym przez część członków Związku.

*Klara SZPAKOWSKA* (Montreal). Oto jak rozumiałam treść Związku Pisarzy na Obczyźnie:



Pisarze emigracyjni winni *nadal* powstrzymać się od aktywnego udziału w walce o wyzwolenie Polski; Przeczekać niepewny etap zmian i zawiechy, pisząc... wspomnienia z dzieciństwa i czasów wojny. Gdy — w międzyczasie — naród wywalczy *pełną* niepodległość, wtedy dopiero odezwie się zza bezpiecznej barykady Święty i Niepokalani Związek Pisarzy na Obczyźnie.

Powyższa postawa jest nie do przyjęcia ponieważ:

1. W obecnym układzie sił realizowanie pełnej niepodległości może jedynie zgłotować narodowi los węgierskiej rzezi. Rzut oka na mapę niech zastąpi dalszą argumentację;

2. Program przemian polityczno-ekonomicznych wprowadzany w życie przez nowe władze (Wł. Gomułka), odpowiada polskiej racji stanu chwili obecnej. W ramach tego programu pisarze emigracyjni powinni współpracować z narodem, włączyć się w nurt ewolucji dziś, zaraz; służyć sprawie dalszej demokratyzacji słowem, doświadczeniem, wiedzą; drukować w Kraju książki, publikować w Kraju artykuły, eseje, polemiki.

Związek Pisarzy ostrzega w swojej uchwale przed współpracą z „instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne”. Ale nie należy zapominać, że właśnie z tezami zdyskredytowanych przez emigrację „kolaborantów”: Putramenta i Florczaka polemizowała moskiewska „Prawda”; że artykuły te ukazały się nie na emigracji a w kontrolowanych przez władze totalitarne tygodnikach „Nowa Kultura” i „Trybuna Ludu”; że mimo niepodległościowych uchwał — oni, nie my — są w wolnościowej awangardzie Polski; że błędząc przez wiele lat, a może dzięki tym błędom? — oni, pisarze w Kraju a nie pisarze emigracyjni budują nową Polskę.

Uchwała Związku Pisarzy na Obczyźnie z dnia 21 października zmierza do utrzymania tego stanu rzeczy.

Bolesław TABORSKI, Jerzy S. SITO, Wiesław STRZĄŁKOWSKI  
Lew SAPIEHA (Londyn). Niżej podpisani pisarze polscy, przebywający zagranicą, stwierdzają że nie solidaryzują się z uchwałą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, powziętą w dniu 20. 10. br., a dotyczącą publikacji utworów autorów emigracyjnych w Kraju.

Wit TARNAWSKI (Anglia). Na uchwałę Związku Pisarzy z 21 października br. należy spojrzeć pod dwoma aspektami. Jednym jest zasada niestwarzania przez pisarzy na emigracji pozorów uznania dotychczasowego reżymu w Polsce oraz unikania jakiegokolwiek zależności od instytucji przez niego kontrolowanych. Temu aspektowi uchwała czyni zadość. Drugi jednak aspekt, niemniej dzisiaj ważny, to konieczność utrzymania łączności i zrozumienia wzajemnego między emigracją a narodem w kraju — łączności, która przez tyloletnie rozdzielanie i wszystkie jego konsekwencje poważnie się rozluźniła. Słowo pisarzy emigracyjnych, udostępnione czytelnikom krajowym, to jeden z najskuteczniejszych sposobów utrzymania i zacieśnienia więzów z krajem, toteż nie powinno się go odrzucać. Tego aspektu uchwała Związku Pisarzy nie uwzględniła.

Trzeba zatem szukać innego rozwiązania, które zdołałoby oba aspekty pogodzić. Propozycja „Kultury” wskazuje właściwą drogę, ale wydaje mi się w obecnym stanie rzeczy jeszcze zbyt liberalna. Zgoda na przekazywanie honorariów rodzinie w kraju mogłaby podać pisarza emigracyjnego w nie mniejszą zależność od reżymowych instytucji wydawniczych, jak pobieranie

ich do ręki. Prawdziwą niezależność, która chroniłaby pisarzy zarówno od niepożądanych nacisków jak i podejrzeń, potrafi zagwarantować jedynie zupełne zrzeczenie się honorariów na korzyść celów nieosobistych, służących społeczeństwu w kraju, jak np. wymieniona przez „Kulturę” odbudowa Biblioteki Narodowej.

Oczywiście bezpieczny sposób przekazywania honorariów na takie „bezsponsorowane publiczne cele” trzeba by dopiero wypracować. Myślę, że kierowanie zarobków autorskich na ręce kardynała Wyszyńskiego do rozdzielania na cele charytatywne, byłoby rozwiązaniem najprostszym, najpewniejszym i znalazłoby w kraju na pewno najwdzięczniejszy oddźwięk.

Adam UZIEMBŁO (Paryż). W sprawie uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie pozwalam sobie oświadczyć co następuje:

1. Związek Pisarzy, to jest ludzie, których cała wartość polega na szczerym i indywidualnym wypowiedzianiu się — przekroczył swe kompetencje, usiłując narzucić stanowisko pewnej grupy wszystkim.

2. Każdy, głoszący swe przekonania uczciwie, ma prawo wybierać sam drogę, jaką jego słowo dociera do społeczeństwa — do społeczeństwa polskiego w naszym wypadku.

3. Osądzać pisarza wolno za próby przystosowania się do wymagań wydawców, za kompromisy z własnym przekonaniem — nie za to gdzie swe rzeczy ogłasza.

4. Przyjmowanie wynagrodzenia od obecnych władz totalistycznych, czy jednopartyjnych rządzących Polską dla mnie osobiście byłoby rzeczą nie do strawienia.

5. Gdyby w Polsce powstała instytucja wydawnicza społeczna, np. spółdzielcza, istotnie niezależna — może bym pogląd zrewidował.

Wiktor WEINTRAUB (Cambridge, Mass., USA). Pokrótkę podaję Panu, co o uchwale z 21 października myślę. Nie podpisałbym się pod nią. 20-go października weszliśmy w nową sytuację. Jest ona jeszcze bardzo płynna i dopóki się w swoich zasadniczych elementach politycznych nie wykrystalizuje, uważam wszelkie zasadnicze zajmowanie takiego czy innego stanowiska w sprawie współpracy pisarzy z wydawnictwami krajowymi za rzecz nie na czasie.

Jan WINCZAKIEWICZ (Paryż). Serdecznie dziękuję za zaproszenie do wzięcia udziału w ankiecie. Sprawa jest wielkiej wagi i interesuje mnie w najwyższym stopniu, niestety, brak czasu — z powodu wydarzeń na świecie — nie pozwala mi skreślić odpowiedzi w przewidywanym terminie.

Józef WITTLIN (New York). Najzacieśniami obrońcami cnoty bywają przeważnie ci, na których cnotę nikt nie dybie. Ogłaszaniu książek własnych i cudzych w obecnej Polsce najgłośniejsze przeciwstawiają się ci autorowie emigracyjni, którym wydawnictwa krajowe żadnych umów nie proponują.



Chociaż nie należę ani do cnotliwych, ani do gorszących się brakiem cnoty u innych, nie lubię dopasowywać moich poglądów do moich interesów. A często bywają one sprzeczne. W krąg moich interesów, i to nie tylko materialnych wchodziłoby wydawanie mych, tzw. utworów w Polsce. Na razie sprzeciwiają się temu moje poglądy na to, czym jest a czym nie jest tzw. emigracja polityczna. Trudno być jednocześnie i „wyrznięciem” i beneficjentem umów, zawartych z instytucjami wydawniczymi, podlegającymi rządowi, którego istnienie jest jedną z głównych przyczyn tzw. wygnania.

Podzielam na ogół opinie Juliusza Mieroszewskiego, wyrażone w artykule pt. „Dialog” (Kultura, Nr 9/107). Kamieniem obrazu w moich ewentualnych stosunkach wydawniczych z firmami krajowymi, nie byłby sam fakt udostępnienia moich tzw. utworów czytelnikom w Polsce, lecz pieniądze otrzymywane od tych firm. Rezygnowanie z honorariów wydaje mi się gestem niepoważnym. Przekazywanie ich krewnym lub innym osobom w Kraju, czy w kraju, „machlojką”, z gatunku przepisywania majątku na żonę. Jedynym wyjściem, gwarantującym moralną niezależność, byłoby przekazywanie honorariów bezspornym instytucjom dobroczynnym w Polsce. Chociaż i to byłoby właściwie dysponowaniem *moimi* pieniędzmi, uzyskanymi z transakcji z instytucją podległą rządowi komunistycznemu. Nie łatwa to sprawa.

Niezależnie (jak niezależność — to niezależność!) od takiej, czy innej uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, do którego nie należę, zdecydowałem się w obecnych warunkach nie zawierać umowy proponowanej mi przez jedną z rządowych firm wydawniczych w Polsce. Nie pomijam też obłudnie faktu, że jako wieloletni stały współpracownik Radia Wolnej Europy, a więc instytucji, która, jak dotąd, raczej przeciwstawiała się komunizmowi w Polsce, nie mogę wchodzić w jakiegokolwiek stosunki i związki z instytucjami, kierowanymi przez rząd komunistyczny. A gdyby Radio Wolnej Europy przestało przeciwstawiać się komunizmowi w Polsce, nie oznaczałoby to, że i ja przestałem nie lubić tego systemu. Jednocześnie współpraca z instytucją antykomunistyczną i z instytucją zależną od rządu komunistycznego nie zgadza się z moim pojmowaniem zasad tzw. logiki. O innych zasadach jak np. etyczne, patriotyczne itp. wole nie mówić, pozostawiając to kompetentniejszym ode mnie przedstawicielom i obrońcom cnoty, zarówno zagrożonej jak i niezagrożonej.

Tadeusz ZAJĄCZKOWSKI (Londyn). Na Pański list z zapytaniem o uchwałę Związku Pisarzy na Obczyźnie komunikuję, że nie zgadzam się z tą uchwałą.

Nie zgadzam się ze względów obiektywnych, bo w Polsce dzieją się sprawy wielkie i wspaniałe, bo Polacy — polscy komuniści — przerwali wreszcie obłądną hipnozę i powiedzieli na głos, że celem socjalizmu nie jest wcale podbój świata dla Moskwy, lecz walka o dobro mas pracujących; nie zgadzam się też ze względów subiektywnych, mam bowiem poczucie wolności i niezależności osobistej, nie mam zaś ochoty podporządkowywać się terrorowi „niezłomnych”, niezależnie od tego, czy jest to terror „niezłomnych” stalinowców, czy „niezłomnych” piórokacyków.

Kazimierz ZAMORSKI (Sylwester Mora) (Niemcy). Opierający się na sowieckich bagnietach reżym gomulkowski obalił ostatnią ostoję światłej i zgodnie z potrzebami narodu kierowanej demokracji, ostatnią twierdzącą po-

stępu — Natolin. Nie należy zapominać o nikczemnej roli, jaką odegrali w tej masowej dywersji totalitarnie inteligenci z „Po prostu” oraz obalamucona przez nich robotnicza młodzież Żerania.

W chwili tej klęski, która dotknęła cały bez wyjątku naród, myśli i nadzieje naszych braci w Kraju kierują się ku jednemu ośrodkowi opierającemu się zakusom totalizmu — ku Związkowi Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

W takiej chwili „Kultura” — zamiast podporządkować się światłemu dyktywom z 20 i 21 października br. — usiłuje odegrać destrukcyjną rolę „Po prostu” i szerzyć ferment w zwartych szeregach postępowej inteligencji emigracyjnej.

Uważam że stanowisko „Kultury” dosadnie świadczy o zupełnym niezrozumieniu potrzeb Kraju i o politowaniu godnym braku wyczucia tego czym Kraj żyje.

Na znak protestu załączam przedpłatę za „Kulturę” na rok 1957.

P.S. — Czytelnikom, którym moje nazwisko nic nie mówi, pragnąłbym wyjaśnić że jestem współautorem książki „Sprawiedliwość sowiecka”, Rzym 1945, oraz autorem „Kolyma. Gold and Forced Labor in the USSR”, Washington 1949.

Józef ŻYWINA (Londyn). Każdy pisarz ma prawo manifestowania swoich poglądów i sprzeciwiania się zjawiskom politycznym, z którymi się nie zgadza. Uczyni to najlepiej będąc niezależnym od jakichkolwiek nacisków lub wpływów.

Każda organizacja, każdy związek, a w tym wypadku Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie ma *obowiązek* obrony zawodowych praw pisarzy na emigracji. Jeżeli uznajemy, że ani prasa ani instytucje wydawnicze nie są w Polsce niezależne, gdy twórczość emigracyjna nie jest dopuszczana do czytelnika w Kraju, Związek nie tylko powinien protestować, ale powinien walczyć o to, żeby utwory jego członków miały szeroki dostęp do Kraju. Związek w tym wypadku musi wybrać skuteczne metody akcji zmierzającej do poprawy sytuacji.

Wydaje mi się, że uchwała z 23 października uderza bezpośrednio w czytelnika polskiego w Kraju i pośrednio w pisarzy na obczyźnie. Czytelnicy w Polsce mogą być i, jak słychać, są dotknięci treścią uchwały, która odcina emigracyjną twórczość od społeczeństwa w Kraju, zamiast wywierać nacisk na administrację. Pośrednio krzywdzi pisarzy emigracyjnych, wyrażając niejako brak zaufania i rzucając cień podejrzenia, że pisarz ogłaszający się w Kraju przestanie wyrażać własną myśl, pisząc pod dyktando i na życzenie administracji. Uważam, że tak długo, jak długo cenzura nie będzie ograniczała swobody wyrażania się, pisarze, którzy będą przekonani, że mogą przedstawić swą twórczość w formie nieograniczonej — powinni w Kraju drukować.



Kraj

## Gospodarka polska w godzinie wyboru

W pracy „Planowanie i rozwój gospodarczy demokracji ludowych” (\*), jaką napisałem w latach 1953-1954, starałem się uzasadnić trzy następujące tezy:

1) W specyficznych warunkach, właściwych krajom Europy środkowo-wschodniej, a zwłaszcza Polsce, planowa akcja państwa była niezbędna do rozwiązania zasadniczego problemu gospodarczego, przeludnienia wsi i niedorozwoju przemysłu. Fakt, że Polska 1945 roku znalazła się pod wieloma względami w warunkach potencjalnie korzystniejszych niż Polska 1920 roku nie obala bynajmniej tego twierdzenia. Możliwości i środki działania, jakimi rozporządzali kierownicy gospodarki po drugiej wojnie światowej były, na ogół biorąc, bez porównania większe niż te, jakie miały rządy pomiędzy dwiema wojnami. Nie znaczy to jednak wcale, że można było rozwiązać problem bez świadomego skupienia całej energii narodowej na pewnej liczbie starannie skoordynowanych celów dążąc do rewolucyjnej przebudowy dawnych instytucji oraz struktur gospodarczych i społecznych.

2) Planowanie, tak jak je zastosowano, z pewnością przyczyniło się do częściowego przynajmniej rozwiązania problemu. Rezultaty osiągnięte w dziedzinie gospodarczego rozwoju, a zwłaszcza w dziedzinie społecznego awansu mas chłopskich i robotniczych, nie zasługują na lekceważenie. Stanowią one cenną inwestycję jeżeli chodzi o dalszy rozwój polskiego narodu.

3) Popołniono jednakże wiele ciężkich błędów, zarówno w ogólnej orientacji polskiej gospodarki, jak i w koncepcjach i sposobie zastosowania planowego systemu. Wynika stąd, że koszt społeczny osiągniętych rezultatów jest niesłychanie wysoki

(\*) *Planification et croissance économique des Démocraties Populaires*. Presses Universitaires de France, Paris 1956. Również artykuł: „Etude statistique et théorique de la croissance des pays de l'Est”, *Revue Economique*, Paris, Mars 1956.

i że struktury gospodarcze, jakie dziś istnieją, wykazują poważne wady. Wady te zaciążą silnie na rozwoju w ciągu najbliższych lat.

Od chwili wydania wspomnianej wyżej pracy, w atmosferze politycznej Polski zaszły głębokie zmiany (\*). Potrzeba mówienia prawdy, całej prawdy i tylko prawdy rozsadziła wreszcie, po długim okresie wewnętrznej fermentacji, wszystkie zapory wzniezione w latach 1948-1955. Opinia publiczna rzuciła się na problemy polityki i ekonomii z chciwością tym większą, że w latach przymusowego milczenia dystans pomiędzy wynikami, jakie ogłaszano, a rzeczywistością codziennego życia obywateli stale wzrastał. Określić wielkość tego dystansu, wytłumaczyć jego przyczyny, zaproponować środki, które by mogły uzdrowić sytuację gospodarczą nagle uznaną za bardzo ciężką — taki jest cel niezliczonych deklaracji, artykułów, prywatnych i publicznych dyskusji, a cały ten ruch od chwili swoich nieśmiały początków, w końcu roku 1953, zyskuje stopniowo na sile i śmiałości. Wśród tych objawów opinii publicznej szczególne miejsce należy się dyskusjom robotników w fabrykach, starających się polepszyć funkcjonowanie ich przedsiębiorstw oraz obradom komisji parlamentarnych. Komisje te, długi czas przygniecione dyktatorską władzą rządu, starają się teraz odzyskać swoje normalne uprawnienia, poddając drobiazgowej i niekiedy bardzo kompetentnej analizie posunięcia w dziedzinie polityki gospodarczej.

Rewelacje jakie zawdzięczamy temu nagłemu wybuchowi myśli i ujawnień coraz to nowych danych, potwierdzają na ogół moje dawne stwierdzenia i analizy, uzyskane na podstawie informacji bez porównania bardziej skromnych i mniej pewnych. Waga tych rewelacji jest bardzo duża, bo pozwalają one zastąpić tezy, oparte częściowo na intuicji, pewnikami, które wynikają z ustalonych już faktów. Dorzucają one również nowe szczegóły o polskiej rzeczywistości gospodarczej w obecnej chwili. Wreszcie, stawiając znak zapytania nad dotychczasową polityką gospodarczą, oraz nad systemem administracji gospodarczej, pozwalają obserwatorom z zewnątrz włączyć się w dyskusję, mającą na celu wypracowanie nowej polityki gospodarczej i nowego systemu administracyjnego bardziej zgodnych z potrzebami polskiej gospodarki.

Korzystając z tego zabieram teraz głos wyrzekając się z góry wszelkich poglądów subiektywnych i wszelkiej propagandy za czy też przeciw reżymowi, istniejącemu w Polsce.

Zadanie, jakie sobie stawiam, można byłoby określić w dwóch punktach:

1) Jakie są największe wady polityki i zarządu w polskiej gospodarce pomiędzy 1949 a 1956 rokiem?

2) Jakie należałoby wprowadzić zmiany, które, moim zdaniem, mogłyby znacznie polepszyć istniejący stan rzeczy?

(\*) Vide mój artykuł pt.: „La démocratisation des démocraties marxistes”, *Revue Française de Science Politique*, Paris, décembre 1956.



Odpowiadając na te pytania będę starał się nie wykroczyć poza ramy *rzeczywistych* możliwości, jakimi rozporządzają kierownicy polskiej gospodarki. Niezależnie od moich osobistych poglądów będę wychodził z założenia, że polska gospodarka powinna posiadać zasadnicze cechy gospodarki *socjalistycznej* i że zmuszona jest utrzymywać szczególnie ścisły związek z Z.S.S.R. i innymi demokracjami ludowymi.

# I. — GŁÓWNE WADY OBECNEGO SYSTEMU

Przez skrót „obecny system” rozumiem całość, która powstała dzięki polityce gospodarczej i systemowi zarządu, istniejących w Polsce pomiędzy 1949 i 1956.

Zdaję sobie sprawę, że poważne przekształcenia odbywają się obecnie i że niektóre z nich idą już w tym samym kierunku co niektóre z moich propozycji. Przekształcenia te są jednak na razie bardzo fragmentaryczne i nie przeszły przez próbę doświadczenia. Co więcej mogą one ulegać licznym zmianom, jakie trudno przewidzieć. Wydaje się więc, że lepiej wziąć za punkt wyjścia moich propozycji reformy system wykończony i wypróbowany w latach 1949-1956. Jeżeli moje krytyki i propozycje będą pokrywały się w wielu punktach z tym co już stwierdzono, zaproponowano, czy nawet częściowo zrealizowano w Polsce, może to mnie tylko cieszyć, bo szukam raczej rozwiązań skutecznych niż oryginalnych.

Polityka gospodarcza, zastosowana w Polsce począwszy od roku 1949, jest wierną kopią polityki sowieckiej. Poprawki, jakie miały uwzględnić specyficzne cechy polskiej gospodarki, są na ogół bardzo niedostateczne i mają charakter tylko prowizoryczny.

Za środek realizacji socjalizmu uważa się rozbudowę sektora publicznego i spółdzielczego. Prywatne przedsiębiorstwa znikły całkowicie w przemyśle, w handlu hurtowym, w transporcie, w bankowości. Przetrwały częściowo w rolnictwie, w rzemiośle i w handlu detalicznym. Poddane jednak bezlitosnej dyskryminacji w dziedzinie podatków, kredytów, przymusowych dostaw, lokali, przydziałów surowca, skrupowane administracyjnymi przepisami różnego rodzaju — są skazane na zniknięcie po dłuższej czy krótszej vegetacji. Częściowe ulgi, wprowadzone w końcu 1953 roku, nie są zdolne zmienić zasadniczo tej sytuacji.

Różnica pomiędzy sektorem publicznym i sektorem spółdzielczym jest czysto formalna. Zbiurokratyzowany od dołu do góry, mocno hierarchiczny, poddany szczegółowemu planowaniu i drobiazgowej kontroli państwa — sektor spółdzielczy jest w rzeczywistości tylko odmianą sektora publicznego, a zasadniczą jego cechą jest fakt, że spółdzielcy ponoszą ryzyko produkcji, którą nie mogą kierować według własnego uznania. Rozporządzając w ten sposób, jako władca absolutny, wielką częścią aparatu produkcyjnego i prawie całością narodowej pro-

dukcji, łącznie z płodami rolnymi, które stanowią przedmiot przymusowych i kontraktowanych dostaw, państwo może w zasadzie ustalać dowolnie cele działalności gospodarczej. Osiąga to przy pomocy centralnego planowania, sztywnego i krańcowo biurokratycznego, które nie pozostawia żadnego miejsca inicjatywie niższych organów, ani grze praw gospodarczych, poświęcając interesy ludności w imię doktrynalnych upodobań małej grupy rządzących.

Plany produkcji są opracowywane na podstawie skomplikowanego systemu bilansów w jednostkach fizycznych, które dotyczą siły roboczej, zdolności produkcyjnych i głównych surowców. Teoretycznie te bilanse mogłyby być użyte jako podstawa racjonalnego gospodarczego rachunku, który miałby na celu dostosowanie produkcji do potrzeb ludności, w ramach rozporządzalnych zasobów. W rzeczywistości jednak służą do czegoś zupełnie innego: do zabezpieczenia we wszystkie potrzebne czynniki produkcyjne, obiektów *pierwszego rzędu*, dowolnie wybranych przez rząd. Nie robi się najmniejszej próby żeby porównać korzyści jakie mogłyby płynąć z różnych możliwych kombinacji ogółu obiektów. W wyniku tego obiekty nie korzystające z pierwszeństwa, a więc rolnictwo (w każdym razie do 1953 roku), produkcja dóbr konsumpcyjnych, budowa mieszkań i wszelka inna działalność, mogąca zaspakajać potrzeby ludności, są systematycznie zaniedbywane na rzecz nieproporcjonalnego rozwoju ciężkiego przemysłu.

Sam sposób w jaki plany są wykonywane jeszcze bardziej wydadtia zaniedbanie potrzeb ludności. W zasadzie plan powinien być nie tylko wykonany, ale przekroczony. Żeby jednak przedsiębiorstwo mogło przekroczyć plan produkcji trzeba zwykle użycia większej, niż to było przewidziane, ilości czynników produkcyjnych, takich jak siła robocza, surowce, kredyty, etc. Otóż zdobyć te czynniki mogą tylko przedsiębiorstwa korzystające z pierwszeństwa, które w praktyce otrzymują je ze szkodą działalności już ograniczonych w momencie ustalania narodowego planu. Co więcej całe zainteresowanie materialne personelu związane jest z przekroczeniem pewnej liczby wskaźników, spośród których najważniejsze odnoszą się do ilości czy też wartości otrzymanej produkcji. Dzięki temu przedsiębiorstwo stara się produkować przede wszystkim artykuły najłatwiejsze do wykonania, względnie takie, których koszt własny jest najwyższy. W ten sposób prawie nigdy nie przestrzega się całkowicie wysokości planowanego asortymentu z wielką szkodą dla odbiorcy i zamiast szukać środków produkcji najbardziej ekonomicznych, przedsiębiorstwo wysila się żeby używać najbardziej drogich surowców.

Zasada przymusowego przekraczania planów produkcji, w połączeniu z nieprzestrzeganiem planowanych asortymentów, wprowadza poważne zaburzenia do kooperacji pomiędzy przedsiębiorstwami, związanymi przez proces technologiczny. Współ-



praca ta jest zorganizowana w niesłychanie sztywny sposób, przy pomocy umów planowych, nie pozostawiających przedsiębiorstwu żadnej swobody w wyborze dostawców i klientów. Wystarczy w konsekwencji, że jeden z dostawców nie wykona swoich zobowiązań w odniesieniu do danego typu środków produkcji, aby przedsiębiorstwo — które nie ma prawa wykroczyć poza pewne maksimum zapasów — było zmuszone do zwolnienia tempa albo przerwania produkcji. Poza tym ponieważ personel ma interes w zwiększaniu godzin nadliczbowych, przerzucając gros wykonania planu miesięcznego na drugą połowę miesiąca, nieregularności w zaopatrzeniu nie są niczym wyjątkowym i powodują ogromne marnotrawstwo siły roboczej i zdolności produkcyjnej.

System cen, płac, dochodów i podatków przyczynia się również do marnotrawstwa rzadkich zasobów.

Ceny są ustalone bez brania pod uwagę względnej rzadkości surowców i produktów. Produkty podstawowe deficytowe, takie jak na przykład węgiel, benzyna, drzewo i cement są wyceniane bardzo nisko, często poniżej kosztów własnych, co nie zachęca użytkowników do oszczędniejszego gospodarowania. To samo dzieje się z większością dóbr produkcyjnych, które nie są poddane podatkowi obrotowemu i pewnych produktów wykonanych, takich jak dzienniki, meble, motocykle, kryształ etc. Podobnie jest z komornem, które nie wystarcza na utrzymanie domów, i z dewizami zagranicznymi, które przydziela się nielicznym, uprzywilejowanym jednostkom po kursie co najmniej pięć razy niższym od ich rzeczywistej siły kupna. W przeciwieństwie do tego produkty pierwszej potrzeby są obłożone dużym podatkiem obrotowym, który jest głównym źródłem dochodów skarbu, obciąża je też ogromna wysokość marży handlowych w hurcie i w detalu zarówno państwowym jak i spółdzielczym.

Brak oprocentowania kapitałów produkcyjnych jest również zasadniczą cechą systemu cen. Nie podzielam opinii niektórych zachodnich teoretyków, którzy twierdzą, że brak oprocentowania czyni niemożliwym obliczenie skuteczności gospodarczej inwestycji w planowaniu na skalę narodową. W cytowanej już pracy wykazałem nawet, że jest przeciwnie. Ale stopa procentowa kalkulowana na podstawie skuteczności krańcowej kapitału, przy wzięciu w rachubę globalnej sumy inwestycji, przewidzianych przez plan, jest niezbędna jeżeli się chce zdecentralizować decyzje inwestycyjne na poziomie wykonania. A tym bardziej wpłacanie odpowiedniego procentu jest konieczne, żeby zmusić przedsiębiorstwa do racjonalnego użytku kapitałów, które im się powierza i aby otrzymać podstawę poprawnego obrachunku kosztów własnych.

Otóż w systemie obecnym przedsiębiorstwa otrzymują kapitały darmo i nie wpłacają z tego tytułu żadnego oprocentowania.

W wyniku tego powstaje to zdumiewające zjawisko, że kapitał, który w Polsce jest najrzadszym ze wszystkich czynników produkcyjnych, kosztuje równocześnie najtaniej.

Nic też dziwnego, że właśnie w dziedzinie użytku kapitałów marnotrawstwo bije wszystkie rekordy, anulując w dużej części niewspółmierne ofiary, jakie ponosi naród, poświęcający czwartą część swego dochodu na inwestycje.

Okazało się między innymi, że w chwili obecnej Polska posiada zapas maszyn o wartości globalnej ok. 4 miliardów złotych, które nie są zainstalowane, bo brak fabryk, gdzie byłoby można je z korzyścią umieścić. Według oświadczenia wicedyrektora Komisji Planowania tylko 1,3 miliardów złotych tych maszyn będzie oddane do eksploatacji w 1956 roku, 1 miliard w 1957 roku, 0,8 miliarda w latach 1958-1960, podczas kiedy „0,6 miliarda nie zostaną wykorzystane podczas bieżącego pięciolecia”.

Ale wartość realna niewykorzystanych maszyn jest w rzeczywistości kilkakrotnie wyższa. Pochodzą one bowiem w wielkiej części z zagranicy. Zapłacono za nie w dewizach obcych po kursie, który dla tego rodzaju transakcji jest mniej więcej 17 razy wyższy niż kurs oficjalny.

Wśród przyczyn takiego marnotrawstwa najrzadszych zasobów, urzędowe źródła wymieniają: niewykonanie i liczne zmiany planów i wariantów inwestycyjnych jak również niekompetencję pewnych odpowiedzialnych czynników. Jakkolwiek jest, nie ulega wątpliwości, że gdyby użytek kapitału i obcych dewiz był poddany racjonalnym rachunkom gospodarczym — błędy tego rodzaju byłyby rzadsze i nie osiągnęłyby tak katastrofalnych rozmiarów.

Płace są w zasadzie związane z wysiłkiem produkcyjnym przy pomocy licznych premii za wykonanie i przekroczenie norm. Jednakże obsadza się kierownicze stanowiska kierując się bardziej względami politycznymi (opartymi zresztą częściej na pozorach niż na faktach) niż uwzględnianiem zawodowych kompetencji. Poza tym system „socjalistycznego współzawodnictwa” prowadzi do licznych nadużyć, pozwalając niektórym przodownikom pracy na fantastyczne zarobki, całkowicie niewspółmierne z rzeczywistym pożytkiem ich osiągnięć, które najczęściej dezorganizują tylko pracę w ich warsztacie.

Co się tyczy dochodów innych niż płace — główna przyczyna marnotrawstwa leży w niedostateczności wynagrodzeń netto, otrzymywanych przez chłopów i rzemieślników.

Ceny płacone przez państwo za przymusowe dostawy zboża pokrywają, nawet w najlepiej stojących gospodarstwach, zaledwie koszty własne, nie licząc w tym wynagrodzenia za pracę. W gospodarstwach stojących gorzej, chłop musi państwu podarować nie tylko swoją pracę, ale również część swoich wydatków materiałowych. W zasadzie powinien odbić sobie te straty przez zysk osiągnięty dzięki dostawom kontraktowym i przez sprzedaż na wolnym rynku. Ale te nie dotyczą zwykle zboża. W rezultacie gospodarstwa, które nie mają nadwyżki innych płodów, chylą się do upadku, uprawa zbóż jest zaniedbana, a Polska, która zawsze eksportowała znaczne ilości zboża, musi



importować około miliona ton rocznie. Ceny płodów rolnych na wolnym rynku są niesłychanie wysokie, ze szkodą spożywcy. Ten ostatni nie uzyskuje nawet rekompensaty w niskiej cenie chleba, bo nigdy rozpiętość pomiędzy tą ceną i ceną ziarna nie była tak wielka. System przymusowych dostaw przyczynia się więc do obniżenia produkcji w rolnictwie, bez żadnej korzyści dla miejskiego spożywcy.

Jednakże czysty dochód chłopca nie powinien być tylko obliczany według jego wartości nominalnej. Jego rzeczywistą wartość określa zdolność nabywczą dóbr przemysłowych produkcyjnych i konsumpcyjnych. Otóż te dobra są nie tylko bardzo drogie w stosunku do cen płodów rolnych uzyskiwanych przez producenta, ale poza tym ich podaż jest całkowicie niewystarczająca by pokryć najbardziej elementarne potrzeby chłopów. Z punktu widzenia wydajności rolnictwa, najbardziej dotkliwy brak daje się odczuwać w dziedzinie zaopatrzenia w sztuczne nawozy i w materiały budowlane. Niedostateczność podaży sztucznych nawozów odbija się na wydajności z ha, która nie osiągnęła jeszcze przedwojennego poziomu na tym samym terytorium. Niedostateczność produkcji materiałów budowlanych spowodowana zaniemniem małych prywatnych przedsiębiorstw na rzecz wielkich zakładów, niezaopatrujących wsi — uniemożliwia między innymi budowę obór, ograniczając w ten sposób rozwój hodowli, ze wszystkimi konsekwencjami jakie stąd płyną dla zaopatrzenia miast w mleko i mięso, oraz dla produkcji i racjonalnego zużycia obornika.

Patrząc na całokształt można stwierdzić — nawet abstrahując od szkodliwych skutków psychologicznych, jakie pociąga za sobą groza przymusowej kolektywizacji — że chłopu brak zachęty do zwiększania produkcyjnych inwestycji. Niezbędny początkowo i silnie popierany przez rząd odpływ sił roboczych do miast, zaczyna obecnie poważnie niepokoić kierowników gospodarki narodowej.

Jeszcze bardziej niepokojąca jest sytuacja rzemiosła. Pod wpływem dyskryminacyjnych posunięć i braku surowców, liczba warsztatów rzemieślniczych spadła z 558 tysięcy w 1938 roku do 92 tysięcy w 1956 roku. Liczba terminatorów nie przekracza 17 tysięcy. Całe wioski są pozbawione niezbędnej obsługi rzemieślniczej. W miastach odbiorcy są zmuszeni zwracać się do spółdzielni rzemieślniczych, których liczba jest bardzo niewystarczająca i w których trzeba niezmiennie długo czekać na wykonanie najmniejszej reparacji.

Nie wyczerpałem tutaj oczywiście długiej listy poważnych zarzutów, jakie można by postawić systemowi gospodarczemu, narzuconemu Polsce, tak jak i innym demokracjom ludowym, przez Związek Sowiecki. Nie mówilem o niesłychanym marnotrawstwie zasobów w P.G.R.'ach i ośrodkach maszynowych,

o irracjonalnym charakterze handlu zagranicznego, na którym dotkliwie ciąży eksploatacja sowiecka, o szczególnej roli związków zawodowych, o gigantycznym rozwoju biurokracji...

Niemniej to co powiedziałem wystarcza zupełnie, żeby uchwycić główne wady systemu i struktur gospodarczych jakie stworzył. Te struktury można scharakteryzować w kilku zdaniach:

1) Potencjał przemysłowy poważnie zwiększony, zwłaszcza w zakresie ciężkiego przemysłu, ale źle wykorzystywany a częściowo nawet trudny do odpowiedniego wykorzystania. Daleko idąca rekonwersja w kierunku produkcji dóbr konsumpcyjnych i środków produkcji, mogących służyć do produkowania dóbr konsumpcyjnych, wydaje się być rzeczą niezmiennie pilną;

2) Administracja gospodarcza, nadmiernie rozrośnięta, która przygniata gospodarkę ciężarem nie do zniesienia i którą należy jak najszybciej włączyć we właściwą produkcję;

3) Prawie nieistniejące rzemiosło, które należy odbudować od podstaw, zużytkowując w jak największej mierze siłę roboczą zbędną w administracji gospodarczej;

4) Rolnictwo, przez długi czas zaniedbane i zniechęcone, któremu należy dać odpowiednie zachęty i możliwości produkcyjne;

5) Zbiurokratyzowany i niewydajny handel, którego organizacja i zasady powinny być całkowicie zmienione;

6) Bilans handlowy niesłychanie napięty, który wymaga podstawowej rewizji stosunków z zagranicą;

7) Klasa robotnicza, uciskana i eksploatowana przez biurokrację — która zresztą wyciąga z tego mało materialnych korzyści, ponieważ zyski z eksploatacji zostają w dużym stopniu stracone wskutek niedołęstwa systemu. Tak więc istnieją eksploatowani i eksploatatorzy, ale nie ma prawie wcale ciągnących zyski, w każdym razie wewnątrz kraju. Ten fakt ogromnie ułatwia rozwiązanie problemu, bo nie ma naprawdę antagonizmu klasowych interesów. Wszyscy tęsknią do zmiany sytuacji trudnej do zniesienia;

8) Stopa życiowa, na ogół biorąc bardzo niska, kontrastująca w jaskrawy sposób z pozornymi osiągnięciami i z awansem społecznym, który pozostaje prawdziwą i główną zdobyczą systemu i pozwala na nadzieję lepszej przyszłości.

System dający podobne wyniki jest zarazem anty-ekonomiczny i anty-socjalistyczny.

Jest anty-ekonomiczny, ponieważ funkcjonuje niesłychanie wysokim kosztem i nie zawiera żadnego mechanizmu, który by w sposób automatyczny sygnalizował i korygował popełniane błędy.

Jest anty-socjalistyczny, ponieważ w krzyczący sposób gwałci podstawowe zasady socjalizmu: zaspokojenie maksimum rosnących potrzeb ludności i podział dochodu narodowego, zgodnie z dewizą: „każdy według swojej zdolności, każdemu według jego pracy”.



Otóż pogodzenie socjalizmu z wymaganiem ekonomii nie jest rzeczą niemożliwą. Przeciwnie, naprawę socjalistyczny system nie może nie przestrzegać praw ekonomii.

## II. — PROPOZYCJE REFORM

### 1. Zasady

Zasady polityki gospodarczej są funkcją celu, do jakiego się dąży. Tym celem, jak powiedziałem, jest budowa gospodarki socjalistycznej. Trzeba więc z góry określić co rozumiem przez ten termin.

Rysem charakterystycznym gospodarki socjalistycznej jest jej dążenie do zaspokojenia maksimum potrzeb społeczeństwa. Ale społeczeństwo nie jest pojęciem ograniczonym w czasie. Nie chodzi więc o to żeby jak najpełniej zaspakajać natychmiastowe potrzeby tylko obecnego czy tylko przyszłego pokolenia, ani tym bardziej — żeby zwiększyć dobrobyt pewnych pokoleń ze szkodą dla innych. Chodzi o to, żeby zapewnić jak najpełniejsze zaspakajanie potrzeb w czasie, to jest utrzymać stały rozwój dobrobytu, nie wyrzekając się maksymalnego zaspakajania potrzeb wszystkich następnych pokoleń. Socjalistyczna gospodarka wymaga więc rozłożenia zasobów w czasie; wymaga pewnego planowania, którego głównym celem jest zapewnić sprawiedliwy podział produktu społecznego pomiędzy następujące po sobie pokolenia.

Ale sprawiedliwość socjalistyczna nie ogranicza się do stosunków pomiędzy pokoleniami; powinna być także realizowana w stosunkach pomiędzy ludźmi tej samej generacji i zarazem nie powinna szkodzić wydajności, której stały wzrost jest podstawowym warunkiem socjalizmu. Ta harmonia pomiędzy sprawiedliwością i wydajnością zawarta jest w dewizie: „każdy według swojej zdolności, każdemu według jego pracy”, co oznacza, że każdy obywatel socjalistycznego społeczeństwa winien przyczynić się w granicach swoich możliwości do wytwarzania produktu społecznego i że powinien otrzymywać część proporcjonalną do swego osobistego wkładu. Z pozoru prosta i jasna, dewiza ta w rzeczywistości jest niesłychanie trudna do zrealizowania. Powstaje bowiem zasadnicze pytanie, jak określić wartość. Aby wynagradzać jednostki produkujące, zgodnie z ich osobistym wkładem do wytwórczości społecznej, trzeba móc określić wielkość tego wkładu, co nie jest możliwe w braku odpowiednich kryteriów do porównywania rozmaitych dóbr i usług. Takie porównywanie, trudne nawet w ekonomii rynkowej — z powodu niedoskonałości konkurencji — są całkowicie niemożliwe w systemie, w którym ceny i płace są ustalane dowolnie. W socjalistycznej gospodarce musi więc istnieć system cen i płac odzwierciedlający możliwie najwierniej hierarchię wartości społecznych. Nazywamy tak wartości, które wynikają z konfrontacji autentycznych potrzeb społeczeństwa z jego zasobami.

### 2. Określenie potrzeb.

Ale jak i kto ma stwierdzić, czy też określić, potrzeby społeczeństwa? Z tego punktu widzenia wypada rozróżnić trzy kategorie potrzeb:

1) Potrzeby rozwoju, które wynikają z postulatu sprawiedliwości w stosunkach pomiędzy następującymi po sobie pokoleniami;

2) Potrzeby zbiorowe, które narzuca samo funkcjonowanie i obrona społeczeństwa;

3) Potrzeby indywidualne obywateli.

Jeżeli idzie o dwie pierwsze kategorie potrzeb — mogą je określić tylko do tego *powołani* przedstawiciele społeczeństwa. Ani mechanizm rynku, ani jego rozmaite substytuty, nie są zdolne do wypełnienia tej funkcji (\*). Nie oznacza to jednak, że określenie tych dwóch kategorii potrzeb może być dowolne.

Ustalając potrzeby zbiorowe — co dokonuje się głównie przez opracowanie budżetu państwowego — przedstawiciele społeczeństwa powinni stale pamiętać, że wszelki wydatek, przeznaczony na zaspokojenie tych potrzeb, stanowi dla społeczeństwa *koszt*. Odpowiednie wydatki powinny więc być ograniczone do tego co jest ściśle niezbędne dla wewnętrznego i zewnętrznego bezpieczeństwa kraju, dla oświaty i rozwoju kulturalnego, dla świadczeń socjalnych. Całokształt tych wydatków (z wydatkami personalnymi włącznie) nie powinien w zasadzie przekraczać 15 procent dochodu narodowego brutto (definicja klasyczna).

Określenie potrzeb rozwoju jest bardziej złożone, bo zakłada konieczność arbitrażu pomiędzy kosztem *obecnym* a korzyścią *przyszłą*. Poza tym w kraju dość słabo rozwiniętym, który chce nadrobić znaczne opóźnienie, dążeń tych potrzeb musi być specjalnie wysoki. Z drugiej jednak strony zasada sprawiedliwości w stosunkach pomiędzy następującymi po sobie pokoleniami nie pozwala na przekroczenie pewnego maksimum. Jakie jest dokładnie to maksimum w obecnych warunkach polskiej gospodarki? Oto kwestia, która powinna być przedmiotem wyczerpujących badań dla kierowników gospodarki narodowej. Jak doprowadzić doświadczenia planu sześcioletniego, inwestycje brutto przekraczające 25% dochodu narodowego brutto są z pewnością nie do pogodzenia z utrzymaniem konsumpcji prywatnej na odpowiednim poziomie. A przecież, aby zasada sprawiedliwości w stosunkach pomiędzy następującymi po sobie pokoleniami mogła być zachowana, nie wystarczy utrzymywać konsumpcji na niezmiennym poziomie. Trzeba ją rozwijać przynajmniej w miarę naturalnego przyrostu ludności i awansu społecznego, wynikającego z inwestycji. Inwestycje brutto, równe mniej więcej 20% dochodu narodowego brutto (definicja klasyczna), zdają się odpowiadać temu warunkowi, z zastrzeżeniem jakie przedsta-

(\*) Vide cytowana wyżej praca: *Planification et croissance économique des Démocraties Populaires*.



wię następnie, mówiąc o podziale inwestycji pomiędzy poszczególne gałęzie działalności gospodarczej.

Na zaspokojenie potrzeb indywidualnych obywateli pozostaje więc około 65% dochodu narodowego brutto. Z chwilą kiedy przyjmie się taką czy też zbliżoną proporcję, należy pozostawić każdemu obywatelowi zupełną swobodę układania rodzinnego budżetu, tak jak mu się podoba, w granicach jego dochodu. Jest to niezbędny warunek, bez którego zasada maksymalnego zaspokojenia potrzeb społeczeństwa nie może być uwzględniona. Któż bowiem lepiej niż sama jednostka określi indywidualne potrzeby? A pomiędzy dwóch zespołów dóbr, jakie może nabyć konsument za dany dochód, czy nie ten zespół, który sam ułoży, będzie dla niego najbardziej wartościowy?

Ze swobodą konsumpcji łączy się swoboda wyboru zawodu, wykonywanego przez jednostkę w obrębie społeczeństwa. Ocenia się bowiem dochód nie tylko w odniesieniu do dóbr, jakie pozwala on nabyć, ale również w odniesieniu do pracy, przy pomocy której da się go osiągnąć. Przy równych dochodach, będzie się zawsze wolało dochody wynikające z działalności dobrowolnie wybranej. Konsekwencją tego jest konieczność powstrzymania się od wszelkich środków orientacji zawodowej, poza bodźcami natury gospodarczej.

Rozporządzamy teraz wszystkimi niezbędnymi elementami, żeby poprawnie postawić problem wartości.

### 3. Ustalenie skali wartości społecznych i podział inwestycji.

Skala wartości społecznych wynika z konfrontacji rzadkich zasobów społeczeństwa z całością zapotrzebowań, płynących od konsumentów i od państwa. Zgłaszając zapotrzebowania państwo działa jako przedstawiciel potrzeb zbiorowych i potrzeb rozwoju społeczeństwa w ramach przedstawionych powyżej zasad. Pośród rzadkich zasobów, figuruje siła robocza, która ofiarowuje dobrowolnie swoje usługi tylko w warunkach odpowiadających preferencjom pracowników.

Zadanie państwa, które jest odpowiedzialne za całość działalności gospodarczej, polega na takim zużytkowaniu rzadkich zasobów, żeby zadowolnić maksymalnie wszystkie trzy wyżej wymienione kategorie zapotrzebowań. Żeby to osiągnąć powinno się ono starać przede wszystkim przeprowadzić racjonalny podział siły roboczej pomiędzy różne gałęzie działalności. Ale chcąc osiągnąć ten cel nie wystarczy znać globalnej masy zapotrzebowań. Trzeba również znać ich skład rzeczowy.

Układ popytu konsumentów da się ustalić, obserwując stale rynek dóbr konsumpcyjnych i uwzględniając przewidziany wzrost dochodu. Można w tym celu zastosować współczynniki elastyczności popytu poszczególnych produktów w stosunku do dochodu, obliczane na podstawie rodzinnych budżetów w różnych klasach dochodu. Popyt, wynikający z potrzeb zbiorowych, jest ustala-

ny szczegółowo przez same państwo. Najtrudniejsze jest określenie popytu, płynącego z potrzeb rozwoju. Jego układ powinien odpowiadać w istocie dwóm celom:

- 1) Nie może być sprzeczny z zaspakajaniem potrzeb indywidualnych i zbiorowych w okresie tworzenia inwestycji;
- 2) Powinien zapewnić przygotowanie środków produkcji, niezbędnych do zaspokojenia potrzeb indywidualnych i zbiorowych w przyszłości.

Żeby zrealizować taki podział inwestycji z zachowaniem ustalonych wyżej zasad, jest rzeczą konieczną obliczyć w przybliżeniu możliwy wzrost dochodu narodowego w perspektywie szeregu lat. Można uzyskać taki ogólny pogląd rozkładając czynniki wzrostu na elementy pierwsze:

- Zwiększenie siły roboczej, płynące z ruchu demograficznego;
- Zwiększenie fizycznej wydajności pracy, wynikające z inwestycji i postępu technicznego;
- Zwiększenie wydajności pracy, wyrażonej w wartości, jakie powstaje wskutek przechodzenia pracowników do działalności lepiej wynagradzanych.

Według mojego przybliżonego obliczenia (\*), które łatwo może być ulepszone przez czynniki rozporządzające lepszymi źródłami informacji — Polska może liczyć na stopę wzrostu dochodu narodowego około 3% w okresie rekonwersji (około trzech lat) i około 6% w ciągu kilku lat następnych. Później, z postępem uprzemysłowienia, stopa wzrostu powinna się obniżyć mniej więcej do poziomu obserwowanego w krajach zaawansowanych, korzystających z dużego dynamizmu demograficznego i uprawiających politykę pełnego zatrudnienia (4 do 5%).

Tak nakreśliwszy przewidzianą krzywą dochodu narodowego można z niej wyprowadzić krzywą globalnych inwestycji. Pozostaje teraz podzielić całość inwestycji w planowanym okresie na roczne podokresy.

Należy zacząć od okresu rocznego, najbardziej oddalonego w czasie, tworząc przybliżony obraz podziału dochodu narodowego, jaki chce się otrzymać w tym okresie. Następnie przejść do okresu przedostatniego i tak dalej aż do okresu wyjściowego. Inwestycje w każdym okresie rocznym powinny spełniać trzy warunki:

- 1) Nie mogą przekroczyć przewidzianego maksimum (np. 20% produktu narodowego w danym okresie);
- 2) Muszą być skoordynowane z ogółem produkcji w danym okresie;
- 3) Muszą być skoordynowane z produkcją i inwestycjami okresów poprzednich i następnych.

Oczywiste jest, że chodzi tutaj o pracę niesłuchanie skomplikowaną, która wymaga wielu kolejnych przybliżeń i którą

(\*) Artykuł pt.: „Etude statistique et théorie de la croissance économique des pays d'Europe Orientale”, *Revue Economique*, Paris, mars 1956.



trzeba wykonać z wieloma wariantami, tak aby pozwolić kierownikom narodowej gospodarki na racjonalny wybór pomiędzy różnymi drogami rozwoju. Rachunek matrycowy i użycie kalkulatorów elektronicznych pozwalają jednak przezwyciężyć główne przeszkody techniczne.

Zresztą nie należy sądzić, że rachunki, o których mowa, muszą być wykonywane z wielką precyzją. W żadnym wypadku nie należy się spodziewać, że przewidywania spełnią się całkowicie, w najmniejszym szczególe. System obiektów, ustalonych z absolutną precyzją w czasie i przestrzeni, byłby nawet niebezpieczny, bo nie pozwalałby na żadne dostosowanie do zmiennego układu rzeczywistości gospodarczej. Chodzi raczej o podział przybliżony inwestycji każdego okresu pomiędzy główne gałęzie działalności, unikając większych sprzeczności pomiędzy obiektami wewnątrz każdego okresu i pomiędzy okresami. Pewien margines powinien być pozostawiony w rachunku, tak aby nadać systemowi niezbędną giętkość. Krótko mówiąc trzeba świadomie iść wbrew planowaniu typu sowieckiego, polegającego na planach niesłychanie napiętych i sztywnych.

#### 4. Ceny, płace i stopa procentowa.

Przybliżona wiedza o układzie trzech kategorii popytu w ciągu całego planowanego okresu pozwala ustalić skalę wynagrodzeń czynników produkcyjnych, to jest: skalę płac, odpowiadającą różnym gałęziom działalności i różnym funkcjom w obrębie tych gałęzi; skalę cen surowców; skalę stopy procentowej w różnych okresach unieruchomienia kapitałów. W zasadzie każda z tych cen powinna zmierzać do równowagi pomiędzy podażą i popytem czynników określonego typu, w ciągu okresu planowania i powinno się móc ją zmieniać z chwilą naruszenia tej równowagi, z wyjątkiem jednak zakłóceń chwilowych i przypadkowych. Jest to warunek niezbędny aby otrzymać racjonalny podział czynników produkcyjnych pomiędzy różne gałęzie działalności i aby uniknąć marnotrawstwa czynników deficytowych.

Jednakże aby płace, ustalone w ten sposób, rzeczywiście zbliżały się w wystarczającej mierze do socjalistycznej zasady podziału — trzeba byłoby poza tym żeby ceny dóbr konsumpcyjnych były proporcjonalne do kosztów krańcowych produkcji odpowiednich dóbr. Inaczej mówiąc, cena każdego produktu powinna być proporcjonalna do kosztu krańcowego najsłabszego przedsiębiorstwa w gałęzi, którego funkcjonowanie jest konieczne, aby zaspokoić popyt. Mówimy, że cena powinna być proporcjonalna do kosztu krańcowego, a nie równa mu, ponieważ trzeba przewidywać różnicę pomiędzy ceną sprzedaży i kosztem własnym w celu finansowania inwestycji i wydatków zbiorowych, jak również dlatego, że konfiskata renty przedsiębiorstw silniejszych nie może wystarczyć do tego finansowania. Można w przybliżeniu osiągnąć ten rezultat, nakładając na przedsiębiorstwa poda-

tek od używanych czynników produkcyjnych. Podatek ten zastąpiłby podatek obrotowy. Podatek od czynników produkcyjnych byłby ściągany przez odpowiednie zwiększenie cen surowców i stopy procentowej, jak również przez wpłacanie opłat proporcjonalnych do funduszu płac w każdym przedsiębiorstwie. Zmuszałoby to przedsiębiorstwa do ekonomicznego używania czynników produkcyjnych. Aby utrzymać ceny sprzedaży na poziomie kosztu krańcowego, podwyższonego o podatek od czynników produkcyjnych — państwo posługiwałoby się, tam gdzie to jest możliwe, mechanizmem wolnej konkurencji, rezerwując sobie ustalanie cen drogą administracyjną wyłącznie w wypadkach kiedy takiej konkurencji nie dałoby się zorganizować.

#### 5. Sektor prywatny.

Biorąc pod uwagę, że prywatna własność środków produkcji jest przeciwna podstawowym zasadom socjalizmu tylko w tej mierze w jakiej pozwala na eksploatację robotnika przez kapitalistę — nic nie przemawia przeciwko istnieniu przedsiębiorstw prywatnych tam, gdzie tego rodzaju eksploatacja jest niemożliwa.

Wydaje się, że w przedsiębiorstwie prywatnym, pracującym w warunkach identycznych z przedsiębiorstwami państwowymi, w dziedzinie cen zakupu surowców, płac, stopy procentowej, podatków i cen sprzedaży — jedyna możliwość eksploatacji klasy robotniczej może powstawać wskutek istnienia monopolu, całkowitego czy częściowego, jaki wynika z posiadania poważnego zespołu środków produkcji. Licząc się z tym niebezpieczeństwem, wystarczy ustalić górną granicę rozmiarów, jakie mogą osiągać przedsiębiorstwa prywatne w każdej gałęzi działalności gospodarczej. Trzeba tutaj, żeby ta granica nie była zbyt niska, aby nie trwonić tej niezwyklej rezerwy inicjatyw, energii i giętkości jaką posiadają przedsiębiorstwa prywatne.

Przedsiębiorstwo prywatne powinno zwłaszcza funkcjonować bez przeszkód w rolnictwie i w rzemiośle.

W rolnictwie można zachować jako górną granicę rozmiarów prywatnego gospodarstwa normy, które służyły za podstawę w reformie rolnej z 1944 roku (50 albo 100 hektarów). Wszelkie posunięcia dyskryminacyjne przeciwko tak zwanym „kułakom” powinny być zaniechane, gdyż są one sprzeczne z racjonalnym użytkowaniem narodowych zasobów i w konsekwencji sprzeczne również z socjalistyczną zasadą maksymalnego zaspakajania potrzeb obywateli. Należy pozwolić chłopom na korzystanie ze wszelkiej siły roboczej i ze wszystkich środków produkcji, łącznie z traktorami, za jakie zdolni będą zapłacić. Konkurencja, jaką dla gospodarstw chłopskich stanowią, w dziedzinie siły roboczej, przemysł, gospodarstwa spółdzielcze i ewentualnie PGR'y — powinna wystarczyć, wraz z ustalonym minimum płacy, do usunięcia wszelkiego niebezpieczeństwa wyzysku robotników rolnych i biedniaków.



W rzemiośle powinno się pozwolić na przedsiębiorstwo prywatne bez żadnych granic ani dyskryminacji, tak długo dopóki zachowuje ono charakter rzemieślniczy, to jest dopóki właściciel wnosi osobisty, znaczny wkład w formie pracy. Statut rzemieślnika powinien być zagwarantowany przez kryteria precyzyjne, zmieniające się w zależności od zawodu, ale *niezmienne w czasie*. Rzemiosło prywatne powinno korzystać z takich samych praw, jakie mają przedsiębiorstwa państwowe co do zakupu surowców i środków produkcji, angażowania siły roboczej, opodatkowania, sprzedaży wyrobów, dostaw dla państwa, itd.

Takie same warunki należy zapewnić małym przedsiębiorstwom przemysłowym i handlowym o charakterze prywatnym, którym wyznaczałoby się tylko górną granicę rozwoju, zmienną zależnie od gałęzi działalności, ale *niezmienną w czasie*.

Jaka rola przypadłaby w takim wypadku sektorowi publicznemu i sektorowi spółdzielczemu?

#### 6. Sektor publiczny i finansowanie inwestycji.

Sektor publiczny składałby się z wielkiego przemysłu, części handlu, większości zakładów kredytowych, jak również z tych PGR'ów, które po przejściowym okresie kilkoletnim, zdolowałyby się utrzymać w konkurencyjnych warunkach funkcjonowania. Wszystkie PGR'y, które ostatecznie okazały się nierentowne, powinny zostać zlikwidowane, a ich majątek należałoby sprzedać drogą przetargu chłopom indywidualnym i gospodarstwom spółdzielczym. Należy przewidzieć odpowiednie ułatwienia kredytowe w tym celu.

Zarząd przedsiębiorstw publicznych należy powierzyć samorządom robotniczym. Dyrektor byłby tylko płatnym zarządcą, całkowicie odpowiedzialnym przed samorządem. Jednakże środki produkcji pozostałyby własnością narodu, który pobierałby z tego tytułu, poza podatkiem, procent stały, proporcjonalny do wielkości zainwestowanego kapitału. Ten procent jest niezbędny aby uniknąć marnotrawstwa potencjału produkcyjnego, oddanego do dyspozycji personelu.

Zakup surowców, angażowanie siły roboczej, program fabrykacji, sprzedaż produktów — byłyby całkowicie wolne, z zastrzeżeniem jakie wyraziłem co do systemu cen i płac.

Nadawanie kierunku produkcji przez państwo odbywałoby się wyłącznie poprzez zamówienia, zmierzające do zaspokojenia potrzeb zbiorowych i potrzeb rozwoju. Cała reszta produkcji zależałaby od zamówień pochodzących w równej mierze od przedsiębiorstw przemysłowych, handlowych i rzemieślniczych, publicznych, spółdzielczych i prywatnych.

Pozostaje jednak do rozwiązania trudne zagadnienie podziału dochodów i inwestycji.

Ponieważ cena sprzedaży jest, na ogół biorąc, wyższa niż koszty własne łącznie z procentem i podatkiem od czynników produkcyjnych, przedsiębiorstwo uzyska pewien dochód, którego

ekonomiczną funkcją powinno być z jednej strony powiększanie wydajności przedsiębiorstwa i jego personelu, a z drugiej strony wkład w finansowanie wydatków rozwojowych.

Ponieważ państwo bierze na siebie odpowiedzialność za rozwój, nie można zostawić całości dochodów do dyspozycji przedsiębiorstwa. Zachowa więc ono tylko część określoną z góry, przeznaczoną na fundusz obrotowy, jak również na premie i świadczenia socjalne personelu. Cała reszta czystego dochodu — to jest z wyłączeniem odpisów amortyzacyjnych, mających utrzymywać kapitał przedsiębiorstwa — powinna być w zasadzie wpłacana na narodowy fundusz inwestycyjny, na który składałyby się poza tym procenty od kapitału i dotacje budżetowe. Rozwiązanie to wydaje się lepsze niż inwestycje własne przedsiębiorstw, gdyż zapewnia większą ruchliwość kapitału i pozwala państwu na bardziej skuteczną kontrolę nad podziałem inwestycji w skali narodowej. Fundusz amortyzacyjny pozostawiony do dyspozycji przedsiębiorstwa, powinien w zasadzie mu pozwalać na drobne zmiany produkcyjnego potencjału. Koncentracja wielkiej części nowych kapitałów w funduszu narodowym nie oznacza jednak, że państwo powinno sumy tak nagromadzone inwestować bezpośrednio.

Ze względu na to, że środki funduszu byłyby podzielone na szereg mas przeznaczonych do finansowania celów pierwszego rzędu, przewidzianych przez plan w każdej gałęzi działalności, należy rozróżnić dwa wypadki zależnie od tego czy chodzi o kredyty rozwojowe dla już istniejącego przedsiębiorstwa publicznego, spółdzielczego czy prywatnego, czy też o stworzenie od podstaw nowego przedsiębiorstwa.

W pierwszym wypadku państwo może udzielać kredytu w trybie przetargu, zapewniając go temu przedsiębiorstwu, które przedstawi najpoważniejsze gwarancje racjonalnego użytku inwestycji i zaoferuje najwyższy procent. Oczywiście to rozwiązanie nie zawsze daje się zastosować. Powstaną okoliczności, w których trzeba będzie po prostu przydzielić kredyt określone mu przedsiębiorstwu, wybranemu z powodów niezależnych od finansowych warunków, jakie może ono zaoferować. W każdym razie takie przedsiębiorstwo musi być obłożone przynajmniej najniższą stawką procentu od zainwestowanego kapitału.

W drugim wypadku państwo nie ma innego wyboru niż zamianować z urzędu odpowiedzialnego organizatora i powierzyć mu puszczenie w ruch przedsiębiorstwa. Przedsiębiorstwo będzie mogło osiągnąć autonomię dopiero na wystarczającym poziomie rozwoju.

Fakt, że przedsiębiorstwa prywatne i spółdzielcze mogą konkurować, ubiegając się o długoterminowe kredyty w ramach przewidywań planu, stawia pytanie czy pozostawienie tym przedsiębiorstwom całości zysków będzie zgodne z socjalistyczną zasadą podziału. Korzystałyby bowiem one w takim wypadku z niemałej przewagi nad przedsiębiorstwami publicznymi, które byłyby zmuszone wpłacać część swoich zysków na naro-



dowy fundusz inwestycyjny. Przedsiębiorstwa prywatne i spółdzielcze powinny być zatem obłożone podatkiem od czystego dochodu — albo odpowiednim ryczałtem w wypadku przedsiębiorstw chłopskich i rzemieślniczych — co równoważyłoby tę przewagę. Poza tym personel prywatnych przedsiębiorstw powinien korzystać z udziału w korzyściach analogicznych do premii, wypłacanych personelowi w przedsiębiorstwach publicznych.

### 7. Sektor spółdzielczy.

Na sektor spółdzielczy składałyby się gospodarstwa rolne, zakłady rzemieślnicze, handlowe i ewentualnie spółdzielnie sprzedaży, maszyn, kredytowe itd., tworzone z całkowicie swobodnej inicjatywy ich członków. Statuty wzorcowe obowiązywałyby jedynie w odniesieniu do zobowiązań wobec państwa, a te byłyby zresztą takie same jak w przedsiębiorstwach prywatnych i publicznych. Pomoc państwa ograniczałaby się do udzielania kredytu. Spółdzielnie rozporządzałyby tymi samymi prawami co przedsiębiorstwa prywatne i publiczne w dziedzinie zakupu środków produkcji, łącznie z zakupem traktorów i maszyn, jak również w dziedzinie sprzedaży ich produktów i w dziedzinie podatków. Użytek najemnej siły roboczej byłby jednak ograniczony przez zarządzenie, że wszelki pracownik zatrudniony ponad okres robót sezonowych, miałby prawo żądać przyjęcia do spółdzielni.



Jest oczywiste, że naszkicowany powyżej system jest jeszcze bardzo niekompletny i że wymagałby wielu zmian i ulepszeń przed zastosowaniem go do konkretnej gospodarki. Nie powiedzieliśmy zwłaszcza nic o środkach jakie należy przewidzieć, żeby zapewnić przejście od centralistycznego, biurokratycznego i autorytatywnego zarządu do zarządu opartego na decentralizacji i uznającego w pełni suwerenność konsumenta. Ale szczegóły organizacyjne i przepisy przejściowe mogą być wypracowane tylko w bezpośrednim zetknięciu z rzeczywistością codzienną i z ludźmi, którzy w niej żyją. Nie roszczę sobie pretensji do zastąpienia ich w tej pracy. Moją ambicją jest tylko przyczynić się choć trochę do konstruktywnych dyskusji które toczą się obecnie w Polsce i dać kilka argumentów tym, którzy podzielają moją wiarę, iż istotą gospodarki socjalistycznej powinna być przede wszystkim służba społeczeństwu, a nie *posługiwanie* się nim dla obcych mu celów.

Jan MARCZEWSKI

## Archiwum polityczne

### Lekcja węgierska

Na emigracji — w artykułach, orędziach, na akademiach itd. stale powtarza się fraza: „Gdy Polska odzyska wolność...”. Co należy przez to rozumieć? Suwerenność państwową czy ustroj demokratyczny, czy jedno i drugie?

Polska może nie mieć ustroju zachodnio-demokratycznego a mimo to odzyskać niepodległość i suwerenność.

Z kolei postulat wolności przymierzmy do zagadnienia ustrojowego. Osobiście jestem przekonany, że gdyby dziś, to jest w pierwszej dekadzie listopada 1956 roku, odbyły się w Polsce najuczciwsze wybory tajne i powszechne — 50 a może 60% głosów padłoby na Gomułkę.

Polacy zawsze głosują na człowieka — nie na listę. Wstawmy się w położenie wyborcy w Kraju. Na kogo miałby głosować? Autentyczną popularnością cieszy się w Polsce w tej chwili dwóch ludzi: kardynał Wyszyński i Władysław Gomułka.

Czytelnik emigracyjny powie w tym miejscu: „To nie byłoby żadne wybory i to nie byłaby żadna wolność”. I tak dochodzimy do sedna. Przez wolność w wykładni emigracyjnej należy rozumieć nie tylko przywrócenie ustroju demokratycznego ale przede wszystkim likwidację komunizmu.

Trzeba z całym spokojem stwierdzić, że vis-à-vis Rosji jesteśmy zupełnie sami. Żadna międzynarodowa instytucja — jak widzieliśmy to na przykładzie Węgier — małemu czy średniemu państwu nie pośpieszy z pomocą. Różnica potencjałów wojennych Polski i Rosji jest tak olbrzymia, że każde powstanie musiałoby się skończyć klęską.

Rozmawiając z Polakami przybyłymi z Kraju orientujemy się natychmiast, że w Polsce ludzie bardzo żywo i plastycznie świadomi są tych spraw.

Gdy wspominałem o wolnych wyborach zaryzykowałem opinię, że dziś na Gomułkę padłoby 50 a może 60% głosów. Dlaczego? Między innymi i dlatego, że w obecnej sytuacji nikt nie



dałby głosu na zdecydowanie antyrosyjskiego polityka czy generała, który dziś krzyczałby, że nie odda guzika — jutro spowodowałby rosyjską interwencję a pojutrze uciekł przez jakieś nowe Zaleszczyki. Głosowano by na Gomułkę wierząc, że on daje gwarancję utrzymania tej niedoskonałej suwerenności na jaką czekano dziesięć ponurych lat.

Oczywiście inny byłby wynik wyborów gdyby sytuacja uległa zmianie. Gdyby — powiedzmy — Polska weszła w skład bloku neutralnego lub gdyby — na skutek trudnych do wyobrażenia sobie okoliczności — pozycja Rosji uległa katastrofalnemu zachwianiu. Wybory nie odbywają się w próżni. W szczególności w krajach takich jak Polska sytuacja międzynarodowa może zadecydować o wyniku najuczciwiej przeprowadzonych wyborów.

Jest oczywiste, że Gomułka i jego partia kują swój główny kapitał polityczny z naszej specyficznej sytuacji międzynarodowej. Komuniści mogą zawsze powiedzieć: „stanowimy mniejszość ale my jedni mamy szansę porozumienia się z Moskwą i wynegocjowania dla Polski statutu, którego nikt oprócz nas wynegocjować nie byłby w możności”.

Jest nonsensem i demagogią zwalczać Gomułkę za rosyjski punkt jego programu. Gdyby dziś na czele rządu stał polityk bezpartyjny — o ile miałby rozum i poczucie odpowiedzialności — prowadziłby w stosunku do Rosji identyczną politykę jak Gomułka.

Każdy rząd polski w obecnej sytuacji musiałby prowadzić politykę możliwie najlepszych stosunków z Moskwą. W niczym nie zmienia to jednak faktu, że ten aktualny postulat polityczny polscy komuniści starają się wygrać na własną korzyść. Innymi słowy będą przekonywać społeczeństwo, że w obecnych warunkach suwerenność i niepodległość możliwe są tylko w ich wydaniu.

Na marginesie warto zaznaczyć, że Gomułka minął już punkt z którego możliwy był jeszcze odwrót. Gomułka albo utrzyma się jako przywódca niezależny — albo zginie. Zmiana obecnego statutu Polski na pełny statut satelicki byłaby równoznaczna z bezlitosną likwidacją Gomułki i wszystkich jego zwolenników. Należy przyjąć za pewnik, że Gomułka i jego ludzie nie żywią w tej materii żadnych wątpliwości. Tym tłumaczy się szybkość z jaką przeprowadzono re-polonizację armii i „zmianę warty” na kluczowych stanowiskach.

Na emigracji zarysowują się dwa poglądy na kompleks tych zagadnień. Zwolennicy pierwszego poglądu stawiają ideologię ponad interes państwa i narodu. To są wyznawcy międzynarodowego antykomunizmu, których kiedyś określiłem mianem stalinowców à rebours. Tak jak komuniści stalinowcy stawiali solidarność z Moskwą ponad uczucia i interesy narodowo-państwowe — tak międzynarodowi antykomuniści solidarność z ideologią krucjaty antybolszewickiej stawiają ponad interesy państwowo-narodowe.

Zwolennicy powyższego poglądu głoszą, że niepodległość i suwerenność są nie do pogodzenia z komunizmem. Pierwszym zadaniem — któremu wszystko inne winno być podporządkowane — jest więc zniszczenie komunizmu tak w Polsce jak i wszędzie indziej.

Antykomunizm międzynarodowy w wielu przejawach jest ruchem agenturalnym czego najlepszym przykładem była tak zwana afera Bergu. Za obce pieniądze podjęto pewne „akcje” na terenie Kraju. Ci, którzy organizowali tę robotę opłaconą przez obce mocarstwo — uważali, że działali w interesie międzynarodowego antykomunizmu. Poruszam tę ohydłą sprawę bo mnożą się pogłoski, że pewni emigracyjni „przedsiębiorcy” polityczni pragnęliby wykorzystać falę antysowieckich nastrojów w Kraju i gorączkowo szukają finansowego zaplecza dla swych pomysłów. Niestety nie ma żadnej pewności czy zakon „rycerzy” Bergu wymarł bezpotomnie i dlatego uważamy za swój obowiązek przestrzec społeczeństwo w Kraju przed nowymi inicjatywami à la Berg.

„Kultura” nie reprezentuje poglądu, że interesy Kraju należy podporządkować interesom międzynarodowego antykomunizmu. Wykazaliśmy na tych łamach, że żadne z istniejących współcześnie mocarstw nie prowadzi polityki ideologicznej. Stany Zjednoczone, choć są zdecydowanie antykomunistyczne, nie prowadzą bynajmniej polityki krucjaty lecz chłodną politykę państwowego interesu. Uważaliśmy zawsze i uważamy nadal, że interes państwa i narodu są jedynym kryterium polskiej polityki.

Wychodząc z tych założeń ocenialiśmy, że komunizm-stalinizm podporządkowany w całości dyspozycji Moskwy był sprzeczny z interesami państwa i narodu godził bowiem bezpośrednio w naszą suwerenność i niezależność. Natomiast mimo, że jesteśmy przekonani antykomunistami (polskimi nie międzynarodowymi) uważamy, że komunizm narodowy o ile będzie twar- do obstawał przy postulacie niezależności państwowej — może Polsce w pewnym określonym okresie historycznym oddać duże usługi.

Międzynarodowi antykomuniści, którzy wytrzebieenie komunizmu uważają za cel Nr 1 a niepodległość Polski za cel Nr 2 — wyrażają opinię, że Gomułkę należy zlikwidować wraz z wszystkimi innymi komunistami. Fakt, że likwidacja Gomułki otwierałaby drogę grupie „natolińskiej” znanej ze swego służalczego stosunku do Moskwy — naszych internacjonalnych antykomunistów nie obchodzi. Ich bowiem interesuje zagłada komunizmu a nie aktualne potrzeby narodu polskiego.

I jeszcze uwaga na marginesie. Ci panowie, którzy uważają się skromnie za rycerzy międzynarodowej ideologicznej krucjaty — de facto spełniają różne funkcje i zadania zlecane i opłacane przez nie polskie instytucje. Ci panowie w rzeczywistości nie są rycerzami krucjaty lecz małymi kółeczkami w gigantycznej maszynie polityki pewnego mocarstwa. Polityki pań-



stwowej — nie krucjaty. To mocarstwo odnosi się z szczerą sympatią do narodu polskiego — nie oznacza to jednak, że jego polityka jest zawsze zbieżna z naszymi narodowymi interesami.



Premier Imre Nagy jest pierwszym komunistą ogólnonarodowym bohaterem. Kto słuchał jego wstrząsającego apelu radiowego w nocy z dnia 3 na 4 listopada — nie zapomni tego głosu do końca życia.

Nagy nie przestał być komunistą. Ale nie przestał również być Węgrem. Jedną z węgierskich powstańczych radiostacji stwierdziła słusznie, że czołgi sowieckie grzebią węgierski komunizm. Bo jeżeli komunistą można być tylko za cenę zdrady własnego kraju — ktoż zechce być komunistą? Józef Kadar jest zdrajcą, który przyjął urząd „premiera” z rąk agresora. Jeżeli mocarstwa zachodnie uznają jego rząd za legalny rząd Węgier — przyjdzie zwątpić we wszystko.

Co stało się na Węgrzech? „...armia państwa, które trzydzieści dziewięć lat temu pierwsze dokonało zwycięskiej rewolucji zaczęła strzelać do ludu domagającego się realizacji jak najbardziej demokratycznych postulatów”. Tak pisze warszawski tygodnik „Po prostu”.

Epopoea węgierska jest pasmem bohaterstw i bezprzykładnego, ofiarnego męstwa. Niestety cnoty te nie zastąpiły braku politycznego planu i rozważań. W przeciągu kilkunastu dni Węgry z państwa komunistycznego przedzierzgnęły się w państwo o rządzie demokratycznym, koalicyjnym i neutralnym. Gdyby ten program rozłożono na dwa lata być może powiodłoby się go urzeczywistnić. Rosjanie może zgodziliby się na poważniejsze ustępstwa ale dla każdego bezstronnego obserwatora było oczywiste, że nie zgodzą się na rząd demokratyczny i wolne wybory. Gdyby się zgodzili na wolne wybory na Węgrzech — musieliby się zgodzić na wolne wybory w Polsce. Politykę niezależnienia od Rosji musi się realizować stopniowo i pierwszym krokiem po tej linii są nie wybory lecz ewakuacja wojsk.

Nagy uległ presji tłumów i podjął dramatyczną licytację wolnościowych postulatów podczas gdy armie sowieckie powoli i systematycznie zalewały kraj. Z wkraczającymi siłami Sowietów początkowo nie walczone by nie prowokować Moskwy. Kolumny sowieckich czołgów zajęły pozycje wokół Budapesztu i wówczas przyszło ultimatum i aresztowanie wysłanników Nagy'ego.

Czy musiało się tak stać?

Rząd premiera Nagy nie panował nad sytuacją wewnętrzną. Nie panował nad wzburzonymi nastrojami tłumów. W takich momentach kończy się polityka a do głosu przychodzi instynkt imponderabiliów.

Tragedia węgierska w świecie komunistycznym wykryształizowała ostrą linię podziału: po jednej stronie mamy reakcję

stalinowską — po drugiej stronie narodowe partie komunistyczne.

Antystalinowskie stanowisko w stosunku do Węgier zajęły komunistyczne partie Polski, Włoch, Chin, Belgii i Jugosławii.

Stalinowski pogląd na dramat węgierski głoszą: „Prawda”, „Izwiestia”, „Komsomolska Prawda”, organy prasowe francuskiej partii komunistycznej z „L'Humanité” na czele — oraz komunistyczna prasa wschodnio-niemiecka.

Niepokojąca jest w tym obrazie zgodność stalinowców wschodnio-niemieckich z stalinowcami w Moskwie. Mowa marszałka Żukowa utrzymana w klasycznym stalinowskim stylu, wygłoszona na Placu Czerwonym w Moskwie z okazji święta rewolucji październikowej — spotkała się z entuzjastycznym poparciem komunistycznej prasy wschodnio-niemieckiej. Nie ma żadnej różnicy w ocenie powstania węgierskiego Żukowa („reakcja i faszyści”) a „Neues Deutschland”. W szkalowaniu powstańców węgierskich rekord osiągnęły „L'Humanité” i „Neues Deutschland”. Jeszcze krok a „Neues Deutschland” napisze: mieliśmy rację nie dopuszczając u nas do „odwilży”. Kraje „odwilżowe” ciężko teraz odpokutują za swoją herezję. To nie Gomułka tylko stary Ulbricht miał rację!

Stalinowska solidarność rosyjsko-niemiecka może kryć w sobie zarodek śmiertelnego zagrożenia dla antystalinowskiej Polski.

Jedno jest pewne: w światowym ruchu komunistycznym nie ma miejsca na dwie sprzeczne frakcje. Stalinizm pokrywa się całkowicie z imperializmem rosyjskim i dlatego wyznawcami tej szkoły są marszałkowie sowieccy. Jeżeli w Sowietach stalinowcy utrwaliliby ostatecznie swoją władzę — rozgrywka z antystalinowskimi partiami i państwami stanie się nieuchronna. Na ten moment czekają komuniści niemieccy którzy na dnie duszy kołyszają nadzieję, iż ich stalinowska wierność zostanie wynagrodzona kosztem titoistowskiej Polski.

W chwili gdy piszę te słowa, nie ma dostatecznych danych do twierdzenia, że powstanie węgierskie stanie się punktem zwrotnym w polityce Moskwy. Należy jednak sądzić, że stalinowcy sowieccy zdają sobie sprawę z faktu, iż nawrót do linii politycznej i metod sprzed XX Zjazdu K.P. Związku Sowieckiego możliwy byłby tylko w oparciu o czołgi.

Chciałbym zamknąć ten artykuł wyodrębnieniem kilku punktów.

Stało się ze wszech miar szczęśliwie, że Gomułkę nie zmuszono by wstąpił w ślady premiera Nagy. Powstanie w obecnej sytuacji przyniosłoby nam tylko klęskę. Trzeba stwierdzić, że w istocie słuszne postulaty jeżeli są wysuwane w nieodpowiednim momencie — mogą być zbrodniczą demagogią. Powszechnie, wolne wybory w Polsce są postulatem bezspornie słusznym. Ale gdybyśmy dziś prasą, radiem i wszelkimi dostępnymi nam środkami podburzali Polaków w Kraju do strajków, pochodów, masowych wystąpień w celu wymuszenia na Gomułce wolnych wyborów — doprowadzilibyśmy w rezultacie nie do wyborów lecz



do pogrzebienia tej ograniczonej wolności politycznej jaką po dziesięciu latach zdobyto.

Premier Nagy utworzył rząd na Węgrzech w którym reprezentowani byli nie-komuniści. Byłoby jednak czystą demagogią w tej chwili domagać się od Gomułki analogicznego kroku. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w obecnej sytuacji Moskwa poczytałaby to za prowokację.

Ryzyko jest nieodłączne od działania politycznego. Ale ryzyko nie powinno nigdy przekraczać granicy prawdopodobieństwa sukcesu. O marazmie i kwietyzmie w Polsce nie może być mowy. Im administracja Gomułki będzie pewniej siedziała w siodle — im zaufanie społeczeństwa do zrepolonizowanej armii i niezależności państwowej będzie wzrastało — tym napór szerokich mas będzie coraz silniejszy. Gomułka nie umknie swemu losowi. Im Polska będzie bliższa prawdziwej niezależności tym żądania większych swobód i rzetelnej, demokratycznej reprezentacji rósł będą w swym dynamizmie.

Musimy jednak zawsze mieć w pamięci, że każdy krok ku demokracji w Polsce oceniony będzie w Moskwie jako akt... zagrażający bezpieczeństwu Związku Sowieckiego. Dlatego dążeń do przebudowy ustroju nie należy nigdy bazować na nastrojach antyrosyjskich. Domagając się reformy demokratycznej ustroju należy zawsze podkreślać wolę ułożenia stosunków polsko-rosyjskich na zasadach dobro-sąsiedzkich.

Byłoby źle gdyby społeczeństwo w Kraju uznało, że chcąc uniknąć losu Węgier trzeba zrezygnować z naporu i zadowolić się tym co jest. Byłoby jeszcze gorzej gdyby krwawą lekcję węgierską zlekceważono. Jedyna realna droga biegnie pośrodku tych dwóch biegunów. Jeżeli żądania reform będą stopniowe — jeżeli towarzyszyć im będzie umacnianie się niezależności Polski i postęp gospodarczy — jeżeli napór w kierunku demokracji zrezygnuje z żądła antysowieckiego — perspektywy sukcesu będą poważne.

Dla narodu w naszej sytuacji nie ma łatwej polityki. Na błędy pozwolić sobie mogą Rosja czy Ameryka lecz nie Polska czy Węgry.

Juliusz MIEROSZEWSKI



**POMOC RODZINIE W KRAJU  
I ZA LINIĄ CURZONA**

*Przodująca polska firma wysyłkowa*

**LAMPERT & POLIMEX Co**

**45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England**

## List z Berlina

POLSKA REWOLUCJA  
I WSCHODNIO-NIEMIECKI STALINIZM

Zmiana warty w Warszawie wywołała popłoch na stalinowskiej górze rządzącej w Niemczech wschodnich Zjednoczonej Partii Socjalistycznej Niemiec (SED). Opowiadano mi w poważnym środowisku niemieckim, które zazwyczaj wie co się dzieje we wschodnio-berlińskim komunistycznym high life'ie, że pierwszy sekretarz SED (nazywany tu popularnie „spitzbródka” ponieważ pozuje na Lenina), Walter Ulbricht, na wiadomość o wypadkach z 21 października w Warszawie zwrócił się do ambasadora sowieckiego w Berlinie, Puszkina, z prośbą o natychmiastową interwencję Sowietów w Polsce. Powtórzyło to się zresztą, w nieco odmiennej formie, po wybuchu rewolucji węgierskiej, kiedy to tenże sam Ulbricht błagał przedstawicieli władz sowieckich o wzmocnienie dywizji sowieckich na terenie tak zwanej Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Tego rodzaju reakcja Ulbrichta i jego najbliższych współpracowników z Politbiura SED charakteryzuje układ sił w NRD. Chyba nigdzie indziej rządząca partia komunistyczna nie jest tak odcięta od mas, tak obca i wroga własnemu społeczeństwu, jak właśnie partia komunistów wschodnio-niemieckich. Zjednoczona Partia Socjalistyczna Niemiec jest obecnie jak najbardziej związana ze stalinowskim skrzydłem moskiewskiego Politbiura i z popierającym to skrzydło kierownictwem Armii Czerwonej. Na górze partyjnej siedzą przeważnie ludzie tępi, wyrosli w stalinowskiej atmosferze „aparatu”. Z wyjątkiem premiera rządu wschodnio-niemieckiego, Otto Grotewohla, byłego socjaldemokraty, nieomal wszyscy kierownicy partii zostali w 1945 roku importowani z Moskwy. Ponieważ cała ta grupa przeżyła wszystkie czystki stalinowskie jasne było, że prostolinijność, odwaga cywilna i charakter w polityce nie należały do ich najsilniejszych cech. Dla przykładu wystarczy wspomnieć, że sam przywódca partii, Walter Ulbricht, wzywał z emigracji, w roku 1940, robotników niemieckich do uznania paktu Hitler-Stalin i do przeciwstawienia się francuskiemu i brytyjskiemu podżegaczom wojennym. Do elementów, cechujących nieomal wszystkich „aparaczków”, którzy przeszli długoletnią szkołę stalinowską, dochodzą jeszcze pewne właściwości, związane z historycznym rozwojem społeczeństwa niemieckiego i powstałym wśród niego silnym poczuciem dyscypliny i subordynacji, zwłaszcza wobec silniejszych od siebie. Ilekroć obserwowałem zachowanie się wschodnio-niemieckich dostojników partyjnych i rządowych w stosunku do często nawet niezbyt wysokich stopniem oficerów sowieckich, zawsze nasuwały mi się historyczne reminiscencje o „Landsknechtach”. Wiernopoddanie odgradzają oni Polskę i Europę wschodnią od jakichkolwiek świeżych podmuchów z Zachodu i nie dopuszczają, aby ożywczy ferment, który ogarnął naród polski, przedostał się do Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Już pierwsze fale narastającej rewolucji w Polsce, przemieniły stalinowską grupę rządzącą w Niemczech Wschodnich w zajadłych wrogów idei,



które przedzierały się poprzez kranice „przyjaźni”. Opowiadania odwiedzających Polskę literatów wschodnio-niemieckich o toczących się w Warszawie sporach na temat istoty i wartości „sorealizmu”, relacje ambasady wschodnio-niemieckiej o polskich dyskusjach teoretycznych, a wreszcie codzienna informacja rozgłośni zachodnio-berlińskich z celowo szczegółowym przedstawianiem wydarzeń politycznych w Polsce, wszystko to przerażało już od wielu miesięcy kierownictwo SED.

Wojna zaczęła się jednak na dobre dopiero w kwietniu br., kiedy to bawiący na III-ej konferencji partyjnej SED korespondent „Trybuny Ludu” Jerzy Kowalewski, w jednej z korespondencji skrytykował, zresztą bardzo ogólnie, stalinowską atmosferę zjazdu SED. Ale słowa Kowalewskiego, stwierdzające że na konferencji SED nie rozegrała się „z należytą siłą gożąca i namiętna walka przeciw konkretnym przejawom naruszania norm leninowskich i przeciwko ich nosicielom”, wystarczyły aby wschodnio-niemieckich stalinowców wyprowadzić z równowagi. Zwrócili się oni podobno do ówczesnego kierownictwa PZPR z protestem przeciwko krytyce Kowalewskiego, motywując to argumentem, że komuniści w NRD prowadzą ciężką walkę z imperializmem zachodnio-niemieckim i amerykańskim i że jest rzeczą niedopuszczalną, aby bratnia partia polska zadawała im cios w plecy. Stanowisko to znalazło nawet w końcu kwietnia publiczne potwierdzenie. Na jednym z praktykowanych, masowych zebrań młodzieży studenckiej z przedstawicielami partii, których głównym celem jest uspakajanie podnieconych nastrojów wśród młodzieży po XX Zjeździe, studenci wschodnio-berlińskiego uniwersytetu im. Humboldta zainterpelowali premiera Grotewohla jakie jest stanowisko naczelnych władz SED wobec krytyki, jaka — według krążących pogłosek — była wypowiedziana przez polskich towarzyszy. Premier Grotewohl skorzystał z okazji i nazwał opinię „Trybuny Ludu” o konferencji SED, ciosem w plecy i operowaniem argumentami, których używa wróg. Nie omieszkał dodać, że partia polska ma dość śmieci na własnym podwórku, które powinna najpierw wymieść zamiast mieszać się do wewnętrznych spraw SED.

Drugim elementem, który zaostrzył stosunki pomiędzy SED i PZPR były wypadki poznańskie. Kierownictwo Zjednoczonej Partii Socjalistycznej Niemiec przyjęło z miejsca tezę, że robotnicze powstanie poznańskie było dziełem „agentów imperialistycznych”. Nie tylko zresztą przyjęło, ale tezę tę umocniło i rozbudowało nawet już po oficjalnym zaniechaniu tego nonsensu przez ówczesny ochabowski kurs w PZPR. 10 lipca 1956 roku pułkownik Bormann ze wschodnio-niemieckiej Bezpieki oświadczył na konferencji prasowej we wschodnim Berlinie, że organy bezpieczeństwa NRD schwycały agentów, którzy przyczynili się do wybuchu prowokacji w Poznaniu i że niebawem odbędzie się wielki proces polityczny przeciwko tym zbrodniarzom. W ścisłej synchronizacji z podobną akcją Moskwy, której wyrazem było pamiętne przemówienie Bułganina w przeddzień święta 22 lipca w Warszawie, kierownictwo SED i wschodnio-niemiecka bezpieka usiłowały wywrzeć nacisk na PZPR w kierunku utrzymania początkowej tezy o zagranicznej prowokacji w Poznaniu. Nawet w czasie procesów poznańskich, warszawski korespondent centralnego organu SED „Neues Deutschland”, Dietmar Rehschuh, usiłował przemycić tezę o zagranicznych ośrodkach, które patronowały rzekomo rozruchom poznańskim.

W takiej atmosferze oficjalna reakcja kierownictwa SED była łatwa do przewidzenia. Zaczęło się to od przedruku osławionej napaści moskiewskiej „Prawdy” na prasę polską, który we wdziecznym przekładzie na żargon SED w „Neues Deutschland” nabrał jeszcze bardziej grubiańskich cech od pierwowzoru. Jednocześnie chrześcijańsko-demokratyczna CDU we wschodnich Niemczech, będąca przybudówką SED pośpieszyła się również z przedrukiem w swoim organie „Neue Zeit” znanego artykułu „Führera”, Bolesława Piaseckiego, pt. „Instykt państwowy” tłumacząc to na niemiecki jako Staatsmaennischer Instinkt. Dalszą konsekwencją takiego stanowiska było zachowanie się propagandy wschodnio-niemieckiej w stosunku do zmian z 21 października. Poniedziałkowe pismo SED „Vorwaerts” zaopatrzyło listę nowych członków Politbiura PZPR uwagą, iż „ze strony polskiej dotychczas nie usprawiedliwiono zmian w składzie kierowniczych czynników partii”. Przemówienie Władysława Gomułki zostało tak pilnie wykastrowane z wszelkiej treści przez cenzorów, że czytelnicy „Neues Deutschland” otrzymali zupełnie zniekształconą wersję, z której nie można sobie było urobić żadnego obrazu o przemianach w Polsce. Tak samo postąpiono zresztą z uchwałami VIII Plenum KC PZPR i z dalszymi przemówieniami Gomułki, wycinając systematycznie każde zdanie o suwerenności, o wolności słowa, o głoszeniu prawdy. Partia Ulbrichta postawiła tym samym na stalinowskie skrzydło w Politbiurze moskiewskim.

Ale co innego linia generalna SED, a co innego nastroje wśród społeczeństwa. Ponieważ radiostacje zachodnio-berlińskie oraz rozmaite niemieckie organizacje polityczne wykorzystywały nadarżającą się okazję i rozpowszechniały przemówienie Gomułki nie tylko przez radio ale i w broszurach o wielotysięcznym nakładzie. Ludność NRD, a szczególnie robotnicy i studenci mogli zaznajomić się z programem nowego kierownictwa PZPR. Zarówno idee reprezentowane przez Władysława Gomułkę, jak i cała atmosfera decydujących dni październikowych w Warszawie odbiły się silnym echem, szczególnie wśród ludności robotniczej i pośród studentów na wyższych uczelniach NRD. We wszystkich dyskusjach, nawet z najwyższymi dostojnikami reżymu, powtarzają się wciąż jedne i te same interpelacje: „Dlaczego kierownictwo naszej partii dotychczas nie opublikowało przemówienia towarzysza Gomułki, dlaczego SED nie popiera w całej rozciągłości tezy komunistów polskich o suwerenności i równouprawnieniu narodów, dlaczego nasza prasa opublikowała atak „Prawdy” na dziennikarzy polskich, a jednocześnie nie ogłosiła odpowiedzi polskich”. Jak dotychczas kierownictwo SED usiłuje odpowiadać na ten ferment, który ogarnia coraz szersze kręgi a przede wszystkim młode pokolenie w NRD, starymi metodami: straszeniem faszystowską kontrrewolucją i przywróceniem kapitalizmu lub wręcz pogroźkami. Jak długo jeszcze — zapytują obserwatorzy — będzie można utrzymać oazę stalinizmu w Niemczech Wschodnich, między Polską Gomułki i NRF Adenauera-Ollenhauera?

BERLIŃCZYK



## Kronika angielska

### „WIELKI NIEMOWA” PRZEMÓWIL...

Przed „odwilżą”, za starych stalinowskich czasów — sprawa była jasna. W myśl obowiązującej terminologii Kraj był „wielkim niemową” a naród trwał. Nasi przywódcy — wszyscy razem i każdy z osobna — głosili, że to oni odczytują bezbłędnie myśli „wielkiego niemowy” i przemawiają w imieniu narodu, który trwa...

Z chwilą nastania „odwilży” wszyscy, którzy przemawiali dotąd w imieniu „wielkiego niemowy” podnieśli protest. W pewnej mierze jest to zrozumiałe bo „niemowa” wprowadził przemówił, ale nie powiedział niczego z czego nasi wodzowie byliby zadowoleni. W czasie powstania poznańskiego tłumy wysuwały niezmienne śmiałe żądania, nikt jednak nie domagał się oddania rządów... Radzie Trzech.

Sytuacja uległa wybitnemu pogorszeniu po powrocie Gomułki. Jeden z panów, który dotąd przemawiał w imieniu „niemowy” następnego dnia po przewrocie październikowym oświadczył mi wręcz: „To wszystko było ukartowane z Moskwą. Nas — proszę pana — nie tak łatwo wyprowadzić w pole!”

Najprymitywniejszą taktyką zmierzającą do utrzymania monopolu przemawiania w imieniu „wielkiego niemowy” jest przyjęcie stanowiska, że w Kraju nic się nie zmieniło. Rekord w tej materii pobił niewątpliwie londyński „Dziennik Polski”, który w numerze z dnia 23 października napisał z całym spokojem, że... „ogół społeczeństwa polskiego żywo interesując się wydarzeniami ostatnich dni — nie brał w nich najmniejszego udziału. Rewolta odbywała się na szczytach hierarchii partyjnej”. Równocześnie tenże Dziennik w co drugim artykule wstępnym podkreśla nie bez racji, że to co stało się w Kraju jest wynikiem naporu społeczeństwa. Jak można wywierać napór a jednocześnie w niczym nie brać najmniejszego udziału — pozostanie tajemnicą redakcyjną „Dziennika Polskiego”.

Przykładów tego typu można by cytować całą litanię. Wszystkie te wypowiedzi zmierzały do upewnienia emigracji, że nic się nie zmieniło a jedynymi uprawnionymi do przemawiania w imieniu „niemowy” są nadal dygnitarze z Rady Trzech.

Laikom, którzy nie habilitowali się z zakresu „emigrantologii szczegółowej” (jak Londyńczyk) — należy wyjaśnić, że o ile „Kultura” głosiła zawsze, że celem emigracji jest Krajowi służyć a nie przywozić — o tyle oba oficjalne ośrodki reprezentacyjne podtrzymują tytuły zwierzchnicze i przywódcze. P. August Zaleski uważa się za legalnego prezydenta R.P. a jego rząd uważa się nie za rząd emigracji tylko za rząd polski in exile. Rada Trzech jest ciałem, które pełni zastępczo funkcje prezydenta R.P. Wszystkie sugestie wysuwane przez „Kulturę” (i inne niezależne a myślące ugrupowania) zmierzające do zdemokratyzowania reprezentacji emigracyjnej — trafiały na zaciekły opór. Dlaczego? W pierwszym rzędzie dlatego, że chcąc zdemokratyzować reprezentację emigracji trzeba by zrezygnować z ty-

tułów zwierzchniczych i przywódczych w stosunku do Kraju. Powiedzmy dla przykładu — pochodząca z wyborów Rada Polaków brytyjskich reprezentowałyby w sposób demokratyczny emigrację polską w Wielkiej Brytanii — nie miałyby jednak żadnego tytułu do przemawiania w imieniu Kraju. Zespół „Kultury” uważa, że lepiej jest mieć z prawdziwego zdarzenia, demokratycznie wybraną reprezentację emigracyjną służącą konkretnym celom niż „trój-głowego” prezydenta, który nikomu nie służy i nikogo nie reprezentuje. Oba emigracyjne ośrodki reprezentacyjne dla pustych tytułów z których wicher Historii wymiół już dawno wszelką treść i sens — straciły więc tak z narodem w Kraju jak i z Polakami zagranicznymi. Ale ci panowie nie chcą służyć — oni chcieliby rządzić.

W dniach 3 i 4 listopada br. toczyły się w Londynie obrady Tymczasowej Rady Jedności Narodowej. Jest rzeczą charakterystyczną, że w czasie tych obrad padła po raz pierwszy uwaga na temat „zweżania się pola działania politycznego głównego kierownictwa ośrodka emigracji”.

P. J. Zdziechowski — omawiając ostatnie wydarzenia w Kraju — powiedział między innymi: „Tylko codzienne śledzenie na miejscu polskiej rzeczywistości z jej wszystkimi zawiłymi problemami, odmierzanie przeszkód, ocena niebezpieczeństw, wyczucie nastrojów, daje tytuł do ważkich zaleceń w sprawach tak od nas dalekich w przestrzeni i niestety już w czasie. Autorytet dać może dzielenie codziennego losu ludności i branie odpowiedzialności za skutki udzielanych wskazań czy wysuwanych żądań. Doktrynę czy ideologię w takich czasach przymierzać trzeba do rzeczywistości na miejscu, a nie wyobrażać sobie, że można nią operować z oddali przebywając poza granicami Kraju. Trzeba rozumieć, że każdy krok posuwania się Polski ku niepodległości zwięża odpowiednio pole politycznego działania głównego kierownictwa ośrodka emigracji.”

Niemniej charakterystyczną jest ocena p. J. Zdziechowskiego naszej polityki zagranicznej. Oto najistotniejszy fragment jego przemówienia: „Konceptja polskiej polityki mocarstwowej z lat przedwojennych kroczącej zagadkowo na szachownicy europejskiej — to solo to pod rękę z Niemcami — wygrywającej Niemcy przeciw Rosji i ślepej wobec nadciągającej nawałnicy — ułatwiła rozbiór Polski. Już dzisiaj trzeba myśleć o takim systemie politycznym narodu który zabezpieczy państwu warunki spokojnego rozwoju. Gdy się wie gdzie jest główne niebezpieczeństwo, ma się już wtedy wytkniętą przed sobą drogę. Szukanie porozumienia politycznego z Rosją na zasadzie wzajemnego poszanowania praw i interesów i na gruncie równości dwóch suwerennych państw jest dla Polski nakazem historii i geografii. Na tej drodze Polska winna znaleźć trwale gwarancje dla swej zachodniej granicy i widoki dla pełnego wykorzystania swego potencjału gospodarczego”.

Jeszcze dobitniej na zmienioną sytuację wskazał p. M. Thugutt, który podkreślił że „Kraj nie jest już dziś ‘wielkim niemową’ jak w okresie dyktatury stalinowskiej ale głosem wyraźnym i doniosłym mówi czego mu brak i czego żąda. Emigracja nie ma dziś klucza do poprawy sytuacji w Polsce. Ironią losu jest, że klucz do tej poprawy, co prawda w ograniczonym i fragmentarycznym zakresie znajduje się obecnie w rękach Gomułki i kierunku, któremu przywoździ”.

Wyżej zacytowanym poglądom przeciwstawili się sanacyjni politycy tak z Ligi Niepodległości jak spoza niej. P. Zdzisław Stahl odpowiadając pp. Zdziechowskiemu, Berezowskiemu i Thuguttowi — powiedział co na-



stępuje: „Oburzyło mnie to co zrozumiałem jako program rezygnacji z niepodległości i kapitulacji przed Rosją zarazem przyjęcie zachodniej polityki przyjaznej koegzystencji z Sowietami”.

Lecz cóż konkretnego przeciwstawia p. Stahl tezom swoich oponentów? Posłuchajmy: „Właściwą drogą walki z komunizmem jest wysilek uniwersalny. Jego możliwe skutki — wbrew pozorom — przedstawiają się bardziej realnie niż osiągnięcie suwerenności w objęciach sowieckiej przemocy”.

W dyskusji stanowisko zbliżone do p. Stahla zajęli pp. Mękarski, Grażyński, Stermiński.

Jak widać z powyżej przytoczonych głosów wśród T.R.J.N. zarysowują się dwa różne poglądy w dwóch kardynalnych sprawach. Stosunku emigracji do Kraju oraz koncepcji polskiej polityki zagranicznej.

Nie ulega wątpliwości, że faktyczne kierownictwo polityczne narodu polskiego znajduje się dziś w Kraju. Nie ulega również najmniejszej wątpliwości, że im niepodległość Polski będzie coraz bardziej autentyczna — tym prezydenckie pretensje Rady Trzech będą coraz bardziej operetkowe. Im Polska współczesna będzie coraz bardziej biało-czerwona — tym tytuły zwierzchnie emigracyjnych prezydentów będą coraz bardziej białe.

Jeżeli nie chcemy podzielić jałowego losu białych emigracji należy żądać by wszyscy czterej nasi „prezydenci” złożyli swe urzędy. TRJN winna przekształcić się w reprezentację emigracji w całości wyłonioną z wyborów. Egzekutywa winna wreszcie porzucić tytuły i pretensje zastępczego rządu bo uznać można za absolutny pewnik, że organ ten nawet jak najbardziej „zastępczo” nie będzie nigdy polskim rządem.

Nie oznacza to jednak, że rola emigracji politycznej dojrzała do likwidacji. Zamknę te rozważania tezą Zespołu „Kultury” którą cytuję z wrześniowego numeru: „Bardzo chętnie zrezygnowalibyśmy ze statutu emigracyjnego, gdyby w Polsce istniały możliwości walki politycznej w charakterze opozycji. Gdyby w Kraju można było podjąć walkę o przywrócenie ustroju demokratycznego — wówczas obowiązkiem naszym byłoby powrócić. Ale, jak wiemy, w Polsce nie ma tych możliwości — a opozycja, tak jak ją pojmuje demokrat, uważana jest za działalność anty-państwową.

## „KRAJ” W CUDZYSŁOWACH I BEZ

Tydzień za tygodniem, numer za numerem p. Mitzner na łamach krajowego „Kraju” walczy z Bywalcem z londyńskiego „Dziennika Polskiego”. Zapytuję nieśmiało: kogo to obchodzi?

Polaków w Wielkiej Brytanii jest około 150 tysięcy. „Dziennik Polski” czytuje 30 może 40 tysięcy. Dla pozostałych 100 tysięcy ciągnące się miesiącami polemiki pomiędzy p. Mitznerem a Karolem Zbyszewskim są zupełnie niezrozumiałe. Po prostu nie wiedzą o co chodzi.

Z numerów „Kraju” można się dowiedzieć co pisze Jan Bielatowicz w londyńskim „Życiu” lub Juliusz Mieroszewski w paryskiej „Kulturze”. Natomiast nie można się absolutnie niczego dowiedzieć o Polsce współczesnej.

„Kraj” rozgłasza i biuletyn prowadzą w dosłownym tych słów znaczeniu antypropagandę Polski w ogóle a Polski ludowej w szczególności.

Ten cały „aparat” jest pozostałością epoki stalinowskiej i w naszym przekonaniu dojrzał do pospiesznej likwidacji.

Czy nie byłoby mądrzej i celowiej pieniądze wydawane na radiostację „Kraj” z wszystkimi jej przybudówkami oraz piśmka wydawane we Francji, Anglii, Kanadzie czy USA — poświęcić w połowie na stypendia akademickie a w połowie na zakup książek i pism naukowych dla bibliotek uniwersyteckich?

„Kraj” jest całkowitym choć kosztownym nieporozumieniem. Niech kierownicy tej instytucji poinformują się w Ruchu w Warszawie jak stale wzrasta eksport polskiej prasy a w szczególności tygodników. Polacy zagraniczni szukają o Polsce informacji i mają dość propagandy i polajankę w stylu (przeważnie) bęc-walskim. Chętnie czytają „Nową Kulturę”, „Po Prostu” — dużą popularnością cieszy się ilustrowany „Świat” i „Przegląd Kulturalny”. Z tych pism można się czegoś dowiedzieć i wyrobić sobie pogląd na przemiany zachodzące w Polsce.

Proponujemy: zlikwidujcie te szkodliwe, niepotrzebne imprezy! To do prawdy jest nikomu niepotrzebne. To wieczne moralizowanie i namawianie do repatriacji po 17-tu latach jest naiwnym nonsensem. Po dwu dziesiątkach lat spędzonych na obczyźnie 90 procent emigrantów minęło już punkt z którego powrót był możliwy. Ludzie nie rzucają swoich warsztatów, studiów, domów, powiązań rodzinnych tylko dlatego, że p. Mitzner ich do tego namawia. Byłoby dobrze by „specje” od repatriacji raz zrozumieli, że o ile emigracja bywa czasem zjawiskiem masowym — re-emigracja nigdy nie przybiera form masówki. Gdyby Polska była krajem mlekiem i miodem płynącym z najbardziej demokratycznym rządem świata w Warszawie i wówczas większość emigrantów pozostałaby zapewne na obczyźnie. Po dwudziestu latach nikt łatwo nie decyduje się na nowy start życiowy w całkiem odmiennych warunkach. Redaktorom „Kraju” jeszcze wciąż się wydaje że mówią do Dipisów skoszarowanych w barakach. Dipisów wśród nas nie ma. Znakomita większość to są ludzie osiadli, zagospodarowani i mocno wrończeni w teren.

Należy wyjść z realistycznego rozpoznania sytuacji, że bez względu na przemiany w Kraju większość emigrantów pozostanie na obczyźnie. Przy najkorzystniejszym rozwoju sytuacji — a o tym mówić jeszcze przedwcześnie — sądzę, zdecydowałby się na powrót 20 może 25% ogółu emigrantów. W każdym wypadku większość pozostanie za granicą. Taką jest bowiem socjologiczna i ekonomiczna logika procesu emigracyjnego. Polacy nie stanowią tu wyjątku tylko potwierdzają regułę. Ci z współpracowników „Kraju”, którzy są marksistami nie tylko z legitymacji partyjnej lecz i ze studiów — nie będą mieli trudności w zrozumieniu mechaniki tego procesu.

Nie oznacza to jednak bynajmniej, że Polacy zagraniczni są straceni dla Kraju. Emigracja może oddać Polsce ogromne usługi i stanowić wydatną pomoc. Nie wydaje mi się jednak by rozgłosnia i biuletyn „Kraj” działały zachęcająco w tym kierunku. Redaktorzy tych propagandówek nie znają psychiki polskiego emigranta, nie znają warunków jego codziennej walki o byt. Krótko, zabierają głos w sprawach o których nie mają pojęcia.

By sięgnąć po przykład jeden z setki. W artykule pt. „Obce korzyści z pracy emigrantów” — „Kraj” pisze: „Bez wątpienia oprócz Australii wielkie korzyści z tego procesu (gospodarczej rozbudowy — przyp. mój) osiągnie również garstka polskich naganiaczy w Australii czerpiąc obfite do-



chody z jednej strony od „bossów” za wykonywanie rozkazów a z drugiej od tysięcy naiwnych i ogłupiałych Polaków.

Oto klasyczny przykład stalinowskiej „długiej mowy”. Utrwalić na płycie i zachować jako eksponat muzealny.

Ogłupiałych Polaków ... Polskie „szczury tobruckie” — najwspanialszy żołnierz świata, którzy wyemigrowali do kraju swoich towarzyszy broni — doczekali się ujmującego komplementu z dalekiej ojczyzny. Ci „ogłupiali” australijscy Polacy stanowią dziś jedną z zamożniejszych Polonii w świecie. Nikt im niczego nie dał w prezencie — wszystko wypracowali własnymi rękami i głową.

Co pomyśli Polak w Australii gdy dostanie „Kraj” i przeczyta wyżej zacytowany artykuł? Bibułę propagandową wrzuci do kosza, sięgnie po pismo obce, angielskie i pomyśli to samo co ja: byłby czas zlikwidować „Kraj”, który szkodzi Krajowi.

### TYLKO DLA DOROSŁYCH

Wiele pism, bibliotek i wydawnictw krajowych nawiązało z nami oficjalny kontakt w celu wymiany pism, egzemplarzy recenzyjnych itp. Pisma, książki, egzemplarze recenzyjne wysyłane z Kraju pod naszym adresem otrzymujemy z wzorową punktualnością. Lecz na tym — koniec. Te same bowiem instytucje i wydawnictwa krajowe nie otrzymują wysyłanej przez nas „Kulturę” i egzemplarzy recenzyjnych. Pod tym względem po VIII Plenum sytuacja zamiast się poprawić uległa wydatnemu pogorszeniu.

Jesteśmy w tej sprawie zupełnie bezsilni. Pisma wysyłamy w większości wypadków jako przesyłki polecone. Postanowiliśmy każdą niedostarczoną adresatowi w Kraju przesyłkę reklamować na pocztce a oficjalne stwierdzenie urzędów pocztowych publikować na łamach „Kultury”. Ale to oczywiście sprawy nie załatwi. Bezmyślny upór biurokracji przełamać może tylko uparta akcja pisarzy i dziennikarzy krajowych.

Nie chodzi nam o żaden debiet dla „Kultury”. Pragniemy tylko by te wydawnictwa, które przesyłają nam swoje pisma i egzemplarze recenzyjne mogły dostawać od nas w wymianie „Kulturę” i nasze wydawnictwa. By literaci, dziennikarze czy pracownicy nauki mogli je otrzymywać, jeśli będą mieli na to ochotę. Na miły Bóg — nie dajcie się ludzie traktować jak małe dzieci przed którymi pisma i książki „dla dorosłych” zamykają się w szufladzie.

LONDYŃCZYK

## Siła przyzwyczajenia

Jaki epitet nadać tej szybkości wydarzeń? W ciągu paru tygodni ustalił się w świecie nowy termin polityczny. We Francji mówi się: *le gomulisme*. Pękają dawne przegrody, rysują się nowe linie podziału. Najdziwniejszą rzeczą w tym wszystkim jest zmiana sceny przy tych samych, z paroma wyjątkami, aktorach. Jednak ktoś, kto by powątpiewał o głębokości przemian, dlatego, że niedawni słudzy stalinizmu występują pod sztandarem sprawiedliwości i prawdy, popełniłby błąd. „Idę teraz żeby zapoznać się z programem rewolucji na czele której stanąłem” — powiada burmistrz w satyrycznej sztuce Jerzego Andrzejewskiego i Jerzego Zagórskiego „Syn Winkelrieda”, napisanej w roku 1944, wystawionej dwanaście lat później. To śmieszne. Ale dostosowywanie się jednostek do wielkich porywów poruszających masy, albo żeby utrzymać się w siodle i opanować sytuację, albo mocą podświadomej mimikry, nie jest faktem zasługującym na kpinę. Dobra wola, przezorność czy giętkość karku u jednostek nie mogą być wtedy przedmiotem naszych badań. Jeżeli słyszymy: dwa razy dwa równa się cztery, nie będziemy pytać, czy ten, kto taką prawdę wypowiada, ma do tego prawo.

Powstaje w ten sposób specyficzna podwójność oceny. Różnice w sferze politycznej mogą się zatrzeć, ale nagromadzone wzajemne urazy i nieufności pozostaną. Być za Gomułą to nie to samo, co szukać kontaktu z urzędnikami warszawskimi, których twarzą wołałoby się nigdy nie oglądać.

Zmienia się też stosunek do warszawskiej prasy. To, co było wynikiem przymusu, nabiera cech wolnego aktu i wiemy, że dane zdanie mogło być inaczej napisane, że zależało od autora.

„France-Observateur” cytuje najśmielszy dotychczas wyskok prasy Niemiec Wschodnich, głucho fermentujących pod wpływem wydarzeń u najbliższego sąsiada. Za wyskok ten pismo „Sontag” zostało surowo skarcone i otrzymało nowego cenzora. Powiastka jest następująca. Stwierdzono z niepokojem, że nauczyciele pewnego okręgu szkolnego podają dzieciom do wiadomości, iż dwa razy dwa równa się dziewięć. Na naradzie pedagogicznej zapadła uchwała, żeby nie przyznawać się wobec dzieci od razu do pomyłki, ale przygotować je stopniowo. Tak więc nazajutrz po naradzie nauczyciele sprostowali mylne poglądy i przyznali się, że dwa razy dwa równa się osiem. Następnego dnia ustąpili dalej i zeszli do siedmiu. Niestety, jakież było ich przerażenie, kiedy na ścianach szkolnego kłozetu spostrzegli napisy:  $2 \times 2 = 4$ . „Wszelkie pogłoski o tym, jakoby nauczyciele zażądali przywrócenia kary chłosty nie odpowiadają prawdzie” — kończy się powiastka.



Ponieważ wszyscy już w Polsce wiedzą, że dwa razy dwa równa się czterem, prasa (a nie zapominajmy, że przyczyniła się ona poważnie do tego cennego odkrycia) stara się o rzetelność i nie sięga wyżej pięciu, co ostatecznie jest wynikiem bardzo zbliżonym i nie daje powodu do robienia hałasu. Powstaje tylko pytanie czy *muszą* się ukazywać takie artykuły jak ten, który znajdujemy w „Trybunie Ludu” z 11 listopada.

„Faszyzm nie przejdzie — pod tym hasłem, które wiodło do boju francuski proletariatus w roku 1934, a naród francuski w straszliwych latach hitlerowskiej okupacji — manifestują dziś francuskie masy pracujące w Paryżu i w wielu innych miastach przeciwko faszystowskiej chuliganerii, która w ostatnich dniach dokonała bandyckiej napaści na gmach Komitetu Centralnego naszej bratniej Francuskiej Partii Komunistycznej oraz na lokal redakcji „Humanité”.

„Z masami pracującymi Francji, dającymi wyraz swego przywiązania do wielkich ideałów wolności i demokracji, solidaryzują się wszyscy ludzie postępu. Z licznych krajów dochodzą nas wiadomości o protestach przeciw zbrojeckim wyczynom faszystowskich bojówek. Do protestów tych dołączają swój głos również polskie masy pracujące które z narodem francuskim łączy stara, tradycyjna więź przyjaźni oraz wspólne umiłowanie wolności.

„W ciężkich chwilach, w których komuniści francuscy znów stają się przedmiotem dzikich napaści rozwydrzonych band faszystowskich, polska klasa robotnicza i jej czołowy oddział, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza ślą towarzyszom francuskim słowa otuchy i solidarności”.

Hm. Kierownictwo Francuskiej Partii Komunistycznej reprezentuje to wszystko, o czym można przeczytać w „Nowych Drogach” to jest wyrzwanie paznogi, przypalanie ciała papierem i doprowadzanie więźniów torturami do obłędu; reprezentuje, bo to pochwalało i pochwała, oświadczać, w chwili kiedy tanki strzelały do węgierskich robotników, że „Związek Sowiecki daje nam egzaltujący przykład” i nazywając tychże robotników bandą faszystów. „Humanité” umieszczała fotografie poległych powstańców informując swoich czytelników dokładnie na odwrót: że są to ofiary tak zwanych siepaczy Horthy’ego, a fotografię powieszonego agenta Bezpieczeństwa (A.V.O.) zaopatrzyła podpisem o „działaczu robotniczym” który padł ofiarą białego terroru. Partia francuska, wskutek swoich kłamstw, dotychczas przeżykanych gładko przez jej zwolenników, znalazła się po Węgrzech w okropnej sytuacji, jest izolowana i przeżarta buntem swoich dołów oraz swoich intelektualistów, o czym świadczą anatemy i wykluczenia. Fala gniewu, jaka przeszła przez Francję wskutek interwencji obcych wojsk na Węgrzech, była spontaniczna i niech jej miarą będzie jeszcze jedna wolta Sartre’a, który znów wynurzył się „w prądzie”, zrywając hałaśliwie z Partią. Wśród tłumów, demolujących partyjne lokale w różnych miastach Francji, były prawicowe grupy, ich wyczyny na pewno są godne surowego potępienia a drukarze ogłosili strajk po pobiciu swoich kolegów z „Humanité”, bo był to zamach na prawa zawodowe, jako że drukarnia zatrudnia ludzi o różnych poglądach politycznych. Ale skład tłumów był,

jak zawsze w masowych demonstracjach, różnorodny, a opancerzone drzwi Komitetu Centralnego w Paryżu rozwalili weterani republikańskiej armii hiszpańskiej, umieszczając na ciężarówce żelazną belkę i puszczając na drzwi ciężarówkę całym rozpędem. Partia po tych zajściach spóbowwała kontr-manewru. Liczy ona tylko 180.000 członków ale ma w rękach potężną Confédération Générale du Travail. Ogłoszony strajk okazał się fiaskiem, serce mas pracujących było z Węgrami, nie z ich wrogiem, co spostrzegli po czasie przywódca C.G.T. starając się łagodzić i zapewniać, że oni nic, że każdy może mieć taki pogląd na tragedię węgierską jak mu się podoba.

Ocena sytuacji oparta na raportach w tym stylu, co artykuł w „Trybunie Ludu” prowadziła, jak wiemy, do wielu zbrodni i błędów. W artykule można dopatrzeć się posunięcia taktycznego, chęci udobruchania szefów Francuskiej Partii Komunistycznej zionących nienawiścią do „gomułkizmu” który stanowi największe w ich karierze zagrożenie. Niemniej na tym przykładzie widać, że będziemy mieli rację inaczej odnosząc się do szansy jaką ma teraz Polska a inaczej do nałogów ciążyących na urzędnikach i dziennikarzach, a podtrzymywanych przez bliskość obcych czołgów.

m.



**MASZYNY DO PISANIA Z POLSKIMI CZCIONKAMI**

**NOWOCZESNE POWIELACZE**

**DYKTAFONY**

**KALKULATORY**

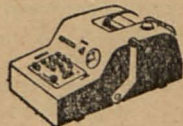
**ADRESARKI — KASY SKLEPOWE**

**MEBLE BIUROWE itp.**

**oraz MASZYNY DO LICZENIA.**

**DOGODNE SPŁATY**

**WYSYŁKA MASZYN DO POLSKI**



**T. KONDYCKI**

9, Pelham St., budynek kol. pod. South Kensington, London SW7. tel. KEN 6032



## Najnowsza historia Polski

### Fantastyczne “tło”

Jestem stałym i uważnym czytelnikiem działu „Najnowsza historia Polski” w „Kulturze”. Zainteresowanie moje dzieli na pewno cały szereg ludzi, opracowujących obecnie historię okresu międzywojennego, bądź też zbierających materiały do niej. Chciałbym tedy podzielić się z nimi uwagami, które nasunął mi artykuł p. Janusza Negryńskiego, zamieszczony w numerze 9/107 „Kultury”.

We wszelkich relacjach historycznych podpis autora ma bardzo ważne znaczenie dla oceny wartości danej relacji oraz dla sposobu jej traktowania. Nazwisko autora świadczy o tym, czy opisywane przezeń wypadki i stosunki są mu znane z pierwszej ręki, jako ich uczestnikowi lub świadkowi; czy mógł mieć informacje o nich z pewnych — i jakich — źródeł; wskazuje też — co jest rzeczą niepoślednią dla historyka wagi — z jaką ewentualnie tendencją autora, świadomą lub nieświadomą, należy się liczyć. W wypadkach kiedy autor relacji nie chce lub nie może publikować jej z własnym podpisem, powinien, zdaniem moim, wskazywać podstawy, na których się opiera w swoich stwierdzeniach, dotyczących faktów lub osób i ich wzajemnego stosunku.

Praca p. J. Negryńskiego nie odpowiada tym warunkom. Podpis jest oczywistym pseudonimem; w treści zaś znajdujemy wiele twierdzeń bardzo stanowczych i kategoriycznych, bez najmniejszej próby poparcia ich jakimikolwiek dowodami, bez powołania się na źródła informacji. Twierdzenia te są, niestety, częstokroć powierzchowne, bałamutne, lub wręcz błędne; ale podawane są z tak niezwykłą pewnością siebie, z taką swobodą w szafowaniu nazwiskami i informacjami, że mogą wprowadzić w błąd czytelnika, wywołując przekonanie, że pod pseudonimem ukrywa się ktoś z najwybitniejszych i najdokładniej obeznanych przedstawicieli środowiska, które p. Negryński opisuje. Przed tym błędem chciałbym przestrzec, poddając analizie szereg przykładów, zaczerpniętych z omawianego artykułu. Składa się on z dwóch części: krótkiego zarysu powstania i działań pisma i klubu „Gos-

*Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.*

podarka Narodowa”, poprzedzonego dwukrotnie większym wstępem, zatytułowanym „Tło”. Ten właśnie wstęp powoduje moje zastrzeżenia. Usiłuje on dać — na dwudziestu stronach druku — obraz stosunków, panujących we wszystkich dziedzinach naszego życia państwowego w latach 1930-ych, z częstymi dygresjami wstecz. Zamierzenie niezmiennie trudne do rzetelnego wykonania; pozwalam też sobie wątpić czy wstęp ten był istotnie potrzebny do relacji o działalności — bardzo cennej zresztą — niewielkiej grupy ludzi na ograniczonym odcinku i na przestrzeni niewielu lat. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że autorowi chodziło jednak bardziej o wstęp niż o rzecz samą.

Przechodzę do uwag konkretnych. Mówiąc o zmianach personalnych w okresie tworzenia rządu przez M. Kościłkowskiego (str. 82), p. Negryński pisze: „Wciągnięci zostają przedstawiciele innych ruchów niepodległościowych — nie I-ej brygady (Ulrych, b. „zarzewiak” Górecki — II-ga Brygada)”. W tym jednym zdaniu mieści się tyle błędów, że trzeba napisać zdań dziesiątek aby je sprostować. A więc: przeciwstawienie pierwszej brygadzie „innych ruchów niepodległościowych” jest już zasadniczym błędem; pierwsza brygada była formacją wojenną, w której skład weszli przedstawiciele szeregu przedwojennych ruchów niepodległościowych, między innymi „Zarzewia”; zarzewiak Ulrych był od początku oficerem właśnie pierwszej brygady. Cytowanie więc jego nazwiska na dowód jakiejś nowej ery i „wyciągania nowych ludzi” jest najfatalniejszą ilustracją tezy autora. J. Ulrych był jednym z najbardziej znanych oficerów I-ej brygady i czołowych przedstawicieli obozu Piłsudczyków przez cały okres przed rokiem 1935; cieszył się zaufaniem J. Piłsudskiego już od roku 1916, kiedy to był mu powierzane przez Komendanta funkcje, świadczące nie tylko o pełnym zaufaniu, ale i wysokiej ocenie jego wyrobienia politycznego (wybór pism J. Piłsudskiego, tom IV); przez cały czas zajmował on stanowiska wysoce odpowiedzialne i należał do grona ludzi, z którymi Marszałek Piłsudski pracował bezpośrednio. Drugi przykład — R. Góreckiego jest również chybiony, zarówno w zasadzie jak w osobie; nie było bowiem i przed rokiem 35-ym żadnej dyskryminacji w stosunku do ludzi II-ej brygady, zaś R. Górecki — piłsudczyk od roku 1918 — zajmował przez cały czas odpowiedzialne stanowiska, początkowo w wojsku, a następnie w życiu gospodarczym — i rok 1935 nie przyniósł co do niego absolutnie żadnej zmiany.

Przy tej sposobności zacytuję jeszcze jeden przykład braku orientacji p. J. Negryńskiego we wcześniejszej historii obozu piłsudczyków. Pisze on (str. 80) o „pogardliwym” stosunku piłsudczyków do społeczeństwa, przy czym wywodzi to z tradycji I-ej brygady, przechowanej w słowach pieśni: „Nie chcemy już od was uznania”. Gdyby znał historię I-ej brygady, szczególnie okresu w którym ta pieśń powstała, użyłby słowa: rozgoryczenie, a nie „pogarda”. Nie trzeba być szczególnie znawcą języka polskiego, aby rozumieć ogromną i głęboką różnicę między tymi dwoma słowami i pojęciami, którym one odpowiadają.

Przejdźmy do dalszych przykładów. Czytamy na str. 82 i 83: „Sławek wycofuje się z walki i rozwiązuje B.B.W.R. Sejm składa się z luźnych grup i „kół pułkowych” ... Poza parlamentem cierpliwą akcją przekonania nowego wodza sił zbrojnych, gen. Śmigłego-Rydza o potrzebie rządów „silnej ręki”, podejmuje Miedziński. „Lampka wina” dla legionistów I-ej brygady już w końcu października 1935 roku jest pierwszym krokiem Generalnego



Inspektora Sił Zbrojnych na arenie politycznej, uczynionym przy pomocy Miedzińskiego”.

Krótko, kategorycznie i wręcz fałszywie przedstawiony obraz. A oto prawda: nie było nigdy takiego nonsensu jak „koła pułkowe” w sejmie. Lampka wina u gen. Śmigłego-Rydza nie była dla I-ej brygady, lecz dla wszystkich wojskowych, którzy weszli w skład nowo obranego sejmu i senatu. Miedziński nie był jej organizatorem, chociaż wziął w niej udział. Ale to są rzeczy drobne; gdyby pewność siebie p. J. Negryńskiego, człowieka istotnie podstawy w znajomości ówczesnych stosunków, musiałby on wiedzieć rzeczy następujące: stosunki między gen. Śmigłym-Rydzem a mną przez długie lata bliskie a nawet serdeczne, uległy bardzo znacznemu rozluźnieniu po śmierci Marszałka J. Piłsudskiego i nominacji nowego Generalnego Inspektora Armii. W czasie opisywanym przez p. J. Negryńskiego, człowiekiem stojącym najbliżej Śmigłego-Rydza i będącym jego doradcą politycznym — był W. Stępczyński. Do marca 1936 r. bywałem u gen. Rydza-Śmigłego rzadko, mój kontakt z nim był raczej pośredni, przez A. Koca; zaś w marcu lub kwietniu 1936 r. nastąpiło zupełne zerwanie stosunków poza czysto formalnymi, które trwało aż do stycznia 1937. Przez cały ten czas ani razu nie rozmawiałem z nim na tematy polityczne, nie miałem sposobności wyrażania swego zdania, zaś o wszystkich zapadających wówczas decyzjach politycznych dowiadywałem się *ex post*. W jaki więc sposób mogłem prowadzić „cierpliwą akcję przekonywania generała Śmigłego-Rydza o potrzebie rządów silnej ręki” — pozostaje tajemnicą autora tej rewelacji. Oczywiście, błąd jego polega nie na tym, że tych rzeczy nie wie, bo doskonale może nie wiedzieć, ale na tym, że pisze o nich, jak przysłowiowy „nawoźnik”. Aby wyczerpać w tym miejscu wartość informacji p. J. Negryńskiego, dotyczących mojej działalności, przytoczę jeszcze jedną jego wzmiankę (str. 85), gdzie pisze on, że po wyborach 1938 r. marszałkostwo Senatu „jest dla Miedzińskiego nagrodą za torowanie dróg nowego ‘Wódza Narodu’”. Znowu kategorycznie i znowu błędnie. Termin „Wódz Narodu” nie istniał w ogóle ani w moim słownictwie, ani w moim myśleniu politycznym. Ani też nie był celem żadnej mojej akcji. Nie mogła mi więc przypadać „nagroda” za rzeczy, których nigdy nie robiłem. Nie może też być dla nikogo nagrodą stanowisko, którego nie chce. Prawda jest następująca: nie chciałem wziąć udziału w wyborach 1938 roku. Zgodziłem się jednak na przyjęcie mandatu do Senatu od Prezydenta R.P. Gdy następnie zwrócono się do mnie z propozycją kandydatury na marszałka Senatu, opierałem się temu i prosiłem usilnie marszałka Śmigłego-Rydza, aby mnie od tego zwolniono, nie z powodu fałszywej skromności, lecz ze względów najzupełniej rzeczowych; mianowicie, marszałkostwo Senatu pozbawiało mnie możliwości swobodnego przemawiania oraz pisania. Dla aktywnego polityka, który służył swemu obozowi ideowemu przez długie lata właśnie słowem i piórem, zaszczytny tytuł nie mógł powetować tak istotnej straty. Drugim względem, psychologicznej raczej natury, który przytoczyłem marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi, było to, że nie chciałem stwarzać pozorów, że tragiczne wypadki ówczesne stały się dla mnie jak gdyby szczytem do objęcia wyższego stanowiska; proponowałem więc, aby mi pozwolono przejść ze stanowiska wicemarszałka Sejmu, którym byłem poprzednio, na stanowisko wice-marszałka Senatu; to umożliwiłoby mi zarówno swobodne zabieranie głosu w obradach parlamentarnych, jak i pisanie w dalszym ciągu w „Ga-

zecie Polskiej” oraz redagowanie jej. Marszałek Śmigły-Rydz odmówił mojej prośbie, motywując swoją odmowę tym, że zarówno kierownictwo O.Z.N., jak rząd, stanowczo obstaje przy mojej kandydaturze na marszałka Senatu, zaś on sam uważa to również za wskazane. Jako karny członek swego obozu poddałem się decyzji, uzyskując jedynie poufne przyrzeczenie marszałka Śmigłego-Rydza, że sprawa mojej kandydatury na marszałka Senatu zostanie zawczasu przedstawiona Prezydentowi R.P. i jeżeli Pan Prezydent będzie miał najmniejsze zastrzeżenia, kandydatura moja zostanie poniekąd. Jednakże i tu moje nadzieje zawiodły. W „uproszczonej” wersji tej sprawy, podanej przez p. J. Negryńskiego nie ma oczywiście miejsca na przypuszczenie — bynajmniej nie bezpodstawne — że owa rzekoma „nagroda” mogła mieć raczej charakter zaszczytnego przesunięcia na boczny tor...

Powróćmy jednak do roku 1937, gdy zerwany poprzednio kontakt mój z marszałkiem Śmigłym-Rydzem — zerwany z inicjatywy tego ostatniego — został wznowiony przez zaproszenie mnie do przedyskutowania i zaopiniowania projektu deklaracji O.Z.N. Sprawa ta doprowadziła nieomal do ponownego zerwania kontaktu. Jednakże został on utrzymany i trwał przez rok 1937 i 1938 w dość ścisłej formie, obejmując bardzo sporne wówczas na najwyższym szczeblu sprawy polityki O.Z.N., głównie zaś sprawę próby porozumienia z opozycją — przede wszystkim ze Stronnictwem Ludowym oraz pewnymi grupami intelektualistów. P. J. Negryński myli się bowiem sądząc, że próby te zostały zaniechane po dymisji rządu M. Kościłkowskiego. Przeciwnie, zostały one podjęte i prowadzone przez długi szereg miesięcy w ciągu roku 1937. Do akcji tej przywiązywałem najwyższą wagę; i w tym kierunku, a nie w kierunku „silnej ręki” lub „wodzostwa narodu” starałem się w miarę mych możliwości, wpływać na marszałka Śmigłego-Rydza i mych przyjaciół politycznych. Wielokrotnie w tych czasach zabierając głos na konferencjach z nimi, zaczynałem od słów: „Przypominam wam, że Józef Piłsudski nie żyje”. To, dziwaczne na pozór przypomnienie, uważałem za godzące w sedno rzeczy, ponieważ zbyt wielu ludzi, przy całym ich oddaniu Józefowi Piłsudskiemu za życia i przy całej głębokości i szczerości ich żalu po jego śmierci, nie zdawało sobie sprawy z nieuniknionych i niezmierznie ważkich skutków jego odejścia. Uważałem, że śmierć Komendanta stworzyła dla obozu rządzącego w Polsce kryzys tak właśnie głęboki, jak głębokim był wpływ tego człowieka na bieg rzeczy w Polsce i na ogromny zastęp ludzi, którzy byli dobrowolnym i niezawodnym narzędziem jego politycznej pracy. Główną siłą obozu piłsudczyków — mówiłem wówczas — był sam Piłsudski. Jego siła i zdolność decyzji z jednej strony, z drugiej zaś jego osobisty autorytet, który jedynie był bezwzględnie uznawany w całym tym wachlarzu o wielkiej rozpiętości jakim stał się obóz Piłsudskiego po maju 1926 roku. To wszystko przestało istnieć. Autorytet Piłsudskiego nie powstał z nominacji, ani też nie był związany z żadnym stanowiskiem formalnym, które zajmował. Nie da się też zastąpić przez nominację. Piłsudczycy bez Piłsudskiego są grupą zbyt słabą aby móc stanowić dostateczną bazę do rządzenia państwem. W dodatku — w braku jego autorytetu — musi w tej grupie nastąpić rozkład na części składowe, odpowiadające indywidualnym lub grupowym różnicom poglądów na zagadnienia życia państwowego i społecznego. (Temu ostatniemu pogładowi dałem wyraz w głośnym swego czasu artykule „Gazety Polskiej” pod tytułem „Dekompozycja”).

Za jedyne wyjście z tej sytuacji uważałem rozszerzenie podstawy spo-



lecznej rządzenia państwem. Za krok główny w tym kierunku uważałem osiągnięcie porozumienia ze Stronnictwem Ludowym oraz mniejszymi grupami intelektualnymi, uzgodnienie z nimi nowej ordynacji wyborczej i zbudowanie na tej podstawie stałej większości parlamentarnej z pozostawieniem w opozycji z jednej strony P.P.S., zaś stronnictw reakcyjno-zachowawczych z drugiej. Nigdy bowiem nie sądziłem, aby parlament bez opozycji był cośkolwiek wart. Uważałem jednak, że obowiązkiem obozu piłsudczyków było przejść przez okres przejściowy, przez kryzys po śmierci Piłsudskiego, w sposób zorganizowany i planowy bez narażania stosunków w Rzeczypospolitej na nagłe wstrząsy i nieobliczalne osłabienie. W tym zagadnieniu zarysowała się już w roku 1935 różnica między mną a W. Sławkiem. Nie mogąc się zgodzić na jego ówczesną taktykę i uważając za konieczne aby obóz piłsudczyków, dla spełnienia swego zadania, prowadzony był przez możliwie silny i skupiający autorytet, — widziałem autorytet ten w osobie Śmigłego-Rydza. Nie dlatego, że objął on stanowisko Generalnego Inspektora Armii po marszałku Piłsudskim, ale dlatego że już raz w niezmiernie ciężkim okresie — okresie magdeburskim — jako Komendant Główny P.O.W. z decydującym głosem w „Konwencie”, przeprowadził on ówczesny obóz niepodległościowy przez okres ten z tak pomyślnym wynikiem, że Piłsudski, w momencie powrotu do Warszawy w krytycznych dniach listopada 1918 roku, znalazł gotową i tęą siłę, na której mógł się oprzeć.

Trudno też przejść bez zastrzeżeń nad informacjami p. J. Negryńskiego o przebiegu konfliktu między Prezydentem J. Mościckim a W. Sławkiem we wrześniu 1935 roku. Z relacji jego wynika, że Prezydent Mościcki zagroził Sławkowi wysunięciem kandydatury profesora K. Bartla do plebiscytu, jeśliby zgromadzenie elektorów wybrało Sławka na Prezydenta. Jak wiadomo, Prezydent Mościcki zdecydował wówczas — wbrew opinii nie tylko W. Sławka lecz i wszystkich piłsudczyków z bezpośredniego otoczenia Marszałka Piłsudskiego, że wprowadzenie nowej konstytucji nie wymaga jego rezygnacji i nowej elekcji i że zamierza pozostać na swym stanowisku do końca kadencji, do roku 1940. Jakże więc mógł mówić z W. Sławkiem o ewentualnym wyniku elekcji i o plebiscycie?

Ponadto — Prezydent Mościcki uznawał, że życzeniem Marszałka Piłsudskiego było, aby następcą I. Mościckiego na prezydenturze był Walery Sławek i uważał za swój obowiązek zrobić wszystko, aby życzeniu temu stało się zadość. Już w grudniu 1935 roku powiedział dyrektorowi swej kancelarii Świeżawskiemu, że gdyby był zdecydował się ustąpić we wrześniu 1935 roku i gdyby zgromadzenie elektorów wówczas wybrało na Prezydenta kogokolwiek innego, a nie W. Sławka, Prezydent wyznaczyłby go jako swego kandydata i zarządził plebiscyt. To samo powtórzył mi Prezydent Mościcki bezpośrednio w roku 1938, dodając do tego, jak zwykle, słowa swego najwyższego uznania i poważania dla Sławka. Jakże tedy mógł Sławkowi we wrześniu 1935 roku grozić wystawieniem kontrkandydatury Kazimierza Bartla na plebiscyt przeciwko jego ewentualnej elekcji? Tu już fantazja p. J. Negryńskiego poniosła go poza wszelkie granice prawdopodobieństwa.

Sądzę, że przytoczyłem dość przykładów, aby umotywić moją przestrożę przed przyjmowaniem za dobrą monetę obrazu namalowanego przez p. J. Negryńskiego w jego fantastycznym „Tle”.

Co do samego szkicu działalności „Gospodarki Narodowej” mam tylko jedną uwagę. Autor miał chyba dostateczną możność obserwowania co się

działo na wschód i na zachód od Polski w ostatnim dwudziestolecu, a w samej Polsce w ostatnim lat dziesiątku, aby poznać znaczenie terminu „dyktatura policyjna”. I nie powinien był tak łatwo szafować tym słowem pod adresem przedwojennej Polski. To zaś wywołało potrzebę mozolnego tłumaczenia dlaczego jednak grupa „Gospodarki Narodowej” cieszyła się tak znaczną swobodą działania w owej „policyjnej dyktaturze”. Tłumaczenie jego jest zgoła nieprzekonywujące a przede wszystkim niepotrzebne. Prawda polega po prostu na tym, że ogromna większość decydujących wówczas w kraju ludzi obserwowała działalność tej grupy z zainteresowaniem i niewątpliwą sympatią, która przetrwała do dziś, mimo nawet, że tak znaczny zastęp członków tej grupy — jak wynika z relacji p. J. Negryńskiego — zaofiarował w roku 1945 swą współpracę stalinowskiemu reżymowi w Polsce.

Bogusław MIEDZIŃSKI

Londyn, 8. 10. 56.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. Janusza Negryńskiego „Gospodarka Narodowa” (Nr 9/107 „Kultury”) zawiera w trzeciej części dużo ciekawych wiadomości o działalności zespołu „Gospodarki Narodowej” w okresie międzywojennym. Niestety, autor w II-ej części swego artykułu niepotrzebnie zapuścił się w tę dziedzinę pracy państwowej, która, jak się z jego wypowiedzi okazuje, była mu zupełnie nieznaną. Mam tu na myśli jego uwagi krytyczne o pracy administracji wojskowej. Dla podkreślenia swojego stanowiska autor artykułu przytacza kilka przykładów, które nie tylko nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, ale nawet wkraczają w dziedzinę fantazji i bajek. Ponieważ czytelnik, nie obznajmiony bliżej z tymi zagadnieniami mógłby dojść na podstawie tego artykułu do fałszywej oceny pracy wojska proszę Pana Redaktora o umieszczenie w „Kulturze” tych paru zdań odpowiedzi na poruszone w powyższym artykule zarzuty.

Najpierw sprawy amunicji do działek przeciwlotniczych Boforsa i sprzedaży Wielkiej Brytanii pewnej ilości tych działek. Cały fantastyczny wywód autora artykułu na ten temat opiera się na założeniu, że w Polsce nie produkowano amunicji do tych działek. Otóż to jest nieprawdą. Polska zawarła w roku 1935 umowę z firmą szwedzką Boforsa na dostawę niedużej ilości działek 40 mm. wraz z amunicją oraz zakupiła licencję na wyrób tak działek, jak i amunicji w Polsce. Natychmiast po otrzymaniu pierwszych sztuk działek i pocisków do nich przemysł nasz przystąpił do zorganizowania ich produkcji u nas. Niestety, o ile produkcja działek ruszyła bardzo szybko, to produkcja amunicji uległa opóźnieniu na skutek trudności, jakie napotkano przy produkcji zapalników, które w amunicji przeciwlotniczej są wyjątkowo trudne do opanowania w masowej produkcji. W końcu jednak trudności zostały opanowane i w roku 1938 produkcja amunicji była uruchomiona. Na skutek jednak tego opóźnienia wytworzyła się w drugiej połowie



1938 roku taka sytuacja, że mieliśmy więcej działek, niż amunicji do nich. Według ustalonych przez specjalną komisję norm, dzienna dotacja amunicji w czasie wojny wynosiła na każde działko 200 pocisków, miesięcznie zatem 6.000 pocisków, co przy ograniczonej zdolności produkcyjnej naszych wytwórni amunicji i ograniczonych możliwościach finansowych spowodowało, że na rok 1939 władze wojskowe były zmuszone zamówić mniejszą ilość działek, niż wynosiła zdolność produkcyjna wytwórni działek. Było to konieczne do przywrócenia równowagi między ilością działek a amunicją do nich. Gdy zatem na przełomie 1938-1939 roku Wielka Brytania zwróciła się do nas za pośrednictwem firmy Bofors o zgodę na zamówienie w naszych wytwórniach pewnej ilości działek władze wojskowe nie miały żadnych podstaw do odmówienia swojej zgody. Nie naruszało to bowiem wysokości naszych zamówień, a dawało nam następujące potrójne korzyści: 1) dawało funty bardzo nam potrzebne na zakup surowców; 2) pozwalało na utrzymanie w wytwórniach większej ekipy wykwalifikowanych robotników, co miało bardzo poważne znaczenie! 3) wreszcie dawało nam możliwość w wypadku zbliżania się wojny na zatrzymanie wyprodukowanych a nie odesłanych jeszcze działek dla własnych potrzeb. Tak się też i stało. Część działek została zatrzymana w wytwórniach i służyła do obrony przeciwlotniczej tych wytwórni, część zaś zatrzymano w Gdyni przed załadowaniem i wzmocniono nimi obronę przeciwlotniczą portu i miasta.

Ażebym swój wywód uczynić jeszcze więcej paradoksalnym autor artykułu pisze: „Polska zamówiła wówczas naboje produkowane we francuskiej fabryce Hotchkiss. Ale pomimo, że w zasadzie naboje te były tego samego kalibru, co armatki Boforsa, wyrabiane w Polsce (8,8) — do nich nie pasowały”. Naturalnie, że nie byłyby pasowały, bo pociski 8,8 mm. nie mogą pasować do działek 40 mm. Autor coś usłyszał, nic nie zrozumiał, ale to mu nie przeszkadza zabierać głosu na ten temat w poważnym piśmie i jeszcze domagać się ustalenia, kto temu winien. Domyślam się, skąd się wzięła ta bajeczka. Jest rzeczą prawdopodobną, że władze wojskowe zamówiły we Francji amunicję do karabinów maszynowych Hotchkiss, których mieliśmy w Polsce duże ilości z czasów, gdy Polska zakupywała broń we Francji, a które zostały w planie mobilizacyjnym wykorzystane dla sformowania ze starszych roczników pewnej ilości oddziałów karabinów maszynowych do zadań obrony przeciwlotniczej mostów kolejowych i drogowych na głównych liniach komunikacyjnych. Ale amunicja ta nie miała nic wspólnego z 40 mm. działkami przeciwlotniczymi.

P. Negryński uważa za „zupełny nonsens”, by minister Skarbu występował do władz wojskowych z żądaniem zdobywania dewiz przez sprzedaż produkowanego u nas sprzętu uzbrojenia. Nie wiem, na czym opiera p. Negryński swoje twierdzenie, z mojego bowiem doświadczenia wiem, że było zupełnie inaczej. Nacisk ministra Skarbu w tym kierunku powtarzał się stale przy każdym żądaniu dewiz przez władze wojskowe. Miał on miejsce również wtedy, gdy Wielka Brytania wystąpiła do nas o wyrażenie zgody na zamówienie działek przeciwlotniczych w naszych wytwórniach. Dał się on szczególnie odczuć w okresie wojny domowej w Hiszpanii, kiedy sprzedawaliśmy dużo starego sprzętu za dewizy.

Bajeczki o dykcie, która miała stanowić zagadnienie obrony Państwa oraz o ilościach żelaza, potrzebnego do wyrobu lanc ułańskich są tak niepoważne, że nie wymagają odpowiedzi.

Na zakończenie przytoczę jeszcze jeden ustęp z artykułu p. Negryńskiego. Pisze on: „Gdyby wojna nie wybuchła — Polska doszłaby do największego potencjału wojennego gdzieś a przełomie roku 1940-1941”. Najpierw data nie prawdziwa, następnie określenie „największy potencjał wojenny” nie ma w tym wypadku w ogóle sensu. Potencjał wojenny jest wartością względną, można mówić, że byłby większy w stosunku do innego

określonego państwa, ale co znaczy „największy”? Chyba autor nie miał na myśli wielkości w znaczeniu globalnym. A jeżeli słowo największy autor rozumiał w znaczeniu zamierzonego przez Polskę potencjału wojennego w porównaniu z dotychczas posiadanym, to przecież nie mógł przypuszczać, że po osiągnięciu go nie będziemy go dalej rozwijać. A więc znowu nie największy.

Szkoda, że autor artykułu nie przeczytał uprzednio doskonałej pracy Komisji historycznej Polskiego Sztabu Głównego w Londynie pt. „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”, tom I, która w sposób obiektywny i ścisły omawia nasze przygotowania do wojny. Fakt, że autor wykazujący zainteresowanie w tej dziedzinie pracy tej nie przeczytał nasuwa mi podejrzenie, że autor nie mógł jej przeczytać, przebywa bowiem tam, gdzie praca ta jest niedostępna to jest w kraju.

Łączę wyrazy szacunku.

Józef WIATR, gen. bryg.

**NIE ZWLEKAJ Z ZAMÓWIENIEM**

**AŻ KSIĄŻKA BĘDZIE WYCZERPANA**

**JUŻ PRAWIE 2000 EGZEMPLARZY SPRZEDANYCH**



**ZOFIA ROMANOWICZ**  
**BAŚKA I BARBARA** 

Cena egzemplarza frs 500, sh. 10/., dol. 1,50.

Zamówienia prosimy kierować do:

**„LIBELLA” — Składnica Książek Polskich**

12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris 4. (France)

**Warunki sprzedaży:**

We Francji książkę wysyłamy po wpłacie sumy frs 500 — na nasze konto pocztowe CC Paris 5651-50, lub za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze.

Do Belgii, Włoch, Holandii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga oraz Austrii, książkę wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze, lub po otrzymaniu należności.

Do innych państw jak USA, Kanada, Brazylia itd., książkę wysyłamy DOPIERO po otrzymaniu należności, którą bez trudu można nam przesłać za pośrednictwem poczty — „international money order” — na nasze konto pocztowe CCP Paris 9709-46 lub czekiem bankowym wystawionym na „Libella”.



## *Kronika kulturalna*

# Spotkanie historyków w Tybindze

„Na zaproszenie Instytutu historii i geografii Europy Wschodniej przy uniwersytecie tybingeńskim, odbyła się tam, w dniach 10-13 października 1956, polsko-niemiecka rozmowa historyków przy udziale prof. dra Tytusa Komarnickiego, wiceprezesa polskiego Instytutu badań spraw międzynarodowych w Londynie, i historyka wojskowości płk. Sawczyńskiego z Instytutu im. gen. Sikorskiego. Obrady otwarli prorektor uniwersytetu tybingeńskiego prof. dr. Eisser i kierownik wymienionego wyżej Instytutu historii i geografii Europy Wschodniej prof. dr. Werner Markert. Głównym przedmiotem rozmów poświęconych trzeźwemu rozważeniu i wyjaśnieniu przeszłości były referaty prof. Komarnickiego o stosunkach niemiecko-polskich w okresie międzywojennym i dra Roos'a z Tybingi o głównych zagadnieniach polskiej polityki zagranicznej po 1930. Z rozmów tych, prowadzonych z liczącą uczonych otwartością, wyłoniło się zgodne przekonanie o potrzebie obustronnej rewizji poglądów historycznych oraz dalszej wymiany zdań, poświęconej poszczególnym okresom historii. Uczestnicy spotkania udali się następnie do Monachium, zaproszeni przez tamtejszy Instytut historii współczesnej, dla wymiany zdań o zagadnieniach tego działu badań historycznych”.

Komunikat powyższej treści zredagowany został na użytek czasopism historycznych niemieckich. W prasie codziennej niemieckiej spotkanie historyków nie wywołało liczniejszych komentarzy. Harald Laeuen, autor wzmiankowanej w poprzednim numerze „Kultury” książki o idei jagiellońskiej, omówił je w „Ost-West-Kurier” z 20 października. Z artykułu jego przytoczymy następujące słowa:

„W ostatnich dniach podjęta została od wojny próba nawiązania kontaktu niemiecko-polskiego w zakresie badań historycz-

nych. Niewielka grupa osób zgromadziła się na zamku w Tybindze dla omówienia stosunków niemiecko-polskich w okresie międzywojennym. Polscy uczeni i dziennikarze, wspólnie z historykami niemieckimi, usiłowali oświecić z różnych stron bieg wypadków zakończonych tragicznie dla obu stron.

„Wszyscy uczestnicy wnieśli do rozmów niezbędny zasób dobrej woli w poszukiwaniu prawdy. Wkrótce też wytworzyła się atmosfera szczerą i przyjazną, w której obie strony okazały gotowość do przejrzenia na nowo źródeł i poddania rewizji ustalonych poglądów. Ze strony polskiej padło słowo o „duchu tybingeńskim”, mającym ożywiać dalszą wymianę zdań, obejmującą różne okresy przeszłości.

„Celem rozmów nie były żadne tanie kompromisy; wszyscy zresztą byli w tym zgodni. Punkty widzenia, z których obie strony widzą przeszłość różniły się i różnić się będą zapewne i nadal. Niemcy poszukiwali w Tybindze rozwiązań ponadnarodowych i federalistycznych, podnosząc konieczność przezwyciężenia narodowej koncepcji państwa i rozluźnienia granic, gdy myśl Polaków ześrodkowana była na ich sprawie narodowej. W tym duchu Polacy przeżywali toczące się właśnie wypadki w ich ojczyźnie, broniące się przeciw politycznemu i duchowemu podporządkowaniu wzorom obcym. Cała zawziętość obecnej sytuacji Europy występowała jasno w tych rozmowach.

„Dyskusje historyków nie mogą mieć żadnych skutków politycznych i nie stawiają sobie zresztą takich celów; prowadzą natomiast do wzajemnego poznania i w ten sposób mogą sprzyjać rozwiązaniu zagadnień politycznych. W tym sensie spotkanie tybingeńskie, które zawdzięczamy inicjatywie prof. Wenera Markerta, przedsięwzięciu kierownika tamtejszego Instytutu wschodnio-europejskiego, było bardzo obiecującym początkiem”.

W uzupełnieniu powyższych wiadomości można by dodać, że referaty prof. Komarnickiego i dra Roos'a nie wywołały żadnej zasadniczej dyskusji. Dwóch uczonych niemieckich zabrało kolejno głos oświadczając, że szacunek dla odmiennego zdania uważają za rzecz ważniejszą od uzgodnienia poglądów. Podczas pięciu wspólnych posiedzeń uczestnicy polscy mieli natomiast sposobność zapoznania się ze stanem i obecnymi kierunkami badań historycznych w Niemczech. Uczestnicy niemieccy, doskonale na ogół zorientowani w sprawach polskich, okazali żywe zainteresowanie badaniami historycznymi i literaturą polską na obczyźnie.

Trzech uczestników niemieckich było w niewoli rosyjskiej i poznało Rosję z tej samej strony, z której od wielu pokoleń znają ją Polacy. Jeden z nich, przebywając przez długie lata w łagrach sowieckich, spotykał tam często Polaków. Ze wszystkich więźniów — mówił — Polacy najwięcej piszą. Jest to ich sposób ucieczki od strasznej rzeczywistości. Przechowywane w łagrach rękopisy trafiają w końcu do archiwów Gulagu, w których znajdować się musi obszerny i nieznany dział polskiej literatury na obczyźnie. W jednym z łagrów okręgu Pot'ma Po-



lacy pokazywali mu wśród innych papierów odpis artykułu z wychodzącego w Paryżu miesięcznika „Kultura”.

Poza posiedzeniami uczestnicy spotykali się przy wspólnych posiłkach, zmieniając za każdym razem sąsiadów, co dało okazję do wielu rozmów *a parte*, będących, jak wiadomo, najlepszą częścią wszystkich kongresów.

Bardziej jeszcze niż serdeczność, z jaką Niemcy przyjmowali u siebie polskich emigrantów, zwracał uwagę ich cierpliwy wysiłek wyobraźni w celu znalezienia z zaproszonymi wspólnego języka. Kompromisy — będące zadaniem polityków — obchodzą się bez wspólnych pojęć; są podobne do transakcji handlowych, które — jak mówił pewien angielski mąż stanu — można zawierać także z kannibalami. Znalezienie wspólnego języka jest osiągnięciem trudniejszym, lecz zostawiającym trwalsze ślady, i tu zdaje się leżeć nowość tybingeńskiego spotkania.

Wzajemna obcość Polaków i Niemców nie datuje się — jak wielu myśli — od ostatniej okupacji, lecz jest zjawiskiem nierównie starszym. Od 1918 Polska i Niemcy znajdują się w stanie zimnej lub gorącej wojny, hamującej między nimi stosunki gospodarcze i procesy wymiany. Polacy przestali „jeździć do wód” i uczyć się w szkołach wyższych niemieckich. Warszawa była jednym z niewielu miast w Europie nie posiadających swego Goethe-Gesellschaft. Ten stan rzeczy spowodował rozluźnienie się łączących od wieków oba kraje stosunków kulturalnych. Co rok malała w Polsce liczba osób znających język i sprawy niemieckie. Zygmunt Lempicki, który wyszkolił na uniwersytecie warszawskim niewielką grupę germanistów, zginął w obozie koncentracyjnym niemieckim. Lata okupacji wreszcie stworzyły między obu narodami przepaść nie sprzyjającą wzajemnemu poznaniu. Nawet podjęte między Warszawą i Berlinem próby zbliżenia między marksistami obu krajów, nie znalazły większego echa. Pierwszym znakiem jakichś nowych stosunków między krajem i Niemcami jest ogłoszony ostatnio niewielki tomik Marii Dąbrowskiej, zawierający wspomnienia z podróży literackich do Niemieckiej Republiki Ludowej.

Ślady tej przeszłości widoczne są także na emigracji, gdzie liczba znających język i sprawy niemieckie jest znikoma. Wśród studiujących dziś znów w Republice związkowej cudzoziemców niewielu się znajdzie Polaków.

Poznanie Niemiec nastęrczało zresztą zawsze obcym pewne trudności. Nowa Republika jest federacją krajów zachowujących własne oblicze. Poznanie ich wymaga czasu i możliwości podróżowania. Przez długie lata książki niemieckie, drukowane w niedostatecznej ilości egzemplarzy, były mało dostępne dla obcych. Wreszcie szybkie przemiany ogólne — od ruin powojennych do obecnej zamożności — przystaniały często patrzącemu odbywającą się w tym kraju pracę myśli.

Obok tych niejako mechanicznych przyczyn wzajemnego odalenia istniały też przyczyny bardziej subtelne, których obecność wyczuwali na dnie rozmów nawet Polacy i Niemcy ciesząc się

wzajemną sympatią i zaufaniem. Chciałbym się na nich przez chwilę zatrzymać, ponieważ rozpoznanie ich objaśni, dlaczego pierwszy przyjazny kontakt polsko-niemiecki miał miejsce między osobami zajmującymi się z daleka lub z bliska historią.

W zetknięciu z Niemcami Polacy przybierali i przybierają dotąd postawę obronną, wynikłą z długotrwałego poczucia zagrożenia przez silniejszego przeciwnika. Powstałe w tych warunkach szablony myśli są często trwalsze od motywujących je okoliczności. Jest bowiem jasne, że ostatnia wojna była dla Europy tym, czym dla Grecji była wojna poloponeska. Wtłoczone między dwa nierównie silniejsze mocarstwa, państwa europejskie nie mogą sobie dziś wzajemnie zagrażać, i wszelka inicjatywa ich w tym kierunku byłaby skazana na niepowodzenie. Świadczące o tym fakty znane są wszystkim czytelnikom gazet, wnioski jednak wyciągane z nich przez naszych współczesnych są nie tyle ostrożne co nieśmiałe. W okresach wielkich przemian myśl zbiorowa zdaje się nie zdążyć za wypadkami.

Gotowe wzory myśli okazały podobną trwałość także po stronie niemieckiej. Przez dwa wieki — z wyjątkiem intermezza napoleońskiego — historia Niemiec zdawała się być nieustannym pochodem triumfalnym. Kiedy Polacy zajęci byli rozpamiętywaniem klęsk narodowych i osobistych, potęga Niemiec wzrastała nieprzerwanie. Sama stałość i ciągłość tego procesu wywoływała wrażenie, że nie jest on zjawiskiem przypadkowym, lecz dziełem kilku pokoleń niemieckich mężów stanu i organizatorów. Wszystkie ich poczynania zdawały się mieć w sobie zadatki powodzenia. Niemcy patrzyli w przeszłość z zadowoleniem, obejmującym bez różnicy liberalizm i absolutyzm, „sędziów berlińskich” i kręte drogi racji stanu, rozwój nauki i sił zbrojnych. Nawet w rozmowach z niemieckimi przyjaciółmi Polacy wyczuwali obecność dwóch odmiennych hierarchii wartości: niemieckiej, zrodzonej z stu lat powodzenia, i polskiej, powstałej z potrzeby trwania bez żadnej zachęty ze strony pani Fortuny. Okres Republiki wejmarskiej nie przyniósł w tej dziedzinie żadnych zmian. Idąc za odziedziczonymi po wiekach powodzenia wzorami myśli, opinia niemiecka dążyła żywiołowo do rewizji granicy z Polską, nie biorąc pod uwagę nowego układu sił w Europie, pozwalającego Niemcom w razie konfliktu zaledwie na utrzymanie granicy Odry.

Prawdziwe czy zmyślane, fakty historyczne żyją przez wieki w pamięci ludów, stają się tworzywem poetów i częścią składową języka potocznego. W wzrastającej przez sto lat wzajemnej obcości Polaków i Niemców ich odmienna ocena przeszłości grała rolę trudną do przecenienia. Tym większe znaczenie przypada odbywającej się w Niemczech od dziesięciu lat rewizji przeszłości.

Wojna ostatnia nie przyniosła zmian na granicy zachodniej Niemiec. Rozstrzygającą klęskę, przesądzającą o roli Niemiec i Europy w otwierającym się przed nami rozdziale historii, świat germański poniósł na Wschodzie. Opanowanie myślą tego zja-



wiska, do którego nie przygotowywała Niemców ich historiografia, wymagało rozpatrzenia na nowo historii Prus i stosunków Niemiec z sąsiadami wschodnimi. Rewizja odnośnych pojęć i ocen zaczęła się natychmiast po zakończeniu wojny. W warunkach okupacyjnych dążąca w tym kierunku praca myśli posuwała się niedostrzeżenie. Pierwszym znanym mi wyrazem jej był przed ośmioma czy dziewięcioma laty artykuł w „Deutsche Rundschau”, gdzie prof. Otto von der Gablenz omawiał zniknięcie państwa pruskiego. W miarę odbudowy uniwersytetów i ośrodków badań, praca nad uporządkowaniem na nowo przeszłości przybrała wielkie rozmiary, zatrudniając niezliczonych pracowników naukowych. Z gruba odróżnić można trzy aspekty tego rozwoju.

Pierwszym z nich jest rozwój badań dotyczących tak zwanej Zeitgeschichte, historii najnowszej, od 1917 do chwili obecnej. Historia współczesna nie jest dyscypliną nową, bo posiada niezrównane wzory w Tucydysie i Tacycie. Nowością natomiast jest miejsce, jakie zajęła w Niemczech w nauczaniu. Większa część profesorów historii nowożytnej uwzględnia ją w wykładach i seminariach. Naczelne miejsce zajmuje oczywiście w takich instytucjach jak berlińska Hochschule für Politik. Służy jej wreszcie monachijski Institut für Zeitgeschichte, posiadający bogatą bibliotekę i publikujący „Vierteljahrhefte für Zeitgeschichte”.

W pojęciu teoretyków tej dyscypliny naukowe badanie historii współczesnej jest niezbędną przesłanką wszelkiej sensownej polityki. Aby dać przykład, jak wyglądać ma naukowe badanie stosunków niemiecko-polskich, przytoczymy tu z artykułu prof. Theodora Eschenburga o zadaniach historii współczesnej następujący passus: „Przemówienie, w którym minister rządu związkowego Oberländer, stawiając obok siebie okrucieństwa hitlerowskie i brutalne wypędzenie Niemców ze Wschodu, oświadcza publicznie, że nasze rachunki ze światem zostały w ten sposób wyrównane, jest niepokojącą zachętą do tworzenia legend, nie mówiąc już o wrażliwości, jakie oświadczenie ministra musiało wywrzeć zagranicą. Brutalne wypędzenie Niemców nie usprawiedliwia wcale poprzednich okrucieństw hitlerowskich, lecz jest ich ponurym następstwem. Przytoczone wyżej rozumowanie ministra ukazuje niebezpieczeństwo płynące z nierzeczonego traktowania historii współczesnej i z jej uczuciowej interpretacji”.

Innym aspektem tych samych prądów jest powstanie niezliczonych instytutów badania Europy Wschodniej, gromadzących materiały i opracowujących różne zagadnienia bieżące lub dotyczące niedawnej przeszłości.

Trzecim wreszcie aspektem są prace bardziej ambitne, mające na celu głębokie wyświetlenie wielkich zagadnień historycznych Europy Wschodniej. Przykładem takiej pracy jest dzieło prof. Gottholda Rhode o granicach wschodnich Polski, którego

pierwszy tom, obejmujący okres do 1401, z imponującym wykazem źródeł i literatury, ukazał się właśnie w druku.

Rewizjonizm historyczny niemiecki wynika z potrzeby ustalenia wypadków dawniejszych w sposób tłumaczący wypadki ostatniego okresu i jest nieuniknionym następstwem sytuacji, jaka wytworzyła się w Niemczech i w Europie po 1945. Dla kontaktów i dyskusji niemiecko-polskich powstały stąd warunki, jakich brak było przez blisko sto lat. Znikły zahamowania powstałe z odmiennej interpretacji przeszłości; różnice zdań nie wywołują więcej zakłopotanego milczenia. Doniosłość tych zmian uderza zwłaszcza w rozmowach z historykami młodszymi, wyszkolonymi w swej dyscyplinie w ostatnim dziesięcioleciu.

Rewizjonizm historyczny niemiecki posiada wreszcie pewne aspekty bardziej ogólne, przechodzące zagadnienie stosunków polsko-niemieckich. W latach okupacji Europy przez armie hitlerowskie i później, w chwilach największej prostracji politycznej i moralnej naszego kontynentu, słyszałem nieraz i widziałem nawet w druku zdanie, że w nowym porządku świata Europejczycy mogą pretendować chyba tylko do roli Greków w imperium rzymskim. Przychodziło mi wówczas na myśl, że Grecy nie przyjmowali wiary zwycięzców, i że dla inteligencji europejskiej, gotowej do podporządkowania się wszelkiej dogmatyce urzędowej, i te nawet skromne ambicje są być może przesadne. Potrzeba krytycznego spojrzenia na przebytą drogę, rewizjonizm historyczny i miejsce, jakie zjawiska te zajęły w życiu umysłowym Niemiec obecnych, świadczyłyby, że okres najgłębszej prostracji duchowej naszego kontynentu już minął. Jeden z historyków tybingeńskich zwrócił uwagę także na inne przemiany, mianowicie na pewne przesunięcie się pojęcia wolności w skali wartości narodowych Niemiec. Zjednoczenie kraju stało się dziś możliwe za cenę rozszerzenia się dyktatury komunistycznej na Niemcy Zachodnie. Dla Niemców epoki nacjonalizmu zjednoczenie narodu byłoby ważniejsze od wolności, w Niemczech dzisiejszych wolność góruje nad zjednoczeniem.

Słowa uczzonego profesora były oczywiście wielkim uproszczeniem, które — jak wszystkie uproszczenia — nie obejmują stanu rzeczy nierównie bardziej złożonego. Poprzedniego dnia właśnie przeczytałem w gazecie o demonstracjach ulicznych w Bonn przeciw ministrom nie broniącym rzekomo dość energicznie postulatów rewizji granicy z Polską. Zapal demonstrantów przy nikłej aktualności sprawy pozwolił wnosić, że chodziło tu przede wszystkim o zasady, i że hierarchia wartości narodowych z czasów Hugenerga liczy jeszcze w Niemczech pewną ilość gorących zwolenników. Jako nieuniknione echo tych demonstracji, po drugiej stronie Odry dała się słyszeć odezwa do wojska generała Spychalskiego, tłumacząca żołnierzom, że alians z Rosją jest jedyną gwarancją granicy zachodniej kraju.



## Zalew manieryzmu

Gdy mniej więcej osiemdziesiąt lat temu impresjoniści francuscy rozpoczęli bitwę o nową wizję epoki — hasło ich streszczało się w powiedzeniu, zdaje się, Moneta: „Sztuka to natura widziana przez pryzmat duchowy artysty”. Czy dałoby się zbudować orzeczenie, które by streszczało to, o co walczy dziś awangarda plastyki zachodniej?

„Stworzyć przedmiot *a priori*!” — oto wyciąg z tęsknot bojowców o wyraz dzisiejszy w malarstwie. Przedmiot „*a priori*” to znaczy nie odtworzenie lub nawet przekształcenie w sztuce czegoś co przed ogląd daje nam natura; przedmiot „*a priori*” to stworzenie formy mocą własnego ducha, możliwie niezależnej od obserwacji świata zewnętrznego i niepotrzebującej w konsekwencji uzasadniania przez odwoływanie się do przedmiotów w tym świecie bytujących.

Ta tęsknota oderwania się w sztuce od przedmiotów w naturze, a raczej od mniej lub więcej swobodnego naśladowania ich wyglądu, jest istotą współczesnego „abstrakcjonizmu” — *l'art non-figuratif* jak mówią Francuzi. Podkreślałem wielokrotnie, że ten kierunek, którego pierwszym bodaj prekursorem w dzisiejszej sztuce zachodniej był Kandinsky, jest w swej istocie tak sędziwy jak sama sztuka. Ogromna przecie ilość form i dekoracji w ceramice, w niezliczonych przedmiotach domowego użytku czy broni, tkaninach i draperiach, w architekturze wreszcie — miała we wszystkich chyba kulturach ubiegłych wieków charakter „abstrakcyjny”. Taki sam charakter miała też często plastyczna symbolika, związana z kultami religijnymi, gusłami, magią — że wspomnę osławioną przez hitlerizm swastykę aryjską.

Ale to co jest istotne w dzisiejszej sztuce abstrakcyjnej przejawiało się nie tylko w czysto dekoracyjnych tendencjach dawnych wieków. W każdym dziele sztuki, w mniejszym czy większym stopniu, występuje ten pierwiastek, który abstrakcyjniści dzisiejsi przyjęli za alfę i omegę całej wizji malarskiej. W obrazie jest to pierwiastek formalny, jest to właśnie to, co będziemy w nim widzieli jeżeli oderwiemy się od wszelkiej narracji, która ten obraz przedstawia, jeżeli zapomnimy, że linie, masy barwne i kojarzące arabeski mogą na nim opowiadać o jakichkolwiek przedmiotach, które natura nasunęła. W tym znaczeniu możemy patrzeć jako na abstrakcyjny obraz, jako na grę mas barwnych, rytmów i linii na każde dzieło malarskie — niezależnie od tego czy jest to „Przemienienie” Rafaela, czy „Martwa natura” Chardin’a, czy kompozycja bezprzedmiotowa Kandinsky’ego czy Miro.

Wszelki podział zjawisk, w jakiegokolwiek spośród niezliczonych dziedzin dostępnych człowiekowi, jest arbitralny. Metodologia uczy nas tylko, aby ten podział był poprawny i porządkował zjawiska w myśl potrzeb aktualnych w danym badaniu.

Piszący te słowa odróżnia trzy zasadnicze postawy w twórczej działalności człowieka na polu sztuki: naturalizm, ekspresjonizm i formizm. Ponieważ ścisła definicja tych trzech postaw zaprowadziłaby do żmudnych wstępnych rozważań i ustaleń terminów — podaję tu określenia raczej trafiające do intuicji, niż dyskursywnie odpowiedzialne.

Naturalizm w sztuce — to postawa oparta o kontemplację form świata zewnętrznego i sprowadzająca dyscyplinę twórczą do analizy tych form i związków (wizualnych), które je łączą. Krótko: w naturalizmie świat zewnętrzny rzutuje swoje prawa na realizacji twórcy.

Ekspresjonizm — jeżeli wyjdziemy z ostatniego zdania charakteryzującego naturalizm — jest postawą odwrotną. W jej ramach twórca rzutuje na świat zewnętrzny swoje dyspozycje uczuciowe i myślowe; w wyniku tego procesu realizacja twórcza podlega mniejszym lub większym deformacjom w stosunku do dyktanda natury. Mimo swej przeciwstawności, i naturalizm i ekspresjonizm, w naszej definicji, mają wspólny podkład: formy świata zewnętrznego, w naturalizmie — narzucające swoje prawa twórcy, w ekspresjonizmie — poddające się jego (twórcy) narzuceniom.

Formizm — to postawa oparta o świadomą lub nieświadomą wiarę, że artysta jest władny tworzyć własne formy, niezależne od tych, które występują w naturze. W czystym „formizmie” mamy więc do czynienia z formami „*a priori*”, zaś w „naturalizmie” i w „ekspresjonizmie” z formami „*a posteriori*” w stosunku do form natury. Gdybyśmy chcieli w lapidarnym skrócie znaleźć odpowiedniki krytyczne w stosunku do tych trzech postaw, stwierdzilibyśmy, że krytyka wychodząca z naturalizmu opierałaby swe kryteria na porównywaniu form twórczych z naturą (taką postawę zajmował np. u nas Witkiewicz). Krytyka biorąca ekspresjonizm za punkt wyjścia (jak np. Benedetto Croce i jego szkoła) za główne kryterium wartości dzieła sztuki przyjmie jego działanie emocjonalne. Krytyka przyjmująca formistyczny punkt wyjścia oprze się o wewnętrzną formalną konsekwencję obrazu, jako przedmiotu w sobie. Analiza formalna obrazu znalazła głębokie podstawy w fenomenologii współczesnej, u nas z Ingardenem na czele.

Oczywiście, prawie do niespotykanych wyjątków należą wypadki występowania takich postaw w sztuce, zarówno w odniesieniu do jednostek jak i do całych epok, które by się nadawały do sklasyfikowania jako czysty naturalizm, lub ekspresjonizm, lub formizm. Najczęściej występują mieszaniny tych trzech dyspozycji, z przewagą zasadniczą jednej z nich.

Pasja, która ponosi dzisiejszą awangardę malarską Zachodu — jest skrajną postacią formizmu. Najsilniejsze nasycenie



tej walki „odpostaciowującej” (*non-figuratif*) było widoczne zaraz po wojnie w Salonie Paryskim 1946 — pod hasłem tu wyżej podanym. W roku 1938 wygłosiłem szereg odczytów, głoszących między innymi tezę, że próby stworzenia sztuki abstrakcyjnej poniosły klęskę. To, co zobaczyłem w Salonie Paryskim w 1946 okazało mi przysiąc, że się myliłem w zupełności. W salonie tym, wśród setek prac zgromadzonych, widziałem bowiem takie realizacje, które nie były już tylko poronieniami tęsknot abstrakcyjnych, że wspomnę prace Miró, a przede wszystkim rysunki kolorowym ołówkiem Picassa (nie jestem pewien, czy te ostatnie były wystawione w Salonie, czy też widziałem je wtedy gdzie indziej w Paryżu).

Zdawało się, że formizm abstrakcyjny doszedł wtedy do takiego napięcia, że w następnych latach zobaczymy jego odwrót i degenerację wśród awangardy malarskiej. Słuszne jest tylko drugie przypuszczenie: degeneracja wizji; na odwrót trąbiono różnymi nawrotami kilkakrotnie — ale dziś, na przykład, ten abstrakcjonizm aż huczy na wystawach awangardowych, choć coraz bardziej jest widoczne, że jest jak cymbał brzącający — bez treści wewnętrznej.

Gdy się zwiędza czołowe galerie londyńskie, wynosi się ogólne wrażenie, że wyprodukowanie udanego kawałka tapety, to jest dobrze wyważonego dla odbioru wzrokowego, wyczerpuje wszystkie prometejskie tęsknoty malarza, którego ambicją — być u szczytu mody.

Przed rokiem, w sferach plastycznych Londynu zjawiała się ciekawa i, zdawałoby się, płodna idea urządzania wystaw zbiorowych kilku malarzy wybranych przez określonego krytyka (*critic's choice*), dających, jego zdaniem, przegląd dziś najbardziej aktualnych i udanych dążeń w malarstwie. Pierwsza taka wystawa artystów wybranych przez Erica Newtona odbyła się w październiku roku ubiegłego w Tooth Gallery; teraz znowu miała miejsce w tejże galerii wystawa malarzy, których uznał za najciekawszych sir Herbert Read. I pierwsza i druga impreza ujawniły zalew manieryzmu rozwielnionego do wyjątkowych granic, zarówno u wybranych twórców, jak i u ich krytyków.

Cóż to oznacza ten termin, ciągle tu używany, „maniera”? Jest trywialnością stwierdzenie, że maniera jest surogatem stylu. I styl i maniera mają to do siebie, że zjawisko lub przedmiot, lub osobę wyróżniają w tłumie spośród elementów pokrewnych. Zarówno mocna indywidualność jak i esencjonalna poza jakiegoś osobnika rzuca się nam w oczy. Maniera w sztuce przejawia się w wynalezionym sposobiku ku realizacji lub interpretacji pewnej rzeczywistości; styl jest owocem wypracowanej metody, organicznie wiążącej się z osobowością twórcy. Manierę można zdobyć bardzo prędko, chociaż zdarza się i manieryzm — owoc uwiadu fizycznego lub duchowego. Wśród malarzy wybranych przez wspomnianych krytyków, taki Patrick Heron na przykład nigdy nie wypracował własnego stylu i tkwi w manierze od początku swojej wypowiedzi w malarstwie; Graham Sutherland był

już w sferze własnego stylu, obecnie, przez jakiś uwiad wewnętrzny, wszedł w manierę podobnie jak i Victor Pasmore.

Maniera kultu manieri jest dziś, lansowana przez *art-dealer*ów, tendencją popierania takiej twórczości plastycznej, która jest powierzchownie jednolita, to jest składa się z obrazów lub rzeźb tego samego artysty, tak podobnych do siebie koncepcją i techniką wykonania, że każdy widz (czytaj: kupiec), od razu przylepi etykietę nazwiska do takiego tworu sztuki. Oczywiście wielki styl twórczy ma zawsze w sobie nieomylnie znamię zdradzające rękę mistrza. Trudno się omylić w odczuciu indywidualności Cézanne'a. Ale najwięksi twórcy są często niesłuchanie rozmaici w swej sztuce, nie tracąc integralności stylowej. W sztuce Odrodzenia jest zdumiewająco różnolity Giovanni Bellini, w sztuce dzisiejszej — Picasso. Lwia część znakomitości dnia w galeriach europejskich dzisiaj tym tylko akcentuje swoją osobowość, że wszystkie eksponaty jednego malarza lub rzeźbiarza są związane mniej lub więcej wymyślnym trickiem technicznym, nie mającym nic wspólnego z przejawem prawdziwej osobowości twórczej.

Panująca dziś zaraza manieryzmu krytyki polega na odwróceniu właściwego stosunku twórczości artystycznej i jej oceny. Zdawałoby się, że stosunek ten może mieć tylko jedno skierowanie: od dzieła sztuki do krytyki o tym dziele. Jest tu odwrotnie. Krytyk stwarza teorię obrazu albo nie patrząc nań wcale, albo widząc w nim to, co chce widzieć. Druga alternatywa to jest sprawozdanie z oglądu obrazu, wobec braku wrodzonej wrażliwości odbiorczo-malarskiej, może wypaść nawet groźniej od pierwszej: pisanie na ślepo. Przecie to Eric Newton, przewodniczący zrzeszenia krytyków angielskich, w sprawozdaniu z wystawy pośmiertnej Francis Hodgkins, napisał kilka lat temu w *Listener* że, że po długich latach obcowania z dziełami tej artystki doszedł do wniosku, że jest ona, Francis Hodgkins, jednym z trzech największych kolorystów jacy kiedykolwiek żyli (*who ever lived*). Na zapytanie w następnym numerze tego pisma kogo Eric Newton miał na myśli jako pozostałych dwóch — padła odpowiedź: Carpaccio i Veronez. Proszę sobie wyobrazić pozycję w Anglii krytyka z zakresu literatury, który by napisał, że uważa Massefielda za jednego z trzech największych poetów świata, a na zapytanie, kto są ci pozostali dwaj, odpowiedziałby: Petrarca i Dante. Toteż od krytyka, który poprawnym literackim stylem pisze podobne brednie można spodziewać się właśnie tyle znajomości rzeczy, ile wykazał przy kompletowaniu ulubieńców do „swojej” wystawy przeszłorocznej. Ale i taki koryfeusz krytyki tutejszej jak sir Herbert Read, dziwnym wyborem swoim dla wystawy tegorocznej w Tooth Gallery, nie wznosił się ponad Newtona, raczej przeciwnie. Na przykład Patrick Heron, już wyżej wspomniany, mający tyleż pretensji do tytułu awangardowego krytyka jak i malarza — to istny kryminał. Na ogromnych prostokątach płótna kilkanaście kleksów mokrą, po uderzeniu ściekającą farbą, bez najmniejszego wyczucia koloru, z najbanal-



niejszym rytmizowaniem. Ale jak można brać to na serio i co więcej pisać o tym na serio!

Jeden ze zdolniejszych malarzy tego pokolenia, Victor Pasmore, dostał zaiste kręcka. Na białych płótnach umieszcza kilka poziomych lub pionowych pasków kolorowych i to ma być kompozycja plastyczna malarska! Gdybyż choć nie po Mondrianie, który istotnie miał coś do powiedzenia. Każdy zegar, każdy samochód, każdy mechanizm celowy, nie mówiąc już o pięknym konstrukcyjnym wykresie zadania geometrycznego, da stokrotnie więcej emocji plastyczno-odbiorczych. Do czego to prowadzi? Czy taki przemózgowiony aleksandryzizm może pretendować do jakiegokolwiek roli pozytywnej w budowaniu epoki? Czy jest możliwe, aby poza kupą snobów i opętanych cadyków mógł się ktoś taką sztuką zająć? Nie chcę wymieniać nazwisk naszych przedstawicieli z gruntu londyńskiego i gości z Paryża. Ci ostatni przynieśli ze sobą niewątpliwą wrażliwość i kulturę. Patrzy się na to chłodno i mówi: „Dobrze zrobione”. I co dalej? Zygmunt Nowakowski twierdzi, że poznaje poezję prawdziwą po ciarkach, które mu przechodzą przez krzyż, kiedy ją spotyka. Zgadza się. Nie wyobrażam sobie spotkania z prawdziwym malarstwem bez takiego dreszczu. Ostatni raz doznałem go przed abstrakcyjną kompozycją Nicolas de Stael'a w Tate. Poza tym prawdziwego wstrząsu nie przeżyłem przed żadną abstrakcją od roku 1946 (Salon de l'Art non Figuratif), bo wszystkie kompozycje tego typu, jakie potem widziałem, wydawały mi się tylko epigonicznymi wtórnymi tamtej erupcji.

Niewątpliwie, każda prawdziwa sztuka przynosi dla widza, który się styka z nią po raz pierwszy, a nieraz i po raz setny — zaskoczenie, jest w pewnym znaczeniu „dziwna”. Ogromna ilość plastików dzisiejszych tworzy rzeczy dziwaczne i sądzi, że to synonim dziwności, a eo ipso-kryterium istotnej inwencji. Taki Dawid Sylwester twierdzi w jednej z ostatnich krytyk w Listener'ze, że tak popularna dziś (i istotnie: jakże porywająca!) sztuka dziecka go nudzi, natomiast podziwia świetność wyboru obrazów dla Tooth Gallery przez sir Herberta Read'a. Onże, Sylwester, ewokował niesamowitą postać w dzisiejszej wizji angielskiej: Francis'a Bacona. Płótna mniejsze i ogromne, pokryte brudnymi substancjami, przypominającymi w najlepszym razie rozmazany atrament, którymi to środkami Bacon stara się zrobić konkurencję maszkarom fotograficznym, rozsmarowanym na jakieś rozkładające się makabry; nie ma tu nawet śladu koloru, ani sensu kompozycyjnego, ani rytmu; cała autentyczność polega właśnie na autentyczności dziwactwa. To kącik z pseudo-ekspresjonizmu, który również panoszy się w dzisiejszości plastycznej — bezkarnie. Z jednej strony pachnący trupim rozkładem niby tradycjonalizm, pompierstwo i snobizm — z przymiotnikiem „royal” trzy martwe kadłuby: Royal Academy, Royal Society of Portrait Painters, Royal Society of Water Colour Painters, etc. po drugiej stronie niemniej zdegenerowane elukubracje takich Francisów Baconów, czy Patrików Heronów...

Jakże dziwić się przeciętnemu widzowi, że uogólnia bezsens zdawałoby się przeciwnych zjawisk na całą sztukę współczesną. Jakże błędnie! W tej samej Anglii powstają dziś takie dzieła jak witraże do Katedry w Coventry (o których pisałem niedawno) na tle wspaniałego warsztatu szkła kolorowych w Royal College of Art; znakomite wystawy sztuki dziecięcej, pokazywane co roku przy Picadilly, z inicjatywy „Sunday Express'u” są dowodem nie tylko istnienia równie znakomitych środowisk nauczania sztuki w szkołach elementarnych i średnich, ale i żywych źródeł inwencji narodowej. Jeżeli jest potop manieryzmu — nie brak i Arki Noego w sztuce nie tylko Anglii, ale i Zachodu. Na Kontynencie odradza się na przykład wspólnie nowa wizja włoska. Niech jej symbolem będzie takie zjawisko jak Marino Marini, rzeźbiarz.

Marian BOHUSZ-SZYSZKO

**SENSACJA TECHNIKI I OPŁACALNOŚCI !**

TYLKO

*Auto-knitter*

**66 dol.**

wraz  
z przesyłką

nowoczesny suwakowy aparat dziewarski, który  
może dać utrzymanie całej rodzinie w Polsce.



**SŁUŻY DO PRODUKCJI WSZELKICH WYROBÓW  
TRYKOTARSKICH OD SKARPET DO KOSTIUMÓW  
DAMSKICH WŁĄCZNIE. 10.000 OCZEK NA MINUTĘ !**

Tylko przez  
firmę

**TAZAB**

22 Roland Gardens,  
London S.W. 7, England



## Studnia

A skorom się nachylił,  
zawirowała kręgami cembrowin,  
zbiegła w głąb i przewlekła się przez nią jak przez pierścien.  
I oto w zmięczeniu twardym i lśniącym jak rtęć,  
w czczym chłodzie, na spojrzenia osi nieruchomej —  
spotkanie.  
Ja i Ona:  
bezdennooka  
Lorelaj.

Ale z Jej wzroku  
nie płynął ku mnie lęk  
ni groza.  
A tylko — od kręgu do kręgu —  
jakiś zachłanny dur lunatyczny  
hieroglifami migotliwymi się położył,  
i tylko ssący magnetyzmem tajemnicy  
roztulał stromy kielich mym pijanym skroniom.  
Więc nachyliłem się do Niej —  
od świata.

Wtedy mnie garścią z tyłu za włosy szarpnął wiatr.  
Bo studnia stała w sadzie,  
a sad tańczył niesforne, giętkie rytmy ścieżek  
i musował zieloną cierpkością porzeczek.

I wnet przybiegły Dzieci  
z ustami modrymi od jeżyn.

Trzęsły czupryny, w strąkach swawoli i zabaw,  
i chlupotały w wodzie śmiechem,  
i wołały: „Patrz — żaba! Żaba w studni, żaba!”,  
wołały: „Słuchaj — echo! Echo, echo, echo!”  
Niósł się od nich dech żyzny ziela i kompostu.

## Wiersze

A kiedy Starsza Siostra  
skłoniła obok gładko uczesaną głowę,  
lato chlusnęło na nią słońca hojną szufłę.  
Sptynęła po długich warkoczach  
w śliski mrok pszenica radosnego światła,  
a ona uniosła swe olśnione oczy  
i zwierzyła się ufnie:  
„... w nocy —  
roi się tam od gwiazd szafirowych  
i księżyc pływa jak biały kwiat...”

A potem przyszła Matka  
i, z ciepłym stroskaniem w zmarszczkach,  
wołała: „Dzieci, ostrożnie! Odejdźcie!  
Tam głęboko i straszny!”  
I — „Ostrożnie, dzieci,  
przecież  
możecie  
wpaść!”

Otarła z czoła troskę i potu woń przasną,  
i, umiawszy je w młodość,  
ciągnęła chłód i rzeźwość na schrypłym rdzy skrzypie,  
mówiąc: „To dobra studnia. Dobra, zdrowa woda.  
Chcesz pić?”

I piłem tegi smak śmierci i życia  
ze spracowanych rąk i z dębowego wiadra.  
Piłem jedność słów prostych i słonecznych ziarn,  
swojskie ciepło warg własnych i pierwotny chłód  
cienia.  
obłą szorstkość cembrowin, płaską krągłość mchu,  
gwiazd ciszę ascetyczną i dnia jurny gwar,  
pawie refleksy światła i zielone echa.  
Piłem tajny szept głębi i dziecięcy śmiech,  
jaskrawy smak rdzy i, smolny, ogrodowej ziemi.

Poddałem się — łan zboża na wiatr — przyzwoleniu.  
Nie byłem już pijany  
tajemnicą.  
Nie.  
Nie byłem sam...  
Wiedziałem:  
— życie!  
wiedziałem:  
— śmierć.  
Życie i śmierć,  
i noc i dzień,  
i mrok i świt,



i świt i mrok,  
i pory roku...

I spokój.  
I harmonijny rytm.

A wtedy przyszedł ty.  
Przejrzałaś się w studni jak w zwierciadle  
i rzekłaś niedbale i lekko:  
„Nie widać. Za głęboko.”  
I wyjęłaś lusterko z twojej ładnej  
torebki,  
i poprawiłaś lok.

Zebrałem wzrokiem:  
„Co?...”  
Uniosłaś brwi nad studnią — zachnęłaś się —  
„Nic...”

Więc — porażony zgrozą,  
że oto tak, jednym słowem,  
możesz  
zetrzeć dźwięk, barwę, smak i tajemnicę,  
jak róż chusteczką batystową  
z ust —  
cofnąłem rękę,  
która już miała ująć twój napiątek.

Bo może napotkałbyś pustkę...  
Najwyżej — metalową bransoletkę.

Świat się zająknął jak zraniony flet,  
dzieci pobiegły szukać okrzyków i malin,  
dziewczyna z długimi warkoczami  
owili się łagodnie w naiwną tęczę marzeń  
i zanurzyła w sad...  
A matka —

Oto tam — chlustająca po zziąjanym skwarze  
powszednim błogostawieństwem wody;  
oto już — pochylona pobożnie u progu —  
skromny, domowy świątek w swych odwiecznych ramach...  
Weszła. Zawarła drzwi.

A ty —  
a ty —  
A ty  
unicestwiłaś się sama.

Sad, spłoszony, na wietrze odpływał i drżał,  
ze studni tchnęło pustką, smutkiem i głuchotą.

lęk — pies bity — za łańcuch targał i skowyczał.  
Odszedłem. Nie zająrzałem.

Byłem się skłamanego życia.  
I śmierci samotnej.

Maria ORZESZKOWSKA

## Św. Tomasz Niewierny

..... Ale on im rzekł: Jeśli... nie włożę ręki mojej w bok Jego, nie uwierzę.  
... A Jezus... stanął pośrodku... i rzekł Tomaszowi: Włóż tu palec twój  
i obejrzyj ręce moje, i wyciągnij rękę twoją i włóż w bok mój; a nie bądź  
niewiernym, ale wiernym...

(Ew. św. Jana)

A działo się o pierwszej godzinie tragicznej  
dnia aż po dzień dzisiejszy niespełnionych spełnień;  
o pierwszym chrześcijańskim świecie  
zwiątpienia.

I gdy uniósł ku niebu świętokradczą  
dłoń  
naznaczoną surowym stygmatem lancetu,  
ociekałą Boską krwią,  
żarliwą i bezwzględną, korną dłoń badacza,  
stworzoną był świat wag, cyrkli, soczewek i retort.

I oko ludzkie — kruża dla śmiechu i płaczu —  
zaszkliliło zimno, krzepnąc w beznamietny pryzmat,  
i nagi księżyc pokrył się trądem kraterów,  
i przestrzeń zolbrzymiała w gwałtownych paroksyzmach,  
i ziemia — dłoń otwarta — zawarła się w sferę,  
poczęty był Kopernik, Kartezjusz i Newton,  
i kosmos — ślepy ekwilibrysta —  
zanurzył się w niechybnej akrobacji pędu.  
I zmierzono był, i zważono, i słowiono w sieć statystyk.

A tylko wieczyście nieobjęty  
pozostał Boski i człowieczy smutek.



Święty Tomasz Niewierny jest świętym  
za Bożą wolą i przebaczeniem  
a na obrazę gnuśnych i trwożliwych dusz.  
Żyw i umęczon pogardliwym piętnem  
imienia  
na wiele wieków przed i po spaleniu  
świętego Galileusza.

Bo oto, których Mądrość bezbrzeżna i Litość  
ukoili w bezpieczny sen chorałem wiary,  
przyśnili się sobie sami.  
Elita!

I, co było najbardziej współczującym z cudów,  
co było z hojnej Łaski darmo danym darem,  
pośpiesznie awansowano  
na cnotę,  
na zastugę.

I pchała się na gody paradnymi drzwiami  
głupota.

Lżył świętym niedowiarkom święty niedomędek,  
twardo miejąc obłudą rozgrzeszony kamień  
na sól ziemi co piekła solą w mętным oku.

I były potępione, i były nazwane  
Samotność, Głód i Niepokój,  
występkiem.



A przecież On pozwolił, by dotknął Jego ran...

Maria ORZESZKOWSKA

## The dark tower

Przy końcu smutnej drogi  
podaj mi rękę, ciepłą jeszcze :  
poprowadzę cię w kraj zapomniany,  
gdzie chłopiec w aksamitnych spodenkach  
swe ogromne ciekawością oczy  
chce zmieścić w kielichu tulipana.  
Patrzy, jak unurzane w złotym pyłe

mszyce suną niezgrabnie wśród przecików.  
Chłopiec w marynarskiej bluzce w paski  
biegnie po owadziej ścieżce  
i pierwszy raz pyta o cel tych wędrówek.  
Nad tym jego strasznym pytaniem,  
nad pierwszym wstrząsem wyobraźni  
chylą się szmerem jabłonie i grusze  
w zaczarowanym ogrodzie dzieciństwa.

Więc pójdziemy obejrzeć ten kwiat  
kocim zwięzieniem żrenić,  
przez które mszyca się nie przecisnie,  
ni płatków kolor, ni pyłek.  
Tak to więc kształty zatrze czas,  
że nie wywieziesz z sobą wspomnień,  
a tylko ból zaskrzepły w piersiach,  
które przykryjesz krzyżem rąk złożonych.

Nie ma w naszej podróży ratunku,  
ani w pielgrzymce do cudownych wód.  
A jednak musimy słabością się okryć,  
więc przed końcem daj mi rękę stygnącą :  
miejsce, w którym słońce zaszło, ci pokażę,  
zanim pięści ściskając stężale  
i z kneblem strachu na zastygłych ustach  
wejdziemy biali w czarną czeluść wieży.

Richmond, 20. III. 56.

Bolesław TABORSKI

## Między Abitibi a Hudson Bay

Stośy drzewa wzdłuż toru, Indianka ze słym okiem  
i sosny karłowate, świerki przykucnięte  
i wiatr od morza siny jak mgła

kraj nie jest litościwy, mrozem w czerwcu  
paląc dłonie nagie i liście zamykając  
w tulipinach, jak kałuże lodem.



*Lis wrzeszczący w sidle, sarna rozdarta  
i wilki odpędzone od padła, bracia,  
wiatr nam o namiot i w życiu źle.*

Janusz A. IHNATOWICZ

## Ucz się u wiśni

...demagogom wszystkich  
czasów poświęcam

*próżno  
napinasz głos  
jak cięciwę  
na łuku kłamstw  
retorycznych*

*serca sławy  
górkę lecącej  
nie dosięgniesz  
strzałą ze słomy*

*brzęk cymbałów  
sieje obłęd krotochwilasty  
w czerepie gawiedzi  
tylko  
nie wzrusza oczu  
wpatrzonych  
w profil filozoficzny*

*ucz się u wiśni  
kwitnącej  
której mową  
różowe milczenie*

*a wokół której  
pielgrzymie stopy  
wydeptały  
ścieżkę zachwyty*

Z. ŁAWRYNOWICZ

Chelsea, 1956 r. — luty.

## Ścieżki

### « Jest granica »

Kiedy pisałem o malarstwie w Polsce do lipcowego numeru „Kultury”, kiedy odkrywałem to narastanie buntu przeciw *obowiązującej* doktrynie socrealizmu, od wystawy abstrakcjonistów z 1949 roku po Arsenał — pytałem przyjaciela, hiszpańskiego filozofa: „Cóż z tego, czy ten nasz *wąski* odcinek malarstwa oddziaływać może jakkolwiek *na życie kraju*?”

„Nie ma odcinków nieważnych” — odpowiedział mi gorąco. — „Jak kapitał rodzi kapitał, tak wolność rodzi wolność”.

Kto ustali jaka iskra zapaliła pożar. Jakie szły ciągi od Arsenału do Zjazdu Związku Literatów z wiosny tego roku. Jakie iskry padły na Klub Petöfiego i manifestacje pod pomnikiem Bema, które doprowadziły do pożaru Węgier, do rewolucji zaczętej przez pisarzy, studentów, robotników, potem podjętej przez całe miasto i cały kraj. Dziś wieści przeciekają na cały świat wszystkimi porami o tysiącach wymordowanych, o wysadzeniu mostów przez kolejarzy by nie przepuścić pociągów bydłowych, zapchanych młodzieżą, wywożoną do Rosji przez kolejarzy, którzy o tych wywózkach dowiedzieli się poprzez kartki pisane do rodzin (kartki wyrzucane na wiatr, w pola, z zapieczetowanych wagonów — jakże to nam, Polakom, znane). Wieści o dzieciach, wysyłanych przez rodziców ku granicy austriackiej z kartkami na szyi: „Ratujcie dziecko, my zostajemy, żeby walczyć!” (dzieci polskie, wysyłane z najdalszych kołchozów przez matki, do naszej armii w Turkiestanie w 1942 roku miały też kartki: „Ratujcie dzieci, my tu zginieemy”).

Przeszłość nauczyła nas nie wierzyć zaprzeczeniom Szepiłowych. Przesada dziennikarska? Mówiono to samo gdy pisano o krematoriach niemieckich, o Warkucie i o Katyniu. I znowu „krwi taka szaruga po szarudze”.



Stary dyplomata mówi mi z przekonaniem: „Węgry? Za sześć miesięcy wszyscy o nich zapomną”. Prawda i nieprawda. W kancelariach dyplomatycznych i teraz coś „pamiętają” dyplomaci? Pamiętają, że to pionek w rozgrywce, że to atut, który na razie gra. Ale ta siła niewidzialna wypadków draży i drażyć będzie, jak drażą Warszawa i Katyń. Dziś nazwa nieznanego lasku we wschodniej Europie i nazwa stolicy Polski znaczą, wbrew dyplomatom na świecie, więcej niż 16 i 12 lat temu, kiedy obie zbrodnie nie tylko dyplomaci rosyjscy chcieli pogrzebać w zapomnieniu. „Nie wskresicie umarłych, więc milczcie!”.

Ale cóż znaczą te słowa o innym wymiarze pamięci, o działaniu w czasie dalekim, dla ludzi którzy stracili teraz i tracą najbliższych, dla ludzi których wywożą, dla robotników, których mosty wysadzają, dla tych którzy jeszcze i jeszcze czekają na pomoc, których ogarnia fala samobójstw, bo już nie mogą znieść perspektywy niewoli? Niech się filozofowie głowią nad określeniem co jest wolność. Wiedzą dobrze, że ona jest naprawdę ważniejsza niż powietrze dla płuc tych, którzy tam giną.

*Grób, który pochłania cały naród  
Jest otoczony narodami  
I miliony ludzi  
Wylewają jedną łzę żałoby.*

Ten wiersz, ponad sto lat temu napisany, którego treść niezdarnie tłumaczyć, zna pono każdy Węgier.

„Nigdy naród nie mógł się czuć okropnie opuszczony”, píše w „Monde” Węgier, J. de Simonffy, „...chciałbym wierzyć, że ludzie ci walczyli z odwagą rozpacz, wiedząc, że wszystko co ich czeka jest gorsze od śmierci... Ale boję się okrutnie, że walczyli z nadzieją, do ostatniej chwili trzymać, trzymać, jeszcze 48, jeszcze 24 godziny, wierząc wciąż, że pomoc przyjdzie... To wezwanie o świcie 4 listopada Nagy’ego, pisarzy, agencji węgierskich, prasy i krzyk wszystkich głośników: „Pomóżcie nam!” — czy możecie wierzyć naprawdę, że to było wołanie o pomoc moralną?”

Jakż Polak może to czytać nie pamiętając wołania radia „Błyskawica”, które jeszcze 2-go października 1944 roku wołało z Warszawy: „Pomoc nie przychodzi znikąd... Wiedźcie, że już setki tysięcy Polaków zginęło przez was. Ośmielacie się mówić, że walczyście o narody w niewoli!”

Dziś ten zryw całego narodu, wbrew przewidywaniom polityków i socjologów, którzy już stwierdzili, że czasy buntów przeciwko tyranom skończyły się na zawsze, ten zryw węgierski jest przecież źródłem optymizmu, jest świadectwem, że człowieka zdławić do końca nie można, że jest granica. Ta granica nagle wybuchła w nieporównanym bohaterstwie całego narodu.

Jakże inaczej granica ta ujawniła się w Polsce. 18-21 października. Usunięcie Rokossowskiego przy jednoczesnych pertraktacjach z Rosją. Usunięcie trzydziestu generałów rosyjskich ale z uczcą pożegnalną i z orderami. Rola robotników Żerania. Uwolnienie kardynała Wyszyńskiego. Zmieszczenie władz syndykalnych. Poparcie przez cały naród realistycznej polityki Gomułki, próby finlandzkiego rozwiązania stosunków polsko-rosyjskich które jest najdalsze od tego, co zwykliśmy uważać za polski charakter działania i co od tego czasu będziemy może nazywać charakterem już nie polskim a węgierskim.

„Może nie zdajecie sobie sprawy co to za kolosalna odmiana. Ludzie odżyli, jest jakaś przyszłość, są jakieś nadzieje, jest prawda”. Taki list mam z Polski od osoby jak najdalszej od marksizmu-leninizmu. I jednocześnie cały kraj żyje pod wstrząsem wypadków węgierskich, widziałem fotografie skrzyń, stojących na ulicach i placach i na każdej rysunek gołębia — niezdarny i czuły. Z oka mu spływa łza. „Wszyscy dają na Węgry, każda przekupka”. „Polacy dają krew dla rannych Węgrów (kobiety i mężczyźni), pieniądze składają w Czerwonym Krzyżu, wyjeżdżają ekipy lekarskie w samochodach, ambulansach. To robi naród polski, ten biedny, wśród którego szerzy się gruźlica, który nie wiąże końca z końcem”.

A jednocześnie wiadomości o niesłychanym przełomie psychicznym, o nowym dla Polski zrozumieniu konieczności myślenia politycznego, o robotniczych ośrodkach, nie tylko czynu, ale i tej myśli politycznej, i ta współdzwęczność wszystkich, która jest dla dziennikarzy zagranicznych zjawiskiem tak zadziwiającym, że aż nie rozumiałym.

Prasa polska nie do czytania w latach stalinowskich, jest dziś pasjonująca. Mieroszewskiemu w „Kulturze” zarzuca się ton agresywny, ależ to pan w rękawiczkach z floretem w porównaniu do polemik z „Po Prostu” na przykład. Odwaga przełamywania liczmanów, demaskowania fałszu, nadętych i fałszywych wielkości, ataki imienne i podpisane, nigdy anonimowe. Właśnie w tej atmosferze zgrzytem jeszcze większym są artykuły pisane tą samą co dawniej drętą mową. Uderza to może najbardziej gdy prasa dotyka najnowszej historii Polski. Nagle, obok artykułów rozważnych, doszukujących się treści rzeczy i zjawisk, te właśnie „wypracowania” historyczne zawstydzają swoim poziomem. Przykład „Trybuna Ludu” o 11-ym Listopada: Niepodległość Polski jest „dzieckiem rewolucji radzieckiej”. Legiony to nic nie znaczące filo-austriackie oddziały. Wyprawa na Kijów Piłsudskiego — agresja międzynarodowej burżuazji, tego Piłsudskiego, któremu dziś jeszcze białogwardziści darować nie mogą, że iść z nimi nie chciał, że szukał porozumienia z Rosją „trzecią”, że ze zniechęconym przez reakcję eserem Sawinkowem, albo z Ukraincem — socjalistą Petlurą, próbował budować niepodległość Ukrainy. W rezultacie wrażenie, że jedyne co nam pozostaje to błogosławić rewolucję październikową no i gardzić tą Polską, choć jest córą rewolucji,



bo była w przeciagu całego dwudziestolecia jedynie bandą reakcjonistów na służbie Lewiatana (z drobnym wyjątkiem garstki komunistów). Czas, by już tego rodzaju płaskie paszkwile na Polskę znikły z pism, które na innych odcinkach wykazują tyle odwagi. Takie artykuły robią wrażenie, że jeszcze *nie wolno* myśleć o historii inaczej jak w ułożonym, utartym łożysku sloganów. Może tu tkwi najbardziej niebezpieczne źródło umysłowej barbaryzacji kraju. Młodzież odcięta od źródeł rzetelnej informacji o polskiej przeszłości, traci jakąkolwiek świadomość historii Polski, jak zresztą i historii w ogóle. „A kto od sumienia historii oderwał się, ten dziczeje na wyspie oddalonej”. Chłopak czternastoletni w Polsce, wracając ze szkoły, skarży się matce: „Mamo, nie chcę się już uczyć historii Grecji i Rzymu. To za nudne. Oni umieli robić tylko bunty niewolników”. Tam w podręcznikach historii Grecji i Rzymu tylko bunty niewolników, a w Polsce tylko walka o komunizm z wszechpotężnym Lewiatanem. Te ślady niewoli i bezmyślności zniknąć muszą jeżeli, jak pisma donoszą, przeżyliśmy „nasz październik” i jeżeli mamy prawo wierzyć listom najbliższych.

Ich nadzieja może nadmierna *znaczy*, ona kruszy w nas beznadziejność orwellowskiej wizji i potwierdza nam, że w niszczeniu, anihilacji wolności *jest granica*.

Józef CZAPSKI

## GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”  
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”  
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad  
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu  
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOSREDNIO DO W. BRYTANII,  
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII  
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:  
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Île, Paris 4<sup>e</sup>

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

## Książki

### «Moralność mieszczańska»

Ukazanie się nowej książki Marii Ossowskiej (1) jest wydarzeniem, którego nie wystarcza zanotować krótkim omówieniem. Maria Ossowska jest socjologiem, a na mocy administracyjnego dekretu socjologia w okresie ostatnich kilku lat przestała w Polsce istnieć. Można ją było uprawiać wyłącznie jako gałąź historycznego materializmu, krytykę teorii burżuazyjnych lub historię myśli społecznej, lecz nawet wówczas podwoje do tak pojętej socjologii nie dla każdego stały otworem. Z nielicznymi wyjątkami, a do nich Ossowska nie należała, socjolog w Polsce był profesorem pozbawionym słuchaczy i uczonym pozbawionym możliwości publikacji. Jest przeto rzeczą budzącą szczególną satysfakcję, iż pierwszym dziełem socjologicznym, jakie po kilkoletniej banicji socjologii ujrzało światło dzienne, jest książka Ossowskiej. Zaszczyt ten bowiem, po okresie intelektualnej zsyłki, ze wszech miar jej się należy.

*Moralność Mieszczańska* przedstawiona została na posiedzeniu naukowym Łódzkiego Towarzystwa Naukowego w czerwcu 1952 roku, a ukazała się drukiem po przeszło czterech latach. Rozpoczęta w okresie okupacji, pisana w okresie największego nasilenia umysłowego terroru, książka Marii Ossowskiej nie nosi śladu czasów w jakich powstała. Nie ma w niej ukłonu dla cenzora i ideologicznego nadzorcy, najmniejszej dawki nieznosnego żargonu, obrządkowych ukłonów w kierunku pozanaukowych autorytetów i żonglerki bezsensownymi epitetami. *Moralność Mieszczańska* sprawia wrażenie książki „pisanej do szuflady”, a z pewnością jest dziełem umysłu, który pozostał całkowicie sobą. Styl książki Marii Ossowskiej jest prosty, jasny, precyzyjny i dbały o piękno języka, do jakiego przywykliśmy w przeszłości. *Moralność Mieszczańska* wyróżnia się wszechstronną eru-

(1) Maria Ossowska. *Moralność Mieszczańska*. Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Wydział I, Nr 22. Nakładem Zakładu im. Ossolińskich we Wrocławiu, Łódź 1956.



dycją, czytaniem w literaturze naukowej przedmiotu i literaturze pięknej, obeznaniem i zrozumieniem warunków życia w różnych epokach i krajach europejskich. Autorka porusza się ze swobodą w czasie i przestrzeni, w kręgu różnych kultur i prądów umysłowych, w czym wspomaga ją znajomość obcych języków i postawa badacza w stosunku do „postępowych” i „reakcyjnych” ideologii. Nie ma wreszcie w *Moralności Mieszczańskiej* owego dufnego i niczym nieuzasadnionego zarozumialstwa, jakie cechowało publikacje „marksistowskiej humanistyki” iż sprawy w nich poruszone zostały rozstrzygnięte w sposób ostateczny i z pozycji mających prawo wyłączności do poprawności naukowej. Maria Ossowska ostrzega na samym wstępie czytelników swej książki: „Świadoma niedoskonałości tej pracy pocieszam się tym, że inni podejmując te zagadnienia przyczynią się do skontrolowania moich wniosków na materiale rozszerzonym. Ktoś musi postawić pierwsze kroki, aby sprawa mogła ruszyć dalej”.

Ukazanie się książki Marii Ossowskiej jest wymownym świadectwem zmian dokonujących się w życiu umysłowym kraju. Dla nas, poza Polską, ma ona charakter dokumentu przekonyującego o tym, iż uczone odzyskuje swobodę ruchu i że nauka staje się wolna. Albowiem *Moralność Mieszczańska* oznacza zerwanie de facto z koncepcją nauk humanistycznych podporządkowanych dyrektywom politycznym i ideologicznym, powrót do światowego nurtu rozwoju tych nauk i do specyficznych wzorów polskiej humanistyki (2). Gdy autor tych słów widział podobną możliwość w artykule drukowanym przed kilku miesiącami w „Kulturze” nie oczekiwał on, iż jego przewidywanie znajdzie w najlepszym razie tak szybkie i dobitne potwierdzenie.

## II

*Moralność Mieszczańska* jest dziełem z zakresu tej dyscypliny, dla której Maria Ossowska ukuła nazwę „nauki o moralności” rozpadającej się na trzy wielkie działy zagadnień — ba-

(2) Wprawdzie pierwsza jaskółka nie przesądza jeszcze o nadejściu wiosny, mnożą się jednak znaki, iż *Moralność Mieszczańska* jest czymś więcej niż pierwszą przedwczesną jaskółką. Wśród tych znaków należy wymienić udział polskich socjologów, po raz pierwszy po wojnie, w III Światowym Kongresie Socjologicznym w Amsterdamie pod koniec sierpnia br. (udział liczbowy i rzeczowy polskich socjologów wywołał życzliwe echo w prasie zachodniej). Sprawozdanie z kongresu, jakie ukazało się w „Trybunie Ludu” (4.10.1956), stwierdzało, iż byłoby obecnie niepotrzebną stratą miejsca i czasu przekonywać kogokolwiek o „konieczności odbudowania socjologii w Polsce”. W „odrodzeniu socjologii jako nauki samodzielnej” w przeciwieństwie do tego czym była w przeszłości — „zbiorem popularnych komunalów”, widzi Leszek Kołakowski niezbędny warunek odrodzenia się myśli politycznej („Nowe Drogi”, 9/56), co stanowi charakterystyczny odwrót od dawnej prymatu polityki nad socjologią i nauką w ogólnie.

dania nad ocenami i normami etycznymi, psychologię i socjologię moralności. Termin „nauka o moralności” nie jest znany w nauce zachodniej, chociaż dyscyplinę tę uprawia się od lat kilkudziesięciu pod nazwą filozoficznej antropologii, etiologii, etyki porównawczej, socjologii i historii moralności. Durkheim, Levy-Bruhl, Westermarck, Hobhouse, Ginsberg należą do jej najbardziej znanych promotorów.

Trzy zasadnicze założenia leżą u podstawy nauki o moralności. Po pierwsze wychodzi ona od stwierdzenia, iż należy różnicować ocenianie zjawisk moralnych i formułowanie reguł postępowania od badania jakie oceny i reguły postępowania w danym okresie czasu i w danym środowisku faktycznie obowiązywały. Splot zagadnień pierwszej grupy należy do etyki normatywnej, splot zagadnień grupy drugiej do nauki o moralności. Pierwszy z nich obejmuje uzasadnienie ocen, norm i zaleceń i z tej przyczyny nie stanowi dyscypliny naukowej, drugi dotyczy faktów i może przeto stanowić przedmiot nauki.

Drugim podstawowym założeniem nauki o moralności jest przekonanie, iż oceny i reguły postępowania faktycznie obowiązujące, są zmienne w czasie. Zmienność zjawisk moralnych stawia problem ewolucyjnych prawidłowości i postępu moralnego oraz powiązania zjawisk moralnych z szerszym kontekstem zjawisk społecznych.

Trzecim wreszcie założeniem nauki o moralności jest przekonanie, iż mnogość ocen i reguł postępowania, ujawniona przez badania historyczne, antropologiczne i socjologiczne, utrzymuje się także, gdy ograniczymy się do określonego odcinka czasu i przestrzeni, a więc gdy badamy określone społeczeństwo. Okazuje się wówczas, iż w danym społeczeństwie nie istnieje moralność w liczbie pojedynczej. W społeczeństwie o złożonej strukturze klasowej moralność *in abstracto* „rozłupuje się na różne moralności”.

Teza, iż w każdym społeczeństwie nie istnieje jedna, lecz kilka moralności, jest w porównaniu do dwóch poprzednich tezą stosunkowo nową, jakiej nie można by znaleźć u pionierów nauki o moralności. Głosili ją wprawdzie Marx i Engels, lecz w ich rękach teza o mnogości moralności miała charakter postulatywno-ideologiczny, niepoparty odwołaniem się do faktów i wykazaniem, iż faktycznie i jednocześnie obowiązujące moralności różnią się między sobą co do treści. Rozumowali oni bowiem zazwyczaj w ten sposób: jeżeli moralność jest zawsze moralnością klasową, każde klasa nowoczesnego społeczeństwa posiada swoją odrębną moralność. Nie jest natomiast rzeczą oczywistą, iż różnorodność moralności jest zawsze wyznaczona przez strukturę klasową. We współczesnych społeczeństwach trudno byłoby sprowadzić różnice poglądów w sprawach takich jak kara śmierci, kontrola urodzeń, rozwody, itp. do ich klasowego źródła. Lepsza niż w przeszłości znajomość faktów nie pozwala natomiast wątpić, iż tylko za cenę uproszczeń możemy mówić o mo-



ralności Greków, Rzymian lub współczesnych społeczeństw jako jednolitym zespole moralnych dyrektyw i życiowych postaw.

Na czym ta niejednolitość polega jest nadal rzeczą sporną. Obecny stan wiedzy każe przypuszczać, iż mnogość moralności nie da się sprowadzić do jednej przyczyny sprawczej i że niczego się nie zyskuje przez pośpieszne konstruowanie teorii dla wyjaśnienia niezwykle skomplikowanych i niedostatecznie zbadanych faktów. Wydaje się rzeczą pewną, iż różnorodność moralności nie dotyczy reguł podstawowych, których trwałość i niezmiennosc wyszła zwycięsko z badań historycznych i porównawczych. Wspomniana różnorodność zaznacza się wyraźniej, gdy od reguł podstawowych przechodzimy do dyrektyw wtórnych i ich zastosowań w komplikujących się okolicznościach życia społecznego. Występuje ona wreszcie jawnie, gdy badania nad moralnością w węższym tego słowa znaczeniu — nad zespołem ocen i reguł postępowania — rozszerzamy na moralność w znaczeniu szerszym obejmującym prócz ocen i reguł również postawy życiowe wraz z właściwymi im dążeniami i hierarchią wartości.

O ile dobrze rozumiem, Maria Ossowska w swej monografii moralności mieszczańskiej posługiwała się terminem „moralność” w drugim z wyróżnionych znaczeń. Jej studium o moralności mieszczańskiej to bowiem z jednej strony opis specyficznego zespołu cnót mieszczańskich, z drugiej opis postaw moralnie neutralnych, jakoś jednak związanych z zespołem cnót w spójną całość, a stanowiących łącznie mieszczański ethos, styl życia i ideologię.

### III

*Moralność Mieszczańska* jest z natury rzeczy studium historyczno-systematycznym, a studia tego typu nastroczają zawsze poważne trudności konstrukcyjne. Maria Ossowska nie wyszła z nich całkowicie obronną ręką. Albowiem systematyczny i historyczny tok rozumowania przeplatają się wzajemnie, a w obrębie toku historycznego cofanie się w coraz odleglejszą przeszłość nagromadza dla czytelnika trudności, jakich przy innej konstrukcji książki można by było, być może, uniknąć. Tak od moralności mieszczańskiej w pełni ukształtowanej, widzianej oczyma Marxa, Engelsa, a w Polsce oczyma Przybyszewskiego, Kisielewskiego i Zapolskiej, przechodzimy do Franklina, od Franklina do Defoe, od Defoe do Alberti. Od Alberti przeskakujemy o kilka wieków naprzód — do Volney, Helwecjusza, literatury pięknej XVIII i XIX wieku. Między esesjami o Franklinie i Defoe z jednej, Alberti i Volney z drugiej strony, znajdują się dwa rozdziały poświęcone systematycznej analizie teorii Maxa Webera o związkach między sektami purytańskimi, moralnością mieszczańską i rozwojem kapitalizmu oraz teorią S. Ranulfa o drobnomieszczańskiej „nieinteresownej tendencji do karania”. Wreszcie po rozdziałach historycznych o Alberti i Volney, mamy znowu dwa rozdziały systematyczne — refleksje metodologiczne nad metodami ustalań uwarunkowań społecznych oraz nad poję-

ciaми wzorcowymi. We wszystkich tych sprawach Maria Ossowska ma zawsze wiele rzeczy ciekawych i oryginalnych do powiedzenia, jej wiedza jest szeroka i gruntowna. Lecz na skutek opisanej konstrukcji książki sam czytelnik układać musi we właściwej kolejności poszczególne fazy historycznego rozwoju moralności mieszczańskiej i ze zdobyczami analizy systematycznej osiągniętymi na końcu książki wracać do poprzedzających rozdziałów, by poddać raz jeszcze wszystko rewizji.

### IV

Jak już wspomniano, termin „moralność” ma w *Moralności Mieszczańskiej* znaczenie szersze i znaczy coś więcej niż „zespół ocen i reguł moralnych”. Znacznie trudniej jest wyjaśnić zwęższe sens terminu „mieszczaństwo”. Pozostawiając na razie to zadanie na uboczu starajmy się pokrótce streścić wyniki badań Ossowskiej nad tym, co stanowi treść moralności mieszczańskiej.

Maria Ossowska uważa Beniamina Franklina (1706-1790) za najbardziej reprezentatywnego „pracodawcę” moralności mieszczańskiej, wyznawanej w różnych środowiskach europejskich przynajmniej od połowy XIX wieku. Franklin był pierwszym apostołem niezależności osobistej zdobytej przez pieniądź, co było hasłem nowym w czasach, gdy tę niezależność zapewniały z reguły dziedziczne przywileje. Zalecając wzór człowieka, który sam sobie wszystko zawdzięcza, Franklin upatrywał cnoty życia dobrego w cnotach użytecznych. Zalecał on więc pracowitość, oszczędność, wstrzemięźliwość, panowanie nad sobą, umiarkowanie, gdyż one zapewniają solidność finansową, a solidność finansowa jest pierwszym warunkiem zdobycia majątku. Lecz zdaniem Franklina również odwrotna zależność ma miejsce. Przez zdobycie majątku zapewniamy sobie cnotę, gdyż trudno jest człowiekowi biednemu postępować uczciwie. Cnota jest uzależniona od robienia pieniędzy a zdobyty majątek stanowi miarę dobrego życia. Gdy zdobywanie pieniędzy nabywa moralnego ferworu, również nakaz „czas to pieniądź”, którego Franklin jest twórcą, staje się jakąś wtórną moralną regułą życia.

Franklinowski wzór człowieka, którego zasadnicze rysy można odnaleźć u innych „prawodawców” mieszczańskiej moralności (wśród nich Defoe i Volney stanowią w książce Marii Ossowskiej przedmiot obszernych esesjów), zyskał wielu wyznawców i odegrał znaczną rolę w rozwoju gospodarczym XIX wieku. Od Marxa i Maxa Webera toczy się spór o to, czy — mówiąc skrótami — zespół cnót i właściwości franklinowskiego wzoru człowieka przyczynił się do rozwoju kapitalizmu, czy też odwrotnie — w dobie kapitalizmu franklinowski wzór człowieka został przyjęty przez tę klasę, której interesom służył. Maria Ossowska tego sporu nie rozstrzyga i tam gdzie inni widzą związek przyczynowy zadowala się stwierdzeniem zbieżności. Albowiem „dyskusji, czy jajko wcześniejsze od kury, czy kura od jajka, w wielu wypadkach rozstrzygnąć się nie da”. Nie budzi



zastrzeżeń weberowska teza, iż w określonych krajach, epokach i warstwach społecznych etyka purytańska sprzyjała formowaniu się kapitalizmu, a ukształtowany przez nią styl życia przetrwał wygasną w miarę upływu czasu motywację religijną, gdyż okazał się praktyczny. Lecz zastrzeżenia budzi sformułowanie tego spostrzeżenia jako ogólnego prawa, mianowicie że etyka purytańska przyczyniła się do rozwoju kapitalizmu. Zwracano już uwagę na to, iż efekty społeczno-gospodarcze etyki protestanckiej były odmienne, gdy etykę tę przyjmowała arystokracja. We Francji XVIII i XIX wieku katechizm mieszczański opierał się na hedonizmie i był wrogo usposobiony do religii, którą mieszczaństwo angielskie wpręgiło do służby swych ziemskich ambicji. Wprawdzie może się zdarzyć, iż ideologia wyprzedza ukształtowanie się odpowiadającej jej bazy społeczno-ekonomicznej, lecz jak wykazał to Tawney etyka purytańska opierała się początkowo kapitalizmowi i dopiero w miarę upływu czasu wyposażyła człowieka interesu w czyste sumienie. Sprawa jest wielce skomplikowana, co dotyczy nie tylko zależności przyczynowej sugerowanej przez Webera, lecz również, chociaż z odmiennych względów, zależności przyczynowej odwrotnej, jaką postuluje materializm historyczny.

Historyczny materializm ma jednak zasługę odbrązowienia moralności mieszczańskiej. Ukazał on bowiem, iż moralność mieszczańska może zagrażać wszechstronnemu kultywowaniu uzdolnień człowieka i stawać na drodze dalszego rozwoju jego ekonomicznych i pozaekonomicznych aspiracji. Franklinowski wzór człowieka ma odwrotną stronę medalu, której wydobyć na jaw zawdzięczamy w pierwszym rzędzie Marxowi. Maria Ossowska uzupełnia marksowską krytykę moralności mieszczańskiej krytyką z pozycji polskiej literatury szlacheckiej i Młodej Polski, a w skali europejskiej — z pozycji realizmu (Balzac, Flaubert), naturalizmu (Maupassant, Zapolska) i „parnasizmu” (M. Arnold, Tuwim). Walka literatury i sztuki — oprócz pisarzy brali w niej również udział plastycy — z mieszcuchem groszorem, przyziemnym zjadaczem chleba, małostkowym wielbicielem szarej przeciętności, przyczyniła się bardziej niż Marx do rozpoznania pewnego obrazu moralności mieszczańskiej. Maria Ossowska słusznie zwraca uwagę, iż ataku literatury na „drobnomieszczaństwo” i „artystycznego koltuna” nie można traktować jako zamaskowanego manewru przeciw ustrojowi kapitalistycznemu i wielkiej burżuazji (wersja rozpowszechniona w polskim „literaturoznawstwie”). Trzeba jednak dodać, iż podkreślając że dla socjologa w „walce przeciw filistrom dochodziło do głosu zderzenie dwóch światów jak świat hierarchii wartości”, sama wpada incydentalnie w sidła stereotypowej interpretacji literatury à la Żółkiewski operując motywem lęku przed nacierającym proletariatem w socjologicznym naświetleniu krytyki filistynizmu, przeprowadzonej przez Arnolda w „Culture and Anarchy”. Koncepcja kultury elitarniej jest w rzeczy samej stara jak świat — z równym uzasadnieniem można wśród jej wyznaw-

ców umieścić Arnolda, Clive Bella, Ortęga y Gasset i Valéry, co Platona i Horacego — a „zderzenie się dwóch hierarchii wartości” jest stwierdzeniem faktu, które socjologowi nie może wystarczyć. Lecz posługiwanie się niesprawdzalnymi motywami postępowania, nieznanymi jego sprawcy i niedostrzegalnymi dla oka obserwatora, nie stanowi zadowalającej alternatywy.

Każda z właściwości franklinowskiego wzoru człowieka w stanie wybujałym zmienia się z cnoty w ułomność, a przekształcona z środka w cel samoistny nabiera cech karykaturalnych. Balzac, Galsworthy, T. Mann dali epicki obraz kulturalnej mierności moralności mieszczańskiej. Marx podjął generalny atak na jej ograniczoność pretendującą do doskonałości i uniwersalnej ważności, zniekształcenia i cechy karykaturalne, jakie rozwinęła w sobie w toku zwyczajnej kariery życiowej. Skoro pominiemy tę część charakterystyki Marxa, która łączy się z jego socjologią klas i ich wzajemnych stosunków, powyżej zarysowany obraz moralności mieszczańskiej uzupełnić trzeba „wyrzeczeniem się życia i wszystkich ludzkich potrzeb”, gubieniem tego dla czego żyć warto, ocenianiem człowieka pieniądzem, pretensjonalnością i sentymentalizmem, miernością aspiracji, filisterstwem (zamknięciem się we własnym świecie), koltunizmem (bezwładnością obyczaju i lenistwem umysłu) i narodową megalomanią.

## V

Dla rozstrzygnięcia pytania, czy powyższy portret mieszczańskiej moralności odpowiada modelowi, decydujące znaczenie ma sprawa, gdzie modelu będziemy szukać. Albowiem „mieszczaństwo” i podobnie „drobnomieszczaństwo” są terminami wieloznacznymi i odnoszą się do klas lub grup społecznych niejednorodnych, różnych w różnych krajach, o zmiennym i nieokreślonym zakresie. W jednym z początkowych rozdziałów książki Maria Ossowska dokonuje przeglądu znaczeń powyższych terminów dla zorientowania czytelnika, gdzie winien szukać modelu, lecz sama nie podejmuje próby jego społecznej jednoznacznej lokalizacji.

W *Moralności Mieszczańskiej* Maria Ossowska pragnie bowiem zbudować pewne pojęcie wzorcowe lub typowe (w jednym ze znaczeń tego terminu), przydatne w badaniach porównawczych nad moralnością. Pojęcie wzorcowe wyprowadza autorka z pojęć porządkujących, jakimi zajmowali się Hempel i Oppenheim w książce „Der Typusbegriff im Lichte der neuen Logik”, oraz z weberowskiej teorii typów idealnych. W opinii piszącego wiązanie pojęć wzorcowych z pojęciami porządkującymi Hempla i Oppenheima nie jest rzeczą uzasadnioną (3). Natomiast istnieją

(3) Uzasadnienie tego przekonania wymagałoby dłuższego wywodu. Nie chcąc być całkowicie gołosłownym piszący może się jedynie odwołać do swej recenzji książki Hempla i Oppenheima opublikowanej w ostatnim przedwojennym tomie „Kwartalnika Psychologicznego”.



uderzające podobieństwa między typami idealnymi Maxa Webera a pojęciami wzorcowymi Marii Ossowskiej. Typy idealne to pojęcia takie jak „imperializm”, „indywidualizm”, „feudalizm”, „merkantylizm” i podobne niezliczone konstrukcje myślowe. Różnią się one pod tym względem od pojęć innych, iż ich desygnaty nie są dane w doświadczeniu i nie stanowią elementów historycznej rzeczywistości. Typy idealne to pewne twory graniczne, z którymi porównujemy rzeczywiście dane układy lub struktury dla uwypuklenia ich ważnych treści lub właściwości empirycznych.

Pojęcia wzorcowe Marii Ossowskiej są jak typy idealne tworami obdarzonymi pewnymi cechami „w szczególnie pełnym komplecie i szczególnie wyrazistej postaci”, przy czym, jeśli chodzi o humanistykę, cechami jakie w tym komplecie i tej czystości nie są nigdy „zrealizowane”. Różnią się one jednak, jak sądzi Maria Ossowska, od typów idealnych pod jednym ważnym względem. Typ idealny w sensie Maxa Webera jest pewną konstrukcją myślową, stworzoną dla celów badawczych ze względu na jej wartość heurystyczną. „Sądzę”, pisze Maria Ossowska, „że koncepcje wzorcowe mogą kształtować się samorzutnie”. Tak, jej zdaniem, ukształtował się wzorzec moralności chrześcijańskiej (która nie koniecznie musi być moralnością chrześcijan), moralności mieszczańskiej lub moralności proletariackiej (które także nie koniecznie muszą być moralnością mieszczan lub proletariuszy). Lecz wyrażenie „samorzutnie” w kontekście, w którym było użyte, nie tłumaczy się samo przez się, a w każdym razie dla piszącego przedstawia znaczne trudności w zrozumieniu intencji autorki.

Podkreślenie wzorcowego charakteru „moralności mieszczańskiej” było rzeczą konieczną ze względu na inną narzucającą się interpretację tego wyrażenia. „Moralność mieszczańska” to dla wielu po prostu tyle co „moralność służąca interesom mieszczaństwa”. Niezależnie od wspomnianych trudności odniesienia wyrażenia „mieszczaństwo” do jakiejś określonej i jednolitej grupy — trudno przypuścić by jakaś grupa niejednorodna posiadała trwale zbieżne interesy — również termin „interes” nie jest w żadnym wypadku terminem jednoznacznym. Ponadto, jak to Maria Ossowska wywodzi w jednym z końcowych rozdziałów książki, metody posługujące się pojęciem interesu w ustalaniu uwarunkowań społecznych jakiejś doktryny, ideologii lub moralności wymagają nieodmiennie pewnych założeń psychologicznych. Te założenia psychologiczne nie są z reguły explicite wyłożone. Wprawdzie są one czasem truizmami, czasem jednak są prawdami nieprzekonywującymi w ogólnym sformułowaniu. Tak na przykład stwierdzenie, iż wiara w fatalizm — religijny lub „filozoficzny” — pobudza do aktywności, jest stwierdzeniem przekonującym dla mahometanina i marksisty, lecz jawnym fałszem dla wielu innych ludzi. Dodatkową trudnością metody ustalania uwarunkowań społecznych przy pomocy pojęcia interesu jest fakt, iż jakaś doktryna, ideologia lub mo-

ralność może służyć tej samej klasie w różnych sytuacjach społecznych, a również różnym interesom, nie wykluczając interesów grup antagonicznych. Tak jest na przykład z doktryną postępu, która w interpretacji marksistowskiej służyć miała interesom uciemnionej klasy mieszczaństwa francuskiego XVIII wieku, jak również mieszczaństwa XIX wieku, klasy wówczas zwycięskiej i panującej. Idea postępu ma nadto służyć interesom proletariatu, klasy uciemnionej w państwach kapitalistycznych, oraz interesom proletariatu jako klasy zwycięskiej w państwach „socjalistycznych”. Te względy nakazują socjologowi ostrożność i prowadzenie roboty „z oczyma otwartymi na wszelkie ryzyka”.

Pojęcie „moralności mieszczańskiej” naładowane jest ideologicznymi niebezpieczeństwami, co zapewne było przyczyną, iż mimo podstawowego znaczenia w doktrynie marksizmu-leninizmu nikt się go w Polsce w latach ubiegłych nie dotknął. Nie jest wcale rzeczą przypadku, iż tego zadania podjął się socjolog, gdy tylko otwarły się możliwości publikacji. Studium Marii Ossowskiej niepozbawione ułomności, jakie są udziałem każdego dzieła pionierskiego, lecz jednocześnie odkrywcze i pobudzające do dalszych wysiłków badawczych, dostarcza najlepszego dowodu, ile korzyści przynosi praca socjologa w dziedzinach niedawno stanowiących domenę zastrzeżoną dla politycznych amatorów, zawodowych egzegetów i urzędowych ideologów. Jest rzeczą pewną, iż przeprowadzenie tego dowodu *ad oculos* nie było zamierzeniem autorki, lecz recenzentowi tego faktu pominąć nie wolno. Wielką zaletą dydaktyczną *Moralności Mieszczańskiej* jest przemożne przeświadczenie, jakie chyba narzuca się każdemu jej czytelnikowi w kraju, iż „myślenie niezależne od polityki” daje większe osiągnięcia aniżeli gdy było ono skrepowane ideologicznym kaftanem bezpieczeństwa.

Zbigniew JORDAN

## Krajowe nowości poetyckie

Młodego, krajowego poetę, debiutującego dziś, anno 1956, przypadek uchronił od losu jego starszych o kilka lat kolegów. I dlatego w dorobku swym nie będzie mieć wierszy o Partii, o Dzierżyńskim, czy o dobrych i czujnych towarzyszach z U.B. Startuje w momencie, kiedy życie kulturalne zaczyna się odradzać. Wstępuje w szranki pisarstwa w okresie, który jedni nazywają czasem fermentu, inni czasem chaosu. Nie musi iść na służbę



do obcych bogów, aby żyć. Nie musi być bohaterem za cenę milczenia i czekania.

W takich warunkach ukazał się zbiór wierszy Zbigniewa Herberta, *Struna Światła* (\*). Trudno o debiut bardziej dojrzały i piękny. Trzeba by długo szukać pośród pierwszych książek poetów, aby natrafić na serię wierszy tak bezbłędnych językowo i tak kulturalnych, jak utwory Herberta. Kulturalnych? Tak, przede wszystkim kulturalnych. I to jest mój jedyny, na pozór paradoksalny zarzut.

Młody poeta dzisiejszy — obojętnie, francuski czy polski — jest barbarzyńcą, któremu świat w którym żyje ofiarował luksusowe wyroby swej kultury; jednym słowem gotowy układ rzeczy otaczających młodą wyobraźnię. Rozglądając się, przyszedł poeta ma do wyboru dwa, krańcowo odmienne gesty. Może, wzruszoną dłonią przesunąć po kształtach otaczającej go rzeczywistości i opiewać ją na nowo, głosem innym od głosu swych poprzedników. Może też, gestem niewiernego Tomasza wbijać ręce w szczeliny świata i raz po raz przybliżać do oczu wydarte stamtąd światła czy mroki. Nawet za cenę ośmieszających poślizgnięć. I dopiero wiek męski przyniesie wczorajszemu uczniowi zachwytu dokładniejszą wagę do spraw serca i myśli. Dopiero czas, dopiero lata przeżywane, powiążą owe pojedyncze olśnienia i skoki odkrywającego barbarzyńcy w jedną, czułą ideę obejmującą świat.

Przy czytaniu niektórych wierszy Herberta miałem wrażenie iż powstały dlatego ponieważ wrażliwy poeta przejął się od razu ideą rzeczy. Wie np. czym jest w kulturze architektura i, chociaż wychodzi z konkretnego, rozbudowuje i przekazuje nam nie wzruszenie, ale pojęcie z dziedziny wartości estetycznych:

..... Ty jesteś tam  
architekturo  
sztukę z fantazji i kamienia

tam jesteś piękno zamieszkałe  
nad łukiem lekkim...

(Architektura, str. 39 i 40)

W wierszu pt. *Stolek*, zaczawszy mówić o przyjaźni łączącej go z rzeczą, przechodzi następnie w retorykę objaśniającą:

..... Wiesz mój kochany byli szarlatani  
którzy mówili: kłamie ręka kłamie  
oko kiedy dotyka kształtów co są pustką — ...

(str. 63)

Równie „przemyślanym”, a nie wydartym z olśnionej myśli, jest wiersz *Uprawa Filozofii* (str. 53/54), gdzie w składni gadanej („rozumiecie już o co idzie”) poeta rzuca kilka zeschniętych i kanciastych abstraktów, jak np. „idea nieskończoności”.

Przejęcie się sprawami wielkimi i ostatecznymi jest rzeczą potrzebną i chwalebna, ale poeta musi przebyć np. drogę ku myśli o Dobroci poprzez

(\*) Warszawa 1956, Czytelnik, str. 84.

gest wręczania kromki chleba głodnemu dziecku. Taki jest liryczny porządek, taka a nie inna kolejność. Odwracanie tego porządku może doprowadzić do wzniosłego ideolejstwa, gdzie w miejsce starych i wysmianych bogu-ojczyńnianych rekwizytów przychodzą nowe, zaczerpnięte ze sztuki plastycznych i filozofii.

Tom Herberta zawiera na szczęście nie wiele wierszy „odwróconych”. Większość stanowią liryki wyrosłe z konkretnego, napisane od siebie i oszczędnie oprowadzone w słowo. Bardzo cenię w tym zbiorze wiersze: *O Troi*, *Wawel*, *O róży*, *Cmentarz warszawski*, *Zimowy ogród*, *Kaplan...* Pisząc o róży, młody poeta porwał się na jeden z najtrudniejszych, gdyż zbanalizowanych tematów liryki. Z próby tej wyszedł zwycięsko. Oto fragment tego pięknego wiersza.

Wybuch —  
z wnętrza wychodzą  
chorągwie purpury  
szeregi nieprzeliczone  
trębacz zapachów  
na długich motylach trąbach  
obwołują spełnienie.

2

Koronacje zawile  
wiridarze modlitwy  
obrzędy pełne złota  
płonące kandelabry  
potrójne wieże milczenia  
promienie złamane na szczytach  
dno —

O źródło nieba na ziemi  
O konstelacje płatków

\*

Nie pytaj czym jest róża Płak ją może opowie  
Zapach zabija myśli twarz lekkim muśnięciem starta  
Kolorze pożądania  
kolorze płaczących powiek  
Brzemienna kulista słodycz  
czerwień do wnętrza rozdarta

3

Róża pochyla głowę  
jakby miała ramiona

opiera się na wietrze  
a wiatr odchodzi sam

nie zdola wyrzec słowa  
nie zdola wyrzec słowa



*Im bardziej róża umiera  
tym trudniej mówić o róży*



Otwierając pierwszy tom Mikołaja Bieszczadowskiego, *Inna muzyka* (\*\*) wkraczamy w świat poetycki krańcowo odmienny. Tam panowała oszczędność i dopasowywanie różnych, nawet cudzych środków wyrazu, do własnej wizji — tu bogactwo i trwonienie. *Silva rerum*, gdzie co wiersz natrafiamy bądź na cudowną poezję, bądź na bałaganiarskie gadulstwo à la Gałczyński. Mikołaj Bieszczadowski posiada dar szerokiego, bujnego rytmu. Otwiera linię wiersza — a już cisną mu się krocie o zdrowy oddech opartych słów. Wiąże je szczęśliwa, naturalna osnowa dźwięku. Rzecz jednak w tym, że poeta nie zawsze musi pisać. I może dlatego *Inna muzyka* jest tomem tak nierównym, pod względem jakości zebranych w nim utworów. Wiele wierszy „nie bierze”. Jakoś nie mogłem np. objąć wzruszeniem słów poety o Czasie:

.....  
„Ja jestem wielką zasadą — miara i straż stworzenia  
Jestem, co było — imperfectum — niedoskonałe,  
I to jest, choć go nie ma — futurum — a więc się stanie...”  
(Str. 118)

Wyznaję, że wystarczy mi taki mur abstrakcyjnego betonu, czy plastyku, abym przestał odczuwać przepływanie tego jakiegoś lirycznego zadowolenia. Z podobną obojętnością czytałem wiersze zrobione z ech Skamandra i Gałczyńskiego, dające w sumie sentymentalne opowiadania.

Ale tom Bieszczadowskiego zawiera kilka poematów nie ułożonych w drabinkę strof. Pomiedzy nimi natrafiamy na wspaniałą poezję. Mam na myśli *Akacje*, *Odwiedziny przed nocą*, a przede wszystkim *Świt*. Tutaj aż dzwoni i szumi szeroko polszczyzna Bieszczadowskiego. A wyobraźnia, nie zaprzęgnięta rekwizytami, tytułami książek, nazwiskami sławnych ludzi, podrzuca pióru poety nowe, nie widziane dotychczas rzeczywistości, chociaż wynikające ze spraw prostych i codziennych. W antologii polskiej poezji współczesnej na pewno nie zabraknie *Świt*, hymnu ku chwale Ziemi, w którym poeta zawarł swą wielką miłość do świata i do „Dłoni”, które zawiesiły Ziemię w przestworzach.

#### SWIT

*Jeślibyś chciał pokochać gwiazdę, to wybierz taką, która jest najbliższa — tak bliska, że stopą dotykasz jej ciepłego serca.*

*Ma czarne imię: Ziemia.*

*Jest piękna — z jej rąk staczają się wieczne oceany — spowinięta jak przejrzyście płaszczyzny w oddech niezliczonych istnień, które dźwięga na sobie, krąży brzęcząc po gwiazdnych polanach — pszczoła kosmiczna.*

*Zna słodycz macierzyństwa. Kretom pozwala drążyć głęboko w swym żywym cieple, ochrania gniazda żmij w szczelinach skał i czuwa nad powolnym wzrostem ciepła, aby kamienie mogły rozkwitać kryształami.*

(\*\*) Warszawa, 1956, Pax, str. 125.

*Przeraża ją noc. Dotknięta ciemnością wspina się pianami wód do swojego księżycy i bieży, i płynie, i umyka rączy, aby uderzyć znowu o krąg wędz światła.*

*Wtedy zachwycaj się ziemią. Jak wzruszająco jest młoda, płonąca zorzą ros, oblana rumieńcem świtu.*

*Wtedy jest modlitwą.*

*Śpiewa chwałę Dłoni, które na początku dziejów uniosły ją lekko niby gołębicę, aby sfrunęła i potoczyła się drogą, którą jej wyznaczono przedwiecznym aktem twórczym.*

Dwie młode książki, dwóch prawdziwych poetów.

M. PANKOWSKI

## Bakcył górski

Kiedy przed dwoma laty, we wrześniu 1954 roku, ukazała się w języku hiszpańskim książka inż. W. Ostrowskiego *Mas alto que los condors* (*Wyżej od kondorów*), powitały ją entuzjastyczne recenzje po hiszpańsku — i kompletna cisza w prasie polskiej. Jedyna recenzja ukazała się w wychodzącym w Buenos Aires tygodniku „Głos Polski” — i tyle. Polskie czasopisma europejskie, mimo iż książkę tę otrzymały, pominęły ją milczeniem. A właśnie ta książka na milczenie w prasie polskiej nie zasłużyła, była bowiem swego rodzaju rewelacją na rynku wydawniczym w południowej Ameryce: powiedziała o Polsce lepiej i więcej niż całe tomy propagandy i co niemniej ważne zaraziła swym górskim bakcylem szereg młodych Polaków, którzy idąc śladami autora, zrobili wspaniałe wyczyny sportowe: poszli w Andy i zdobyli pięć dziewiczych szczytów. I znowu głośno było o Polakach i w Argentynie i w całym, alpinistycznym świecie.

Ale najpierw słów parę o samej książce: Jest to opis polskiej wyprawy w Andy, odbytej w roku 1934 — a więc książka podróżnicza, o charakterze sprawozdawczym, dokumentalnym. Zaszeregowanie jednak tej książki do pewnego „rodzaju” czy „gatunku” literackiego nie wyczerpuje jej wartości i nie oddaje uroku. Nie jestem fachowcem w dziedzinie wspinaczki wysokogórskiej, przeprowadziłam więc szereg rozmów o tej książce z członkami tutejszego Klubu Andynistów (andynizm jest odpo-

(\*) Ing. Victor Ostrowski, *Mas alto que los condors*, Editorial Alba-tros, Buenos Aires, Str. 340 plus 64 (82 fotografie, 2 mapy, panoramy i rysunki).



wiednikiem europejskiego alpinizmu). Może najtrafniejsze były uwagi młodego Francuza, p. J. G., zresztą towarzysza W. Ostrowskiego w jednej z niedawnych wypraw. Rozmówca mój nazwał tę książkę „dokumentem, który czyta się jednym tchem, jak najlepszą baletrystykę”. Oczywiście, że najbardziej entuzjastmował się opisem technicznym polskiej wyprawy, łącznie z jej ekwipunkiem, a już niemal w zachwyt wprawiły go buty, ściśle mówiąc „rakobuty” używane przez Polaków. Wszyscy andyniści twierdzili zgodnie, że każdy, kto chce robić wyprawy w Andy winien koniecznie poznać książkę W. Ostrowskiego. Książka ta znajduje się w bibliotekach wszystkich tutejszych klubów wysokogórskich i wraz z autorem cieszy się zasłużoną sławą. Ale nie trzeba być ani alpinistą ani andynistą, ażeby znaleźć w tej książce nieprzemijające wartości. Każdego porwie ciekawa, miejscami wręcz sensacyjna treść, podana w świetnej, a urzekająco prostej formie i okraszona najlepszym humorem. I jeszcze jedno — może najważniejsze: z kart książki przebija tak wielkie umiłowanie natury i tak cudowne uczucie przyjaźni łączące ludzi gór, że może ona służyć jako dobre antidotum na pustkę i bezideowość dzisiejszych czasów. A każdy Polak czytając tę książkę jest dumny ze swych rodaków, którzy 22 lata temu przybyli do Argentyny, zdobyli Aconcagua (najwyższy szczyt obu Ameryk — 7.035 metrów), weszli na dziewiczy szczyt Mercedario (drugi co do wysokości), odkryli i zdobyli nowy szczyt, nazwany później przez Argentynczyków na cześć wyprawy „Pico Polaco” (Szczyt Polski), a „po drodze” zdobyli jeszcze trzy szczyty, z których najniższy przekraczał 5.000 metrów.

Wyprawa ta dzięki świetnej formie, doskonałej organizacji i ekwipunkowi została nazwana w oficjalnej, argentyńskiej monografii: „Historia del Aconcagua” wzorem wyprawy — *la expedicion modelo* — i do tej pory mówi się o niej wśród ludzi gór, którzy książkę W. Ostrowskiego powitali jako dobrego, od dawna oczekiwanego przyjaciela. Autor otrzymał szereg listów z obu Ameryk. Pisały przeróżne kluby, pisali alpinisci i andyniści, pisały osoby nic nie mające ze wspinaczką wspólnego. Komendant posterunku straży granicznej w Chile powiada: „...jestem dumny, że posiadam tę piękną książkę”. Znany andynista chilijski, mieszkający obecnie w Kalifornii zobaczył tę książkę na wystawie w Meksyku, gdzie bawił przejazdem, po przeczytaniu pisze, że cieszy się wydaniem wreszcie po hiszpańsku dokładnej relacji o słynnej, polskiej ekspedycji, relacji, która ma wszelkie cechy doskonałej powieści. Związek Andynistów w Santiago de Chile prosi W. Ostrowskiego o współpracę pisarską w roczniku swoim, w którym pisują sławy wysokogórskie świata. Przychodzą listy do wydawcy, gratulujące mu wydania tej książki; zyskała ona zaszczytną wzmiankę w organie Związku Wydawców „Libros seleccionados”; wszystkie dzienniki i czasopisma argentyńskie: Prensa, Nación, Razón, Laborista, Los Andes itp. rozpisują się o niezwykłych walorach książki, mówi się o niej w ra-

dio, podkreśla się wkład polski do dziejów andynizmu, podkreśla się, że Polak, autor tej książki, uczestnik polskiej wyprawy jest jednym z najlepszych „speców” górskich na terenie Argentyny, drukuje się o tym Polaku artykuły, zaprasza się go na odczyty — czyż można wyobrazić sobie lepszą propagandę polskości? Książka W. Ostrowskiego osiągnęła już drugie wydanie w języku hiszpańskim — nie ukazała się jednak dotychczas w języku polskim — dlaczego? a no z tej prostej przyczyny, że autor nie może znaleźć wydawcy.

Wiktor Ostrowski napisał już jedną książkę po polsku o swojej wyprawie w Andy. Wyszła ona w Polsce w roku 1935 pt.: „Na szczytach Kordyliarów”, ale książka obecna nie jest tłumaczeniem poprzedniej, jest to zupełnie na nowo napisana książka o przeżyciach już raz opisanych. Zawiera nowe rozdziały, jest zaktualizowana — jeśli chodzi o zagadnienie andynizmu — do roku 1954, zawiera nowy materiał ilustracyjny (rysunki, mapy, 82 zdjęć), a przy końcu książki autor umieścił wykaz zdobytych szczytów And, oraz listę zdobytych, najwyższych (ponad 7.000 m.) szczytów świata. Wykazy te zostały opracowane po raz pierwszy w historii alpinizmu i to właśnie przez Polaka, który za tę swego rodzaju monograficzną pracę otrzymuje słowa uznania z całego świata i zewsząd życzliwe uwagi i uzupełnienia. Z wykazów tych ważny czytelnik łatwo dowie się o polskim wkładzie w dzieje sportu wysokogórskiego, odnajdując ilość szczytów zdobytych przez Polaków.

Nie można więc mówić, czy pisać jedynie o wartościach literackich „Mas alto que los condors”, gdyż wartości poza literackie mają tak rozległy zakres i są tak różnej natury, że książkę należy potraktować jako swego rodzaju wydarzenie i to „wydarzenie” chlubne w skutkach.

Jednym właśnie z tych chlubnych skutków jest wspomniany przeze mnie na wstępie jej wpływ na polską młodzież w Argentynie. Inż. Ostrowski wprowadził tę młodzież do Klubu Andynistycznego (Club Andino de Buenos Aires). Chłopcy zaczęli zaprawiać się do wspinaczki na terenie zburzonej fabryki, włączając „na początek” na kominy, bo Buenos Aires leży na beznadziejnie płaskiej równinie, setki kilometrów od „uczciwych gór”, a w grudniu 1955 roku wyruszyli na wyprawę w Andy. Mieli już poza sobą wspinaczkę po „łatwych” górach w Bariloche, teraz postanowili zaatakować kamienne olbrzymy And, bo po przeczytaniu książki Ostrowskiego doszli do wniosku, że należy odnowić polską tradycję, zdobyć nowe szczyty i to koniecznie „dziewicze”, bo wyprawa musi być odkrywczą. No i w rezultacie odkryli i zdobyli pięć nowych szczytów, z których najniższy (5.000 m.) ochrzczili: „Giewont”, najwyższy (5.400 m.) nazwali: „Orzeł Biały” (Aguila Blanca) a te pośrednie nazwano: „Tatra”, „Karpiński” (członek polskiej ekspedycji w Andy w roku 1934, który zginął w Himalajach w 1939), oraz C.A.B.A. (skrót nazwy klubu, do którego należą zdobywcy). Przy okazji trzeba jeszcze



wspomnieć, że ci sami młodzi zdobywcy, pierwszy swój szczyt, zdobyty w ubiegłym roku nazwali imieniem autora książki.

I znowu prasa argentyńska rozpisywała się o Polakach, znowu były fotografie, odczyty, uznanie, znowu mówiło się o książce W. Ostrowskiego, która była natchnieniem wyprawy. Bakcył gór działa nadal, bo nasi młodzi zdobywcy (najstarszy ma lat 22) myślą już o następnej wyprawie na Lodolad, czyli znowu śladami autora, który w roku 1952 był uczestnikiem pierwszej wyprawy w te, białą plamą na mapach oznaczone, rejon Argentyny.

Dla nas, mieszkających w Argentynie, książka jest specjalnie bliska, bo stała się już częścią naszych tu dziejów, dlatego pisząc o niej poświęciłam mniej uwagi omówieniu jej wartości literackich — na to będzie czas, gdy ukaże się wersja polska — a potraktowałam szerzej całą „atmosferę” jaką książka ta wytworzyła na terenie świata mówiącego językiem hiszpańskim, gdyż ten jej aspekt wyrasta nawet ponad jej bezsprzeczne walory literackie. A walory te sprawiają, że z kart książki wylania się piękny, mało komu znany świat gór, wylania się ciekawe życie ludzi „gór”. Życie pełne emocji i radości, pełne najlepszych, najszlachetniejszych uczuć. Oczywiście, jest ono również pełne niebezpieczeństw, ale — jak przytacza autor w zakończeniu swej książki — stare tybetańskie przysłowie powiada: „kto idzie w góry, ten składa swój los i swoje życie na kolanach bóstw góry zamieszkujących”.

Waleria FUKSA

**LEKARSTWA  
MATERIAŁY  
ŻYWNOŚĆ**  
NAJSZYBCIEJ, NAJKORZYSTNIEJ, NAJTANIEJ  
wyślesz przez

**P. C. STORES**

STEFAN BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London S.W.7, England

Cennik nasz, dostosowany do przepisów celnych w Polsce  
jest naszą najlepszą reklamą.

## Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE

### POEZJA

- BUJNOWSKI (Józef). *Krawędzie*.  
Wiersze. Str. 13. (Polskie T-wo  
Literackie, Londyn, 1956).  
NIEMOJOWSKI (Jerzy). *Żrenice*.  
Dwa arkusze poezji. Str. 58.  
(Wyd. Polskie T-wo Literackie,  
Londyn, 1956).

### KLASYCY LITERATURA

- PAWLIKOWSKI (Michał K.).  
*The living „Pan Tadeusz”*. Str.  
399-408. Odbitka z „Mickiewicz  
in World Literature Symposium  
edited by W. Lednicki, Universi-  
ty of California Press, Berkeley  
and Los Angeles, 1956).  
LEGRAY (Jacques). *Dans la colère  
de Dieu*. Roman. Pp. 279 (Les E-  
ditions Haussmann, Paris, 1956,  
fr. 700).

### RÓŻNE

- DMOCHOWSKI (Zbigniew). *Dzie-  
ła architektury w Polsce*. Słowo  
wstępne Lionel B. Budden, M.A.,  
F.R.I.B.A. Str. 432. Liczne ilus-  
tracje w tekście. Bibliografia i  
Skorowidz. (Wyd. The Polish  
Research Centre, Ltd., Londyn,  
1956).  
*Kalendarz Rodziny Polskiej na rok  
Pański 1957*. Rocznik IV. Str.  
264. (Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”,  
Londyn, 1956).  
MAŁANIUK (E.). *Do problemu  
bolszewizmu*. Str. 83. (Wyd.  
Stow. Ukr. Młodzieży Amery-  
kańskiej, New York, 1956).

KRUPNYCKYJ (B.). *Federalizm  
na Schodi Jewropi*. Str. 35.  
(Wyd. Pierwsza Ukr. Drukarnia  
we Francji, Paryż, 1956).

RUDNYCKYJ (Jar.). *Materiali do  
ukraińsko-kanadyjskiej folklorystyki i  
dialektologii*. Str. 280. (Wyd.  
UVAN, Winnipeg, 1956).

SWOBODA (W.). *Słowjańska  
czastina oksfordskoho heptahłota*.  
Str. 59. (Wyd. UVAN, Winni-  
peg, 1956).

POMORSKI (Edward Dr). *Nasza  
szkoła*. Podręcznik na klasę trze-  
cią szkół powszechnych na emigra-  
cji. Str. 80 (Nakł. Macierzy  
Szkolnej Wolnych Polaków w  
Belgii, Bruksela, 1956).

POMORSKI (Edward Dr). *Nasza  
rodzina*. Podręcznik na klasę pią-  
tą szkół powszechnych na emi-  
gracji. Ilustr. Edward Rusinowski.  
Str. 86. (Nakł. Macierzy Szkolnej  
Wolnych Polaków w Belgii, Bruk-  
sela, 1956).

### DOKUMENTY CHWILI

INKELES (Alex). *L'Opinion pu-  
blique en Russie Soviétique. Une  
étude sur la persuasion des mas-  
ses*. Pp. 339. (Ed. Les Iles d'Or,  
Paris, 1956).

MARKUS (Vasyl). *L'Incorporation  
de l'Ukraine Subcarpathique à  
L'Ukraine Soviétique*. 1944-1945.  
Pp. 144. (Ed. Centre Ukrainien  
d'Etudes en Belgique, Louvain,  
1956).



## WYDAWNICTWA KRAJOWE

## WYDAWNICTWO LITERACKIE — Kraków :

- ORDYŃSKI (Ryszard). *Z mojej włóczęgi*. Str. 431 (zł. 13).  
 BŁOŃSKI (Jan). *Poeci i inni*. Str. 276 (zł. 8,50).  
 SANDAUER (Artur). *Moje odchylenia*. Str. 244 (zł. 8).  
 PROMIŃSKI (Marian). *Salamanca*. Str. 259 (zł. 7,70).  
 CZERKAWSKA (Maria). *Wiersze wybrane*. Str. 136 (zł. 6).
- Helena Modrzejewska na scenie krakowskiej. 1865-1869. Str. 44 plus X plus 68 fotografii (zł. 40).  
 BOGUCKI (Janusz). *Szkice krakowskie* (Od Stwosza do Kantora). Str. 216 (zł. 18).  
 MORTKOWICZ - OLCZAKOWA (Hanna). *Piotr Michałowski*. Str. 315.

## Z cyklu „Biblioteka Polska” :

- ŻEROMSKI (Stefan). *Uroda życia*. Str. 487.  
 REYMONT (Władysław St.). *Komediantka*. Str. 417.  
 SIENKIEWICZ (Henryk). *Quo vadis?* Str. 759.  
 KRASZEWSKI (J.I.). *Chata za wsią*. Str. 411.  
 PRUS (Bolesław). *Placówka*. Str. 328.
- RODZIEWICZÓWNA (Maria). *Dewajtis*. Str. 335.  
 ORZESZKOWA (Eliza). *Dziurdziowie*. Cham. Str. 503.  
 DĄBROWSKA (Maria). *Opowiadania*. Str. 327.  
 NAŁKOWSKA (Zofia). *Romans Teresy Hennert*. Str. 232.

## P.I.W. — Warszawa :

- ZELEŃSKI (Tadeusz) (Boy). *Pisma*. T. I.: *Słówka*. Str. 498 (zł. 18); T. II.: *Znasz-li ten kraj?... i inne wspomnienia*. Str. 582 (zł. 18).  
 REYMONT (Władysław St.). *Sprawiedliwie i inne opowiadania*. Str. 223. Wyd. II.  
 WAŻYK (Adam). *Zeszyt wierszy francuskich*. Str. 167. (zł. 10).  
 BUONARROTI (Michał Anioł). *Poezje*. Wybór. Przeł. Leopold Staff. Str. 112. (zł. 7,50).  
 KASPROWICZ (Jan). *Księga ubogich*. Str. 133. (zł. 9,70).  
 KASPROWICZ (Jan). *Świat się kończy*. Dramat. Str. 118 (zł. 5,40).  
 BRONIEWSKI (Władysław). *Anka*. Poezje. Str. 47 (zł. 2).  
 SŁOWACKI (Juliusz). *Poezje*. Str. 173 (zł. 11,50).  
 RONSARD (Pierre de). *Poezje*. Wybór. Str. 125 (zł. 7,10).
- KOCHANOWSKI (Jan). *Lyrice*. Wybór. Przekład Leopolda Staffa. Str. 30 (zł. 4,80).  
*Antologia poezji polsko-lacińskiej 1470-1543*. Str. 342. (zł. 26,70).  
 KRASICKI (Ignacy). *Komedie*. Str. 414 (zł. 26,50).  
 PRUSZYŃSKI (Ksawery). *Opowieść o Mickiewiczu*. Str. 309 (zł. 14,30).  
 SZWANKOWSKI (Eugeniusz). *Alojzy Żółkowski (ojciec)*. Str. 79 (zł. 6,80).  
 DĄBROWSKA (Maria). *Znaki życia*. Str. 142 (zł. 8,10).  
 ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *Książka dla Marcina*. Wydanie II. Str. 107 (zł. 7).  
 ESTREICHER (Karol). *Nie od razu Kraków zbudowano*. Str. 218 (zł. 7).  
 STAWIŃSKI (Jerzy Stefan). *Godzina „W”*. Węgry. Kanal. Str. 164 (zł. 5).

- KOTT (Jan). *Mitologia i realizm*. Str. 229 (zł. 10,80).  
 KRASZEWSKI (J.I.). *Sto diabłów*. Str. 470 (zł. 19,60).  
 JASTRUŃ (Mieczysław). *Wiersze zebrane*. Str. 586 (zł. 38,10).  
 SOWIŃSKI (Adolf). *Lata szkolne*. Powieść o Stefanie Żeromskim. Wyd. II. Str. 393. (zł. 12).  
 NAWROCKA (Barbara). *Dwie miłości*. Str. 237 (zł. 7,70).  
 IWASZKIEWICZ (Jarosław). *Sława i chwała*. T. I. Str. 528 (zł. 28,50).  
 MIKULSKI (Tadeusz). *Ze studiów nad Oświeceniem*. Zagadnienia i fakty. Str. 555 (zł. 33,80).
- WIECHECKI (Stefan). *Śmieję się pan z tego*. Dzieła wybrane. Tom I. Str. 383, T. II. Str. 527 (całość zł. 44).  
 HOŁUJ (Tadeusz). *Marzenia*. Str. 193 (zł. 6).  
 ŻULAWSKI (Mirosław). *Drzazgi z bambusa*. Str. 339 (zł. 13,50).  
 FREDRO (Aleksander). *Pisma wszystkie*. T. I.: *Komedie*. Str. 524 zł. 19,30; (1955) T. II.: *Komedie*. Str. 356, cena zł. 11,70 (r. 1955); T. III.: *Komedie*. Str. 504, cena zł. 16 (r. 1955); T. IV.: *Komedie*. Str. 422. Cena zł. 14 (r. 1956); T. V.: *Komedie*. Str. 448, cena zł. 14 (r. 1956).

## OSSOLINEUM — Wrocław :

- OSSOWSKA (Maria). *Moralność mieszczańska*. Str. 326. Łódzkie T-wo Naukowe, Nr 22 (zł. 37).  
 SPIONEK (Halina). *Trudności wychowawcze i przestępczość nieletnich*. (Analiza psychologiczna). Str. 195 (zł. 14).
- Album studiosorum universitatis Cracoviensis*, Tomus V. Str. 207 (zł. 35,50).  
 FROMENTIN (Eugène). *Mistrzowie Dawni*. Przeł. Jan Cybis. Str. 294 plus LVII (zł. 50).

## WYDAWNICTWO „ISKRY” — Warszawa :

- BLAHIJ (Kazimierz). *Opowieść z Kattegatu*. Str. 167 (zł. 7,85).  
 PRZYBYLSKI (Wacław), ROKI-TA (Andrzej). *Zgadnij-zgadula czyli bawmy się razem*. Str. 58. (zł. 5,30).  
 LONDON (Jack). *Zew krwi*. Przeł. Eleonora Romanowicz. Str. 115. (zł. 5,30).  
 BRZOZA (Jan). *Dzieci*. Str. 208. (zł. 11,70).  
 MEISSNER (Janusz). *Dywizjon 303*; wyd. VIII. Str. 131.  
 PARANDOWSKI (Jan). *Wojna Trojańska*. Str. 123. (zł. 10).  
 FIEDLER (Arkady). *Wyspa Robinsona*; wyd. III. Str. 250. (zł. 13,40).  
 CENTKIEWICZOWIE (Alina i Czesław). *Zdobywcy bieguna północnego*. Str. 247 (zł. 9,20).  
 DĄBROWSKA (Maria). *Uśmiech dzieciństwa*. Str. 127 (zł. 6,10).
- ROLLECZEK (Natalia). *Oblubienice*. Cz. II „Drewnianego Różańca”. Str. 212.  
 MEISSNER (Janusz). *Trzy diamenty*. Str. 303 (zł. 12).  
 LEM (Stanisław). *Obłok Magellana*; wyd. II. Str. 409 (zł. 20).  
 SEGAL (Kalman). *Opowiadania z zabitego miasteczka*. Str. 199. (zł. 5,80).  
 ODOJEWSKI (Włodzimierz). *Do brej drogi Mario*. Kretowisko. Str. 158 (zł. 7,90).  
 MEISSNER (Janusz). *Tajfun z południo-wschodu*; wyd. II. Str. 233 (zł. 3).  
 MAJAKOWSKI (Włodzimierz). *Młodym*. Wybór wierszy; red. Anatol Stern. Str. 236.  
 ŻEROMSKI (Stefan). *Szyfrowe prace — Opowiadania — Szkice*. Str. 506.

Otrzymaliśmy ostatnio tak dużo książek recenzyjnych z Kraju, że w braku miejsca resztę bibliografii zamieścimy w numerze styczniowym.



## Listy do Redakcji

List otwarty do Zarządu Towarzystwa Pomocy Wdowom i Sierotom po Żołnierzach Polskich,  
48, Redcliffe Square, Earls Court, London, S.W.10.

Wielce Szanowni Państwo,

Ponieważ na moje listy z dnia 21 lipca 1956 i 20 sierpnia 1956 otrzymałem wymijające odpowiedzi w sprawie zasiłku wdowiego dla wdowy po Prezydencie Rzeczypospolitej i Najwyższym Zwierzchniku Sił Zbrojnych, a na mój list z dnia 24 września nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, zmuszony jestem, wbrew mojej woli oraz bez wiedzy Wdowy, wystąpić na drogę publiczną w przykrej sprawie Jej zaopatrzenia.

Fundusz, którym Państwo dysponują, składa się ze składek żołnierzy i oficerów Polskich Sił Zbrojnych. Doszły do tego dotacje pieniężne z różnych publicznych źródeł.

O ile mi wiadomo, Zarząd Funduszu prowadzi przedsiębiorstwa zarobkowe na szerszą skalę, i to:

- 1) hurtownie towarów spożywczych pod firmą P. and B. Supply Centre Ltd.,
- 2) dwa hotele w Brighton,
- 3) przedsiębiorstwo paczkowe w Londynie p. f. White Eagle Stores,
- 4) skład detaliczny pod tą samą firmą.

Niewątpliwie wszystkie te przedsiębiorstwa nie są deficytowe i dają dochody, inaczej byłyby zlikwidowane.

Przez kilka lat Panowie płacili zapomogę wdowie po Prezydencie Rzeczypospolitej i Najwyższym Zwierzchniku Sił Zbrojnych. Od c-a roku Panowie przestali takową wypłacać. Dziwne się wydaje, że Panowie od tego czasu wzbraniają się wypłacać zapomogi wdowie po Prezydencie Rzeczypospolitej i przesuwają ten obowiązek na Egzekutywę Jedności Narodowej.

Faktem jest, że wdowa po Prezydencie Rzeczypospolitej i Najwyższym Zwierzchniku Sił Zbrojnych jest na utrzymaniu angielskiego Assistance Board i otrzymuje w gotówce 4/— tygodniowo kieszonkowego. Suma ta równa się jednorazowemu przyjazdowi Wdowy z miejsca zamieszkania do Londynu i z powrotem.

Panie i Panowie, którzy stoją na czele Stowarzyszenia Pomocy Wdowom i Sierotom może złożyć, żeby usprawiedliwić swoje postępowanie przed opinią publiczną polską, to jest przede wszystkim w prasie, sprawozdanie na co są obracane zyski z przedsiębiorstw handlowych, które Państwo prowadzą i które wyżej wymienilem. Może też Państwo zdadzą sprawozdanie ile zostało wypłacone wdowom i sierotom po żołnierzach polskich w porządku kalendarzowym: w gotówce, w innych świadczeniach i w bezpłatnych paczkach dla wdów i sierot w Polsce. Społeczeństwo polskie winno również wiedzieć jakie są koszty administracji Funduszu, w szczególności ile wynoszą pensje członków Zarządu. Takie publiczne sprawozdanie powinno być składane na końcu każdego roku kalendarzowego.

Do czasu takiego sprawozdania nie uwierzę w to, ażeby Fundusz Wdów i Sierot po Żołnierzach Polskich nie mógł spełnić swoich statutowych obowiązków wobec staruszki wdowy po Prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej i Najwyższym Zwierzchniku Sił Zbrojnych.

Łączę wyrazy poważania

Stanisław JÓŹWIAK,

15/16, Prince of Wales Terrace, London, W.8.

Londyn, listopad 1956.

Szanowny Panie Redaktorze!

Gromadzenie przyczynków do niedawnej historii należy na pewno do zadań emigracji. Słusznie więc „Kultura” (nr 9/1956) przynosi wspomnienie o *Gospodarce Narodowej*. Był to fragment dziejów naszej myśli gospodarczej, a ze szczegółów składa się całość.

Niestety, dwie trzecie artykułu, to skrót historii lat 1926-1939, z największym naciskiem na rozgrywki personalne, w bardzo swoistym ujęciu autora, podpisanego pseudonimem „Janusz Negryński”.

Zdumiewającej oceny, jakoby poparcie ze strony Marszałka Piłsudskiego stanowiło „główną kwalifikację” prof. Ignacego Mościckiego na Prezydenta R.P. nie poparto nawet cieniem argumentu. Pakt łanckoroński z 1923 roku i rząd Chjeno-Piasta mamy uznać za „bezpośrednią” przyczynę przewrotu majowego. W dokładnej sprzeczności z rzeczywistością twierdzi Autor, jakoby w następstwie Dzikowa i Nieświeża reforma rolna stosowana była „przede wszystkim do majątków niemieckich”. Pożyczkę stabilizacyjną z 1927 roku nazywa dillonowską, potem powiada, że warunki koncesji proponowane przez koncem Harrimana „nie były gorsze od dillonowskich” — jakby to były kategorie porównywalne. Ta część nie jest żadnym przyczynkiem, osłabia zaś zaufanie czytelnika do całości wspomnień.

Dalsze uwagi ograniczam do *Gospodarki Narodowej* zastrzegając, że pamiętać może mnie mylić, materiałów zaś do tego tematu nie mam.

Czytam na str. 96, że najpierw nabrało znaczenia pismo, a związany z nim klub „rozwinął swą działalność dopiero później”. W takim ujęciu zataił się fakt, że przecież klub narodził pismo, nie odwrotnie. Klub powstał w końcu 1929 roku lub na początku 1930 roku jako luźne grono kilku, potem kilkunastu osób, zbierających się w prywatnych mieszkaniach, bez organizacji, bez nazwy. Inicjatorem był chyba Czesław Bobrowski, na pewno inicjator pisma. O jego potrzebie mówił mi już 3 maja 1930 roku, w wagonie między Puławami i Warszawą. Nazwę „Gospodarka Narodowa” przyjęło dla pisma i dla klubu po żywej dyskusji, na wniosek Zygmunta Szemplińskiego.

Po powrocie Bobrowskiego z Moskwy w 1932 roku klub uzyskał na zebrania lokal tow. Polros, na Jasnej. Przyjęto kilku nowych członków, ale utrzymano zasadę nieprzyjmowania kobiet. Chodziło o to, że do mężczyzn mogliśmy stosować ostrą selekcję, odrzucać kandydatów wywołujących sprzeciw. Podobne odrzucanie na przykład żon kolegów byłoby kłopotliwe.

Nie wydaje mi się, by przed 1936 rokiem liczba stale uczęszczających na zebrania klubu przewyższała 20 osób. Niektórzy wymienieni w omawianym artykule mieli z klubem kontakt bardzo luźny. Pisujących do *Gospodarki* było więcej. Natomiast życie się czynnej grupy było dość silne, co nie wyłączało konfliktów. Pomimo szerokiej skali przekonań politycznych i zupełnej swobody wypowiedzi osiągnęliśmy zadziwiająco często zgodne oceny aktualnych zagadnień polityki gospodarczej. Dzięki temu właśnie uzgadnianie w Komitecie redakcyjnym artykułów wstępnych nie prowadziło do ich bezbarwności. Ta niepokojąca nas niekiedy harmonia poglądów skończyła się, gdy części członków znudziło się szukanie dróg, gdy zamiast wolnej trybuny zapragnęli mieć narzędzie działania.

Michał Kaczorowski był prezesem klubu, ale nie od początku. W pierwszych latach prezesa nie było, na zebraniach zaś przewodniczył każdorazowy prelegent. Ten ostatni starał się również o herbatę, kanapki i herbatniki. Uważaliśmy, że prelegent najłatwiej ustrzeże dyskusję przed zejściem na manowce i wydobędzie z niej najwięcej dla oświecenia tematu. Wydaje mi się, że system ten działał sprawnie zanim zebrania stały się zbyt liczne i dopóki wszyscy się dobrze znali.



Obszernie rozważa p. Negryński pytanie, dlaczego *Gospodarka* nie uległa prześladowaniom ze strony policji, cenzury lub członków rządu. Przypisuje „zbiegowi okoliczności” że nie zawarły się nad nią „oka różnych sieci”. Twierdzi, że na tym tle powstała legenda o potęgze mafii urzędniczej.

Nie tylko ów strach przed „mafią”, ale i samo zagadnienie wydaje mi się tworem fantazji. Nie zagrażaliśmy bezpieczeństwu państwa ani porządkowi publicznemu, nie stanowiliśmy więc przedmiotu zainteresowań policji. Cenzury prewencyjnej nie było. Marzyliśmy niekiedy o konfiskacie jakiegoś numeru przez prokuraturę, co zwiększyłoby znacznie popularność pisma, ale żaden prokurator nie chciał nam tej przysługi oddać. Mógł się ten czy inny dygnitarz skrzywić, mógł któryś z autorów narazić się na uwagi, ale na ogół ministrowie rozumieli, że poważne rozważanie spraw gospodarczych zasługuje na pochwałę raczej niż potępienie. *Gospodarka* nie potrzebowała prześlizgiwać się przez „oka sieci”, bo nikt na nią sieci nie zastawiał.

Ostatnie zastrzeżenie dotyczy rzekomej analogii pomiędzy treścią *Gospodarki Narodowej* a tak zwaną „samokrytyką” w „demokracjach ludowych”. Nie pamiętam ani jednego artykułu, uwagi, czy notatki w *Gospodarce*, gdzie autor kajałby się z powodu własnych błędów.

Łączę wyrazy poważania

Józef PONIATOWSKI

Londyn, listopad, 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Bylbym bardzo wdzięczny Panu Redaktorowi za łaskawe umieszczenie w „Kulturze” następującego oświadczenia:

Zapowiedź wydania mej książki pod nieznanym mi tytułem „Pamiętniki” w katalogu „Czytelnika”: „Wstępny projekt tytułowego planu wydawniczego na rok 1956” została podana bez mej wiedzy i zgody.

Z poważaniem

Ślawoj SKŁADKOWSKI

„LIST OTWARTY”

Londyn, listopad, 1956.

Wstrząsnął mną „List Otwarty” profesora doktora Marcina Kacprzaka, umieszczony w jednym z październikowych numerów „Życia Warszawy”. Listy otwarte są zwykle bombą, poruszającą opinię w ważnych sprawach politycznych lub społecznych. Toteż profesor Kacprzak tłumaczy się: „w poczuciu obywatelskiego obowiązku zabieram głos w... sprawie wstydliwie przemilczanej”. Sprawa to za którą „człowiek, kochający swój kraj musi się rumienić”. Ale dosyć zagadek! Profesor Kacprzak dzwoni na alarm, gdyż w trzeciej części szkół w Polsce brak zupełnie ustępów, a spośród istniejących wiele jest bez dachów, drzwi, i z przepelnionymi dolami. Są to dane ze zjazdu lekarzy szkolnych w Państwowym Zakładzie Higieny. Dla

przykładu w województwie Warszawskim „na 961 zbadanych szkół, w 204 szkołach ustępów brak, a w 258 są ustępy prowizoryczne, złe, zrujnowane”.

Tymczasem, jak słusznie mówi profesor, „ustęp jest niezbędny nie tylko ze względów higienicznych, lecz przede wszystkim i głównie ze względów kulturalnych... najmniejsza, najuboższa szkoła nie powinna istnieć bez ustępu nawet jednego dnia”. Tu profesor, zawstydzony widocznie poruszonym tematem, który kiedyś za moich czasów, zasmucał, ale i bawił wielu, tłumaczy czytelnikowi:

„Wyśmiewaliśmy przed wojną „ślawojki”. I może rzeczywiście ustępy nie powinny być przedmiotem zainteresowania ministra i premiera, który ma przecież wiele innych ważkich spraw państwowych do rozstrzygania, mogą to robić jego podwładni. Przynajmniej jednak, że za owych czasów z ustępami było lepiej niż obecnie”.

Tak, „było lepiej” i to jest najważniejsze, a czy jaki premier i minister „skompromitował się” przy tym i był wyśmiewany, to doprawdy głupstwo! Faktem natomiast jest, że podwładni załatwiają zwykle przede wszystkim to, na co położony kładzie szczególnie mocny nacisk. Dlatego przed wojną ślawojki istniały i powstawały nowe, bo Ślawoj naciskał.

Zresztą profesor Kacprzak pośrednio przyznaje mi rację, mówiąc jakże słusznie: „Powtarzam raz jeszcze — poruszone sprawy nie są wyłącznie zagadnieniem lekarskim. Dotyczą wszystkich obywateli kraju: członków Izby Ustawodawczej i Rady Państwa, wszystkich ministrów (nie tylko ministra Zdrowia) i premiera, Rad Narodowych i organizacji społecznych, uczonych i artystów, pisarzy i pedagogów i wszystkich, komu leżą na sercu sprawy naszego kraju”.

Sumituje się jednak profesor, rozumiejąc, że „to co pisze naukowcowi honorów nie przysparza, jest niepopularne i nieciekawe”.

Tak, „honorów nie przysparza” — to na pewno i nawet poważnego profesora mogą za to wyśmiać, a cóż dopiero Ślawoja. Ale ja, może niesłusznie, uważam, że mieć w Polsce cokolwiek nazwane własnym imieniem — to honor!

Odzywam się tu na wygnaniu na gorący apel doktora Kacprzaka, żeby głos jego nie zamarł... na puszczy. Ale, czy w obecnych warunkach bytowania ludności Polski nawet gromki, ofiarny głos profesora cokolwiek pomoże?!

Ślawoj SKŁADKOWSKI

Caracas, 3. 11. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

„Rejtanowski” list p. Janusza Kowalewskiego zamiast spodziewanego dramatycznego efektu, wywołał coś wręcz przeciwnego. Zamiast „obrony kultury” rozpoczyna atak i walkę „środkami demokratycznymi”, tak długo aż się „Kultura” pokaja i „się wyrzeknie jawnie” herezji p. Mieroszewskiego.

Nie będę bronił p. Mieroszewskiego, bo on to na pewno sam robi — i robi lepiej. Wszystko co pisze ten najlepszy polski publicysta na emigracji, jest nacechowane odwagą cywilną, znajomością tematu i realizmem. Jeżeli ktoś upodabnia się do Don Kiszota i ma chęć na walkę z wiatrakami, to na pewno nie p. Mieroszewski.



P. Kowalewski cytuję zakończenie artykułu, które brzmi: „... celem naszej polityki jest wyłącznie odzyskanie niepodległości, a nie... zagłada Związku Sowieckiego i wyniszczenie komunizmu na wszystkich ładach ziemi”. Przeciw temu celowi będzie walczył. Rozpoczyna swą walkę, rezygnując z „bezpłatnego” czytania „Kultury”.

A przecież p. Mieroszewski napisał *przed* zakończeniem swego artykułu że: „Jest rzeczą zasadniczej wagi, by ów nieszczęsny polski maksymalizm („wszystko lub nic” hasło emigracyjnych białogwardystów) nie przysłonił Polakom w Kraju tych możliwości, które — być może — przed nimi się otworzą. Trzeba sobie z góry powiedzieć, że ograniczone warunki narzucają ograniczony program”. Wedle stawu grobla.

„Bałamutne” jest stanowisko i cel jaki sobie stawia p. Kowalewski, natomiast stanowisko p. Mieroszewskiego i zespołu „Kultury” okazało się bardzo realne.

Z należytych szacunkiem



R. WALEWICZ

JUŻ ROZPOCZELISMY WYSYŁKĘ  
NAJNOWSZEGO LEKARSTWA NA GRUŻLICĘ  
(TUBERCULOSIS)

**Seromycin-Cycloserin**

CENA \$17.70 ZA 40 KAPSULEK

Lotniczo. Asekurowane. Gwarantowana dostawa w Polsce 9-10 dni.

**Overseas Pharmaceutical Company**

2067 Broadway

(przy 72 ulicy)

New York 23, N. Y.

Telefon SU 7-7483

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHLswick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.  
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,  
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.  
Dépôt légal: 4<sup>e</sup> Trimestre 1956.

## PRZEDSTAWICIELSTWA

|                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                  | Egz. poj.   | Prenumerata  |              |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-------------|--------------|--------------|
|                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                  |             | 1/2-roczna   | Roczna       |
| <b>AFRYKA POŁUDNIOWA:</b> Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                       | 3 sh. 9 d.  | 20 sh.       | 40 sh.       |
| <b>ARGENTYNA:</b> Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                         | 17 peso     | 102 peso     | 204 peso     |
| <b>AUSTRALIA:</b> „Vistula” (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                       | 5 sh. (a.)  | £.A.1.7.6.   | £.A.2.12.6.  |
| <b>BELGIA I KONGO BELG.:</b> Janina Korab Brzowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20. ....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                              | 30 frb.     | 145 frb.     | 260 frb.     |
| <b>BRAZYLIA:</b> Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba; Parana; Hanna Lekszycka, r. Guirara 139, villa Pompeia, Sao Paulo .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                      | 40 cruz.    | 200 cruz     | 380 cruz.    |
| <b>BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda),</b> Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                        | 3 sh. 9 d.  | 20 sh.       | 40 sh.       |
| <b>FRANCJA:</b> „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 <sup>e</sup> ) .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                              | 180 fr.     | 900 fr.      | 1.800 fr.    |
| <b>HOLANDIA:</b> T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocztowego: 13500 — t.b.v.S. 6538 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                              | 2 fl. hol.  | 12 fl. hol.  | 24 fl. hol.  |
| <b>KANADA:</b> K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; H. R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                     | 75 cent.    | 4 dol.       | 6 dol.       |
| <b>MEKSYK:</b> Victor Stanisławski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin. ....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                     | 75 cent.    | 4 dol.       | 6 dol.       |
| <b>NIEMCY:</b> „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                 | 2,50 DM     | 13,50 DM     | 25 DM        |
| <b>NORWEGIA:</b> Br. Lubiński, Moss, Kongesgt. 2.                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                | 3 sh. 9 d.  | 20 sh.       | 40 sh.       |
| <b>SZWAJCARIA:</b> Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta p.: 1.14431                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                   | 2,50 fr. s. | 13,50 fr. s. | 25,00 fr. s. |
| <b>SZWECJA:</b> Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                          | 18 kor.     | 33 kor.      |              |
| <b>U.S.A.:</b> Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, „Gryf Publ.”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; L. Duda-rew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczynski, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y. The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y. | 75 cent.    | 4 dol.       | 6 dol.       |
| <b>W. BRYTANIA:</b> „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                     | 3 sh. 9 d.  | 21 sh.       | 42 sh.       |
| <b>WŁOCHY:</b> Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632. ....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                | 300 lir     | 1.750 lir    | 3.000 lir    |

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)



# ***Biblioteka "Kultury"***

**TOM XIV**

**RAYMOND ARON**

## **KONIEC WIEKU IDEOLOGII**

Tytuł oryginału: *L'OPIUM DES INTELLECTUELS*  
Z przedmową autora dla czytelnika polskiego.

*Czy ewolucja świata komunistycznego idzie w kierunku pragmatyzmu  
oddalając się od ideologii?*

*Czym jest wyzwolenie „rzeczywiste” proletariatu a czym wyzwolenie  
ideowe?*

*Jakie realia społeczne i historyczne wpływają na ideologie inteligencji  
w różnych krajach?*

Cena egzemplarza 750 fr. (15 sh., \$2,25)

### **Nowość**

**TOM XV - Biblioteki "Kultury"**

**GRAHAM GREENE**

## **MOC I CHWAŁA**

w przekładzie Bolesława Taborskiego

Największa powieść Graham Greene'a rozgrywa się w Meksyku, w okresie prześladowań religijnych. Na tle konfliktu polityczno-religijnego autor ukazuje prawdziwe oblicze świętości, kontrastując słabość człowieka z wielkością jego powołania.

Książka Graham Greene'a poruszając najważniejszą problematykę naszych czasów — walkę komunizmu z chrześcijaństwem — nabiera specjalnej aktualności dla czytelnika polskiego. Znajdzie on w niej odpowiedź na szereg problemów które mu stawia rzeczywistość krajowa i pozwoli mu przede wszystkim ocenić i osądzić tych, którzy mu próbują wytłumaczyć możliwość współzycia marksizmu z katolicyzmem.

Cena egz. 650 frs (13 sh., 2 dol.)